

HENRY KISSINGER
100 LAT INTELEKTUALNEGO
CELEBRYTY

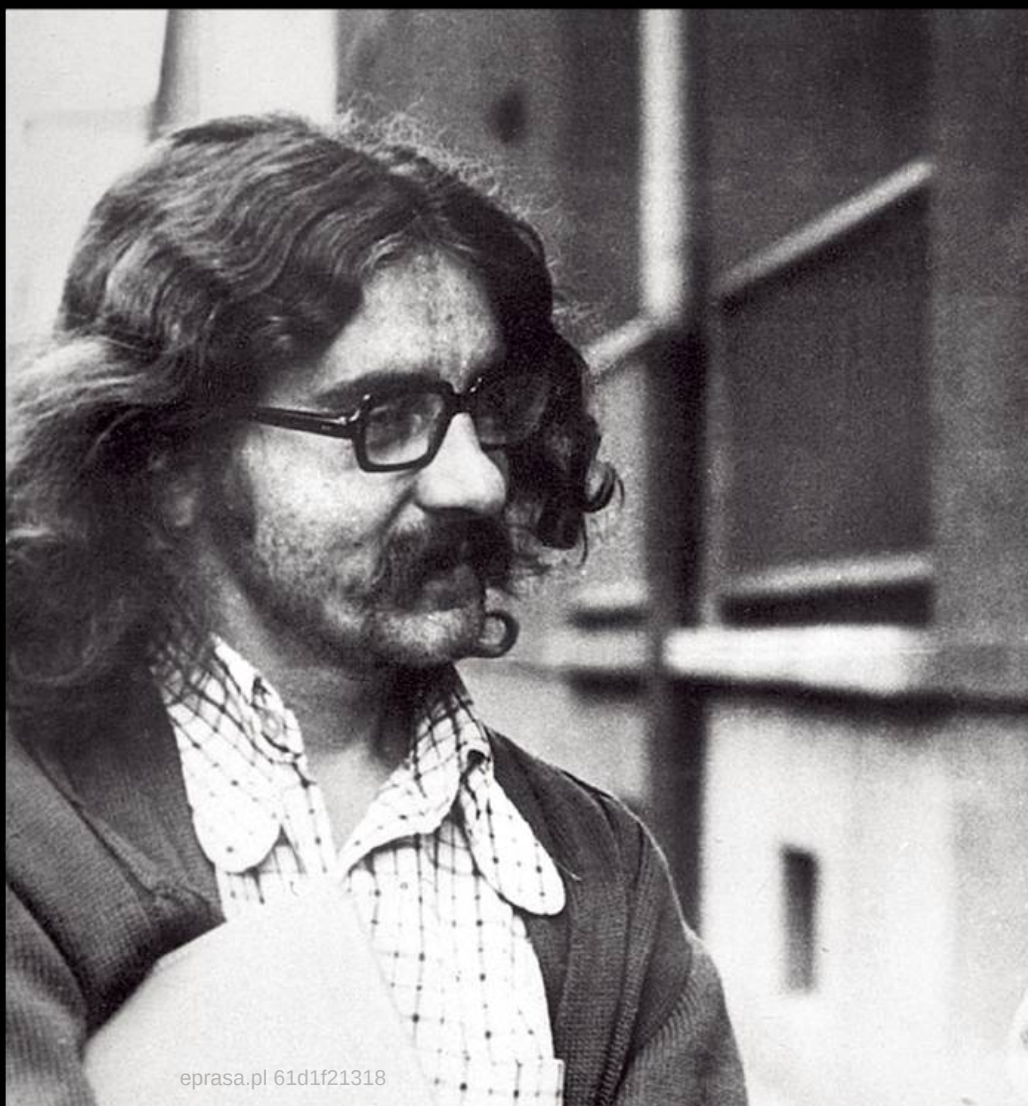
PAWEŁ SIERGIEJCZYK
IPN NIE CZYTA
SWOICH AUTORÓW

KIEDY CIĄŻA JEST WYROKIEM

OPOLE – FESTIWAL ŻENADY

MIT PYJASA

TEJ ZBRODNI NIE BYŁO

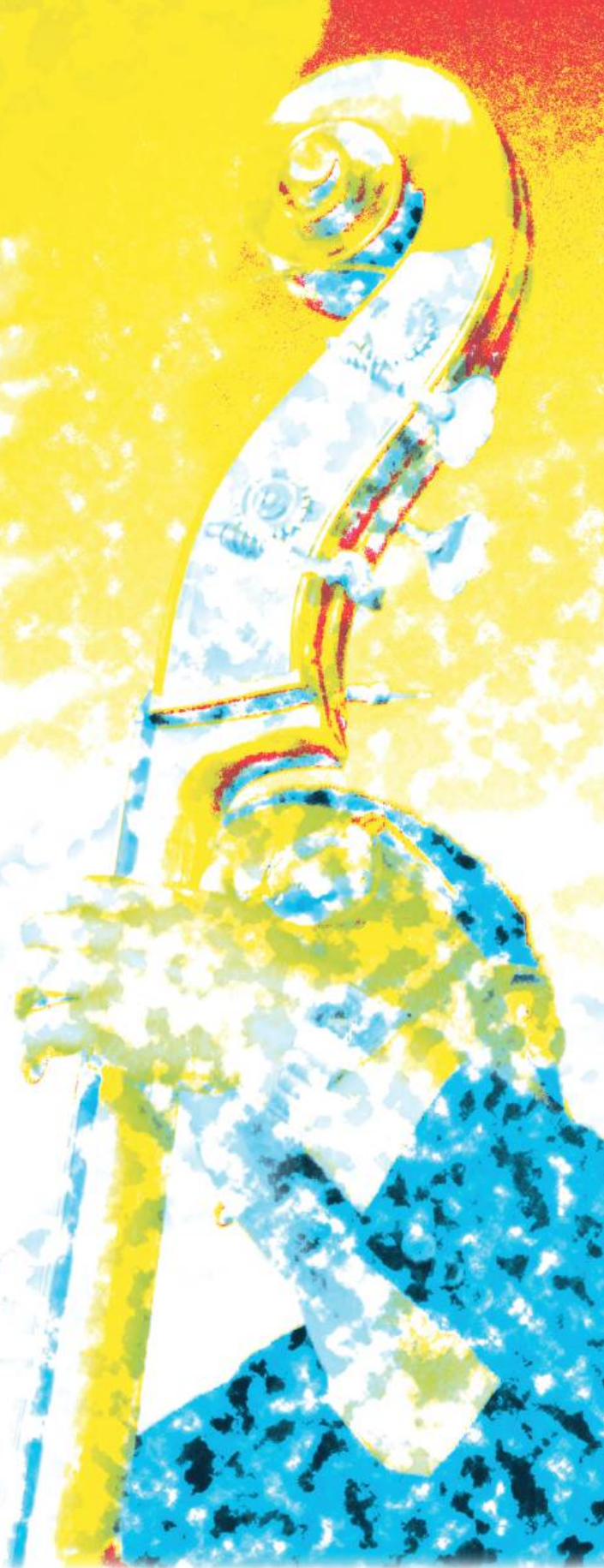


eprasa.pl 61d1f21318

29

2023

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE 1.07-26.08.2023



Warszawa, Rynek Starego Miasta, godz. 1900
www.jazznastarowce.pl
facebook.com/festiwaljazznastarowce

Organizator

JAZZ ART
FUNDACJA



Urząd Miasta
Warszawy



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy

Stowarzyszenie Kultury
i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa

Stowarzyszenie
Kultury i Dziedzictwa



Tej zbrodni nie było

Bezpieka nie zamordowała w nocy z 6 na 7 maja 1977 r. 24-letniego studenta polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dowiodły tego kolejne, trwające aż do 2019 r., śledztwa, które miały ustalić, jak zginął Stanisław Pyjas. I ustaliły, że morderstwa nie było. Zgromadzono 91 tomów akt. Są w nich wyniki ekspertyz najwybitniejszych specjalistów medycyny sądowej. Nawet Instytut Pamięci Narodowej po kilku latach umorzył śledztwo. Takie są fakty. Ale dla ludzi, którym potrzebny był dla działalności opozycyjnej nośny mit założycielski, fakty od początku nie miały znaczenia. Nawet to, że jako pierwszy wiadomość o morderstwie zaczął kolportować Lesław Maleszka, student i agent SB „Ketman”. Trudno tu się doszukać sensu. Podobnie jak w kłamstwach na tablicy poświęconej Pyjasowi, że „zamordowała go komunistyczna Służba Bezpieczeństwa”.

Ten mit pielęgnuje i rozdyma grupka byłych krakowskich opozycjonistów. Do dziś ważnych graczy w polityce i w mediach. Pyjas polityką się nie interesował, ale na mit się nadaje. Kim bez niego byłiby ludzie, którzy porobili kariery na tych kłamstwach? Ma rację prof. Romanowski, który na naszych łamach napisał, że u źródła mitu smoleńskiego leży mit krakowski. W obu przypadkach padają ze strony apologetów tych mitów ciężkie oskarżenia wobec ludzi, którzy myślą inaczej.

Prof. Widacki przypomniał – też na tych łamach – za Józefem Szujskim, że „falszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki”. I dlatego kłamstwa trzeba demaskować. Zostawianie oszustom pustego pola jest kunktatorstwem albo tchórzostwem. Trzeba reagować, zwłaszcza że dochodzi do tak beczelnych zachowań, jak w przypadku ministra Glińskiego, który na odsłonięciu pomnika Pyjasa bredził, że „czerpał on siłę z duszpasterstwa akademickiego, gdzie czuło się rękę Jana Pawła II”. Szkopuł w tym, że Pyjas był niewierzący i daleki od Kościoła.

Cóż można mitotwórcom powiedzieć? Stańcie w prawdzie. Nie staną. Są przecież kopiami prezesa Kaczyńskiego i nikt im nie wmówi, że czarne jest czarne, a białe jest białe.

Mylą się, głosząc, że tego mitu nic nie obali.

Mit, który zbudowali i którego bronią podłymi oskarżeniami oraz hejtem wobec tych, co mówią prawdę, będzie kruszał. Aż zostanie prawda o tragicznym końcu życia Stanisława Pyjasa.

Może z tego urodzi się nowy mit? Ludzi odważnych, niedających się zastraszyć kłamcom. Jest tam miejsce dla prof. Zdzisława Marka, Marii Anny Potockiej, profesorów Romanowskiego i Widackiego, Wojciecha Czuchońskiego.

BAKOWSKI



Lato z e-bookami
PRZEGLĄDU

Czytasz TANIEJ
Wiesz WIĘCEJ

Teraz tylko po 15 zł!
Czeka już 41 tytułów

50%
TANIEJ



KUPUJ NA
sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Jak długo przetrwa ten mit?**
Stanisław Pyjas nie został zamordowany
- 13 Przestańcie nas zabijać**
Prawo do aborcji
- 16 Lato nad obcymi morzami**
Rekordy w biurach podróży
- 20 Psychiatra przy taśmie**
Coraz gorzej z leczeniem
- 24 Marzenie ściętej baterii**
Samochody elektryczne – za i przeciw
- 42 IBISY rozdane**

ZAGRANICA

- 26 Piękny wiek**
100 lat Henry'ego Kissingera
- 30 Dom po bossie**
Mafijne nieruchomości na zbyciu
- 33 Śpiąc w nieznane**
Nocne pociągi wracają

OPINIE

- 36 Paweł Siergiejczyk**
Mądrość starych Polaków

KSIAŻKI

- 38 Prezydent lepszej Polski**
Aleksander Kwaśniewski o sobie i polityce

KULTURA

- 40 Festiwal żenady**
Opole synonimem obciachu
- 44 Pojedynek zła z mniejszym złem**
– rozmowa z Eminem Alperem
- 48 Kulturalia**
- 49 Pomoże rozbawia do łez**
Jubileuszowy finał Turnieju Łgarzy
- 50 Jerzy Nowosielski**
- 66 Festiwal recOVERy**

ZWIERZĘTA

- 52 Sceny z życia jaszczurów**
Ciepłolubne zwinki

OBSERWACJE

- 55 Królewskie piwonie**
Ulubienice Instagrama

NAUKA

- 58 Syndrom hawański**
Czy istnieje broń dźwiękowa

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Tej zbrodni nie było
- 19 Andrzej Romanowski**
Najwierniejszy żołnierz PiS
- 29 Roman Kurkiewicz**
Piętnować i Szczać,
tak się PiS powinno czytać
- 43 Wojciech Kuczok**
Festiwal flaków
- 47 Tomasz Jastrun**
Upokorzenie jest kluczem

40

KULTURA

FESTIWAL ŻENADY

Opole
synonimem obciachu



52

ZWIERZĘTA

SCENY Z ŻYCIA JASZCZURÓW

Ciepłolubne zwinki



55

OBSERWACJE

KRÓLEWSKIE PIWONIE

Ulubienice Instagrama

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. IPN



f Kto wygra ten marsz?

Bitwa władza-opozycja trwa. Tylko co my – Polacy – z tego będziemy mieli? Głównym gwiazdorem jest pan Tusk, a jego ludzie przebierają nogami, żeby było, jak było. Wielu moich znajomych, wściekłych na to, co wyprawia obecna władza, nie pamięta, komu ta władza zawdzięcza stolki. Niektórzy z nich w 2015 r. głosowali przeciw władzy PO, na PiS! Dziś przyznać się wstyd. Bitwa trwa, ale to nie naród walczy o swoje, lecz partyjniactwo o stolki i o kasę spółek państwowych. Kiedy naród zorganizuje marsz w celu zmiany ustroju z obecnego totalitaryzmu partyjnego na demokrację partycypacyjną, to ja, choćbym miał na piechotę iść z Żor do Warszawy, pójdę!

Józef Brzozowski

f Dlaczego na marszu 4 czerwca była tak wielka frekwencja?

To obywatelska odpowiedź różnych grup społecznych na arogancję i chamstwo PiS. To odpowiedź na nachalną katolicyzację życia publicznego, w tym szkolnictwa. To reakcja na afery i przekręty ekipy rządzącej, od wyborów kłopotliwych zaczynając, na respiratorach kończąc.

Damian Paweł Strączyk

Ja z mężem, każde w wieku 72 lata, plus córka 40 lat, pojechaliśmy z Gdyni pociągiem. Nigdy w nich takim nie brałam udziału, nie byłam nawet w Solidarności, ale tym razem po zobaczeniu, jak rządzący tańczą na grobach pomordowanych w Auschwitz, powiedziałam sobie: dość tego.

Waleria Lubner



Prawdą jest, że jak na polskie warunki frekwencja była wielka. Przy braku silnych i niezależnych związków i po wybiściu zębów organizacjom pozarządowym tym razem mogę opozycyjnym politykom pogratulować potrząśnięcia strukturami, żeby te ruszyły narodem. TVPiS już gra na tę nutę: to nie naród wyszedł, tylko partia i agentura zorganizowały, zagoniły i zmobilizowały ludzi do wyjścia na ulicę. Przy obecnej stratyfikacji społeczeństwa, przy neoliberalnym etosie „Polaka na dorobku”, co świetnie ujął m.in. prof. Matczak, tkając nostalgicznie za czasami 16-godzinnych dni pracy, mało ludzi ma możliwość protestowania, a spora niezadowolona część społeczeństwa robi to, co robią obywatele dyktatur (także tych pelzających) – emigrują wewnętrznie, zamykają się w wąskich kokonach swojej egzystencji, odcinając się od polityki w całości.

Książę Pomorski

Bo Polska jest podzielona na pół, i to od dłuższego czasu. Przy dzisiejszej inflacji przeciwnicy PiS są bardziej wkurzeni i zmobilizowani, ale nie oznacza to, że jest ich więcej. I to właśnie jest prawdziwym problemem. Po wyroku TSUE może ktoś się obudzi i zrozumie przy następnym spotkaniu wyborczym, w jakiej Polsce naprawdę żyje, ale obawiam się, że nie będzie łatwo.

Grażyna Pietruczuk

Bo protest był przeciw. My bardzo lubimy protestować przeciwko czemuś/komuś. Tak też było z Solidarnością. Nikt nie zastanawia się, co będzie dalej. Kolejny Balcerowicz?

Krzysztof Ratajczak

ZDJĘCIE TYGODNIA

Tysiące Polek i Polaków wyszły na ulice miast, demonstrując pod hasłem „Ani jednej więcej”. Protesty były reakcją na śmierć Doroty z Nowego Targu. Warszawa, 14 czerwca 2023 r.



W kilkudziesięciu miastach w Polsce protestowano pod hasłem „**Ani jednej więcej! Przestańcie nas zabijać**”. Ludzie wyszli na ulice po śmierci 33-letniej Doroty, u której w szpitalu w Nowym Targu nie przeprowadzono aborcji mimo zagrożenia życia.

Znowu spadł w Polsce współczynnik dzietności. Obecnie jest najniższy od dziewięciu lat i wynosi 1,26. Aby zapewnić zastępowalność pokoleń, powinien wynosić co najmniej 2,1.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu wydał wyrok, który wspiera kredytobiorców zadłużonych we frankach szwajcarskich w sporach z bankami. Trybunał orzekł, że bankowi nie należy się wynagrodzenie za korzystanie z kapitału, gdy umowa kredytowa została unieważniona. Koszty banków szacuje się na ok. 100 mld zł.

Według Ministerstwa Obrony Narodowej **polska armia liczy 167 tys. osób**, w tym 120 tys. żołnierzy zawodowych, ok. 36 tys. w Wojskach Obrony Terytorialnej i 11 tys. żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej, którzy dostają 4960 zł na rękę. **Nakłady na armię w tym roku będą na poziomie ok. 3% PKB.**

Wystarczy jedna składka zapłacona do ZUS przez Ukraińca lub Białorusina, by otrzymał on polską emeryturę lub rentę. W 2021 r. minimalna emerytura na Ukrainie wynosiła 1854 hrywny, czyli 283 zł, a w Polsce 1566 zł. W grudniu 2022 r. liczba cudzoziemców ubezpie-

czonych w ZUS wynosiła 1,063 mln osób („Rzeczpospolita”).

Akademia Leona Koźmińskiego znalazła się wśród najlepszych uczelni biznesowych na świecie realizujących studia magisterskie w dziedzinie finansów. W rankingu „Financial Times” Masters in Finance 2023 Akademia jest numerem jeden w Europie Środkowo-Wschodniej.

Iga Świątek po raz trzeci wygrała turniej Roland Garros. **Novak Djoković**, również trzykrotny zwycięzca tego turnieju, jest jedynym tenisistą, który zwyciężył w 23 turniejach wielkoszlemowych.

Agata Szymborska, wybitna skrzypaczka, laureatka Konkursu im. Wieniawskiego, została prezeską Towarzystwa Muzycznego, które zajmuje się organizacją tego konkursu.

Program 500+ kosztuje budżet państwa rocznie 40 mld zł. Po podwyższeniu do 800+ będzie to 65 mld zł.

Zadłużenie 12 największych miast na koniec 2022 r. wynosiło **28,5 mld zł.** W ciągu czterech lat wzrosło o 8,5 mld zł. Zadłużenie gmin osiągnęło poziom ok. 34 mld zł.

251 policjantów usłyszało w 2022 r. zarzuty popełnienia przestępstw, głównie korupcyjnych.

Na każdego mieszkańca Ziemi przypada rocznie **11 ton** wydobytych surowców naturalnych.

Za 530 mln zł Polacy kupili w 2022 r. luksusową biuterię i zegarki.

PRZEBŁYSKI

Zamienię Dudę na prezydenta

Tygodnik „Angora” pozbierał hasła niesione w czasie marszu 4 czerwca. Dowcip w narodzie nie ginie. Wybraliśmy kilka perełek: „Jarek, nawet Freud by cię nie zrozumiał”, „Aby Polska w siłę rosła, trzeba wodza, a nie ośla!”, „Kaczor, Duda, dwa bratanki, założymy wam kajdanki!”, „Andrzej! To może najpierw ołówkiem?”, „Zamienię Dudę na prezydenta”, „Starsza pani pozna chętnie nowego prezydenta”, „Miska ryżu coraz bliżej”, „Wrocław przeprasza za Morawieckiego”, „Wykopiemy PiS jesienią, posadźmy na wiosnę”, „Smok wawelski przeprasza, że zjadł nie tego barana, co trzeba”, „Naród bez PiS jest mniej awanturujący się”, „Szczęśliwej Polski już czas”, „Budżet państwa to nie taca kościelna”, „Dość różańców w brudnych złodziejskich łapach!”, „Przepraszamy za utrudnienia, mamy rząd do obalenia!”.



Gadzinowski o hienie

Na odkrycie, że kierowany przez Katarzynę Kozłowską „Fakt” jest hieną, nigdy nie jest za późno. I można to odkryć nawet w Wietnamie. Tak jak Piotr Gadzinowski, który w marcu współorganizował tam przegląd polskich filmów. Stowarzyszenie Filmowców Polskich zaprosiło Małgorzatę Sekułę-Szmajdzińską, wiceprzewodniczącą parlamentarnej grupy polsko-wietnamskiej. Cel wyjazdu, czyli promocja polskiej kultury, kontakty z parlamentarzystami, absolwentami polskich uczelni, studentami języka polskiego i wiele innych, niko go w „Fakcie” nie zainteresował. U Springera na chleb zarabia się, dowalając i ośmieszając takie działania „polityków darmozjadów”. Ciemny lud to kupi. Bez sensu, ale kupi też Springerowską hienę.

Via Carpatia z dziurami

Dziewięć godzin podróży z Łeby do Warszawy to jeszcze nie był rekord czerwcowego długiego weekendu. W korkach stali kierowcy w całym kraju. Stali i kłęli. A najbardziej kłęli ci, co oglądali TVP Info. I znają propagandowe występy Andrzeja Adamczyka. Uwierzyli temu magikowi od wciskania kitu, że za PiS Polska stała się drogową potęgą. Taki żarcik. Bo w ciągu ośmiu lat rządów nie udało się im spać w całości nawet Via Carpatii. Adamczyka pod Łomżą i Ostrowią Mazowiecką nie było. I słusznie, bo polski kierowca za tych rządów stał się bardziej nerwowym. A widok Adamczyka jest szczególnie wkurzający.



Sępia Góra jak Giewont

Na szczycie Sępiej Góry w Górach Izerskich stanie 11-metrowy krzyż z kratownic pomalowanych na czarno. Pomysł ks. Mariusza Szymańskiego, proboszcza parafii w Świeradowie-Zdroju. Jeszcze w grudniu Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska zgłaszała do tego zastrzeżenia. Dotyczyły one psucia krajobrazu, możliwości kolizji ptaków z obiektem itp. Protestowali mieszkańcy i ekolodzy ze Stowarzyszenia Flins. Ale nic to nie dało. Proboszcz wygrał.





PYTANIE TYGODNIA

Czego Jarosław Kaczyński chce od Unii Europejskiej?

PROF. MAREK BELKA,

były premier RP, poseł do Parlamentu Europejskiego

Jeszcze pół roku temu powiedziałbym, że Kaczyński chce od Unii Europejskiej pieniędzy i braku ingerencji w to, jak jego partia rządzi Polską. Jednak dziś prezes PiS idzie o krok dalej, ponieważ stracił poczucie, że członkostwo w Unii Europejskiej jest mu do czegośkolwiek potrzebne. Obecnie członkostwo Polski w UE stanowi dla Kaczyńskiego jedynie przeszkodę w dokończeniu dzieła jego życia, czyli zniszczeniu liberalnej demokracji w naszym kraju.

JAN TRUSZCZYŃSKI,

były ambasador RP przy Unii Europejskiej

Można się domyślać, że Kaczyński chciałby słabej organizacji, która nie ma prawa do wkraczania w sprawy jej państw członkowskich. Wyobrażenie o Unii Europejskiej, w której kraje Europy są powiązane bardzo luźnymi więzami, odpowiada wizji prezesa PiS. Dla ludzi o podobnej mentalności, zakorzenionej jeszcze w XIX-wiecznym myśleniu o współpracy między państwami, Unia jest jedynie skarbonką. Często dyskutowana jest teoria o dążeniu środowiska związanego z Kaczyńskim

do polexitu. Uważam, że każdy kalkulujący na zimno polityk wie, że nie jest to opłacalne politycznie. Nie znamy jednak umysłów autokratów na tyle, aby mieć pewność, że w każdej sytuacji zachowają się racjonalnie.

PROF. JAN ZIELONKA,

politolog, profesor europeistyki na Uniwersytecie w Oksfordzie

Oczywiście najlepiej byłoby zapytać samego Jarosława Kaczyńskiego. Mogę jedynie przypuszczać, że chce on, aby Unia realizowała jego cele i nie wtrącała się do wewnętrznej polityki. Na tle polityków Unii Europejskiej nie jest to postawa odosobniona. Tym, co odróżnia prezesa PiS, jest zaczerpnięta jeszcze z XIX w. wizja świata, w której państwo jest narodowe i suwerenne. Stoi to w dużym kontraście do realiów XXI-wiecznej Europy. Unia integrowała się przez lata na zasadzie modelu wspólnotowego. Europejczycy dzielą dziś nie tylko rozwiązania instytucjonalne, ale również wspólne zasoby kulturowe czy ideologiczne. Kaczyński może jednak uważać, że historia stoi po jego stronie, bo w Europie da się zauważyć próby powrotu do koncepcji państw narodowych.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Jak długo przetrwa ten mit?

Stanisława Pyjasa nikt nie zabił. Dlaczego tak wielu boi się to powiedzieć?

Robert Walenciak

Ciało Stanisława Pyjasa, 24-letniego studenta polonistyki, znaleziono 7 maja 1977 r. nad ranem w sieni kamienicy przy ul. Szewskiej 7 w Krakowie. Prowadzone były trzy oficjalne śledztwa, które miały ustalić, jak zginął. W roku 1977, a potem – już w III RP – w latach 1991-1999 i 2010-2019. Ale można odnieść wrażenie, że wszystkie te działania nie miały żadnego znaczenia. Bo w świat poszła informacja, że Pyjas został zamordowany przez Służbę Bezpieczeństwa. I koniec.

Śmierć Stanisława Pyjasa stała się mitem założycielskim niezależnych ruchów studenckich.

Oto wielka epicka historia. Najpierw mieliśmy grupę przyjaciół – niepokornych, mocno pijących, a przede wszystkim marzących o wydawaniu literackiego pisma. I SB, która taką grupką się zainteresowała. A potem nastąpiła śmierć Stanisława Pyjasa. I to ona stała się mitem założycielskim niezależnych ruchów studenckich. Bo jak nas zabijają, to wiadomo, po której musimy być stronie. A potem, w III RP, kolejne śledztwa pokazały, że był to niemal na pewno nieszczęśliwy wypadek. Że mit był pusty w środku, a opowieść o morderstwie – fałszywa.

Zdarza się... Gniew czasami zacierza wrażliwość na prawdę. Tylko że już w III RP każdy, kto podawał

w wątpliwość wersję o śmierci z rąk SB, natychmiast był atakowany, zazwyczaj oskarżano go o powtarzanie wersji służb i współudział w tuszowaniu zbrodni. Niespodziewanie prawda stała się wrogiem tych, którzy (podobno) o prawdę walczyli. I to jest warte refleksji.

Stanisław Pyjas, student polonistyki, był w grupie ni to anarchistów, ni to hipisów, oczywiście ustrój mu się nie podobał, ale pewnie nie podobałby mu się każdy ustrój. Nie chciał być politykiem, chciał być pisarzem. Czy w tamtym czasie, w tych małych grupkach kontestujących

fascynowali się teatrem Grotowskiego, słuchali ciężkiej hardrockowej muzyki i byli walczącymi antyklerykałami. Robili potem kariery, m.in. w dziennikarstwie, jak nasz kolega Adam Szostkiewicz czy Bronisław Wildstein. Bronisław Maj został świetnym poetą. Oni wcale nie zaczęli od polityki, ale od literatury i kontestacji. Chcieli pisać, mieć swobodę wypowiedzenia się, być wolnymi ludźmi. Komunizm odrzucali, ale specjalnie ich nie interesował.

Takim środowiskiem zainteresowała się Służba Bezpieczeństwa. I rozpoczęła jego rozpracowanie. Można rzec z przekąsem – z nudów. Ale bardzo skutecznie i bardzo paskudnie. Tworzyła szkalujące studentów anonimy, rozsyłała je, inwigilowała ich, budowała agenturę.

Cóż, blisko połowę tej grupy – mówił w sądzie prof. Jan Widacki, gdy bronił esbeków oskarżanych o utrudnianie śledztwa w sprawie zabójstwa Pyjasa – stanowili tajni współpracownicy. „Ketman”, zwany później „Returnem” (czyli Lesław Małeska), „Zbyszek”, „Mirek”, „Igor”, „Relaks”.

„Przypominam ten fakt dla wskazania – to słowa Widackiego – że SB nie miała żadnego celu w likwidowaniu grupy, której poczynaniami w dużej mierze sterowała i o której działalności na bieżąco, a nawet z wyprzedzeniem była informowana.

Po co było bić Pyjasa? Wystarczyło go wezwać na kolejną rozmowę ostrzegawczą. Tak jak zrobiono w kwietniu 1976 r., kiedy to wezwano na rozmowę ostrzegawczą Pyjas,

PRL był osobą ważną? Większość relacji mówi, że nie. To nie on nadał ton tej grupie. Nawet trochę się od niej dystansował, nie pojechał np. w Gorce na spotkanie z ludźmi Komitetu Obrony Robotników. „Wy po same uszy wchodzić w politykę, a ja chcę zostać przy literaturze”, miał tłumaczyć.

Cezary Łazarewicz, autor najnowszej książki o sprawie śmierci Pyjasa, w rozmowie z „Polityką” tak mówił o jego grupie: „Buntownicy, anarchiści, poeci, kontrkulturowcy. Gdy jesienią 1977 r. po głodówce zmarł Andreas Baader z [niemieckiej] Frakcji Czerwonej Armii zaplanowała wśród nich żałoba. Pili i płakali. Czytali Kropotkina i Bakunina,



Stanisław Pyjas (nz. z lewej) i Bronisław Wildstein.

przestraszony – nic dziwnego, bo bezpieki wszyscy wówczas się bali – opowiadał szczegółowo o tym, którą bezdebitową książkę od kogo pożyczął, co kto powiedział itd. Zebrało się tego na kilkunastu notatkę.

Słuchany na rozprawie jeden z rozmówców Pyjasa i autor notatki świadek Bober, przyznał, że Pyjas mówił dużo i chętnie, tak dalece, że rozważano nawet, czy aby nie kontynuować tych spotkań i czy nie

pieniądze. W tej kamienicy, w sieni, znaleziono nad ranem jego ciało.

Co się stało? A właściwie: co się stało w realu, a co w społecznej rzeczywistości?

Ważne było pierwsze skojarzenie. A pierwszym, który wołał, że Pyjas został zabity, był Lesław Maleszka, agent SB. „Ubecy zamordowali Staszka!” – z takimi słowami przybiegł do Bogusława Sonika. On też

do domu i zaproponowali prosty układ – będzie donosił za pieniądze. A on to przyjął. I jako konfident rozkwitł. Był agentem niezwykle aktywnym. Esbeków strofował, podpowiadał strategię zwalczania opozycji, budował plany działania. Z drugiej strony był aktywny w opozycji. Też podpowiadał, jak się bronić, jak dokuczać SB.

W służbach specjalnych znają taki rodzaj konfidenta. Takiego, który rozkwita, gdy może manipulować, reżyserować, prowadzić ludzi jak „Mag” z książki Johna Fowlesa. Cała sztuka polega na tym, by takiemu agentowi nie odebrać przekonania o jego wielkiej roli. Żeby się nie zniechęcił.

Nie wiemy, czy oficerowie SB o takich przypadkach się uczyli. W każdym razie to Maleszka zadał im najmocniejszy cios. Bo to on wołał pierwszy i najgłośniej – że esbecka zabiła Staszka. A potem, że trzeba odwołać juwenalia. Bo jak studenci mają się bawić, kiedy zabija ich milicja?

Władza była w takiej sytuacji bezbronna. Co z tego, że w Warszawie, w centrali SB, śmierć Pyjasa ▶

Każdy, kto w III RP podawał w wątpliwość wersję o śmierci Pyjasa z rąk SB, natychmiast był atakowany, zaszczuwany.

zakończyć tego pozyskaniem Pyjasa jako tajnego współpracownika, ale uznano, że w tym środowisku jest już dostatecznie wielu tajnych współpracowników”.

Feralnego dnia, jak ustalono, Stanisław Pyjas snuł się po Krakowie, był widziany w piwiarni i trafił na ulicę Szewską. Mieszkała tam Barbara Paneczko, jedni piszą, że jego była dziewczyna, drudzy, że znajoma, która pożyczala mu od czasu do czasu

zadzwoił później do Jacka Kuronia, komunikując, że zamordowano Pyjasa. I tak to poszło.

Maleszka... W tym czasie najlepszy kumpel Pyjasa i Wildsteina, a jednocześnie jeden z najbardziej płodnych agentów SB. Jak go zwerbowano? On sam twierdził, że po dramatycznym przesłuchaniu, gdy zagrożono mu wyrzuceniem ze studiów. Okazało się, że tak nie było. Że funkcjonariusze SB przyszli do niego

► potraktowano z najwyższą powagą, przeczuwając, że ułatwi ona budowę w Krakowie silnego środowiska opozycyjnego? Jedyne, co SB mogła w takiej sytuacji zrobić, to zaprzeczać, że był on przez służby inwigilowany, że SB nim się zajmowała. Nikt w to nie uwierzył. Kraków swoje wiedział. I nie miało już znaczenia, że w 1977 r. prokuratura prowadziła śledztwo bardzo drobiazgowo, uwzględniając wszystkie wątpliwości pełnomocnika rodziny, mec. Andrzeja Rozmarynowicza. Wersja, że SB

Ale akurat, jak wykazało śledztwo, w sprawie Pyjasa ich nie było.

Bo cóż wykazało śledztwo? Czy raczej – śledztwa? Przede wszystkim, że Stanisław Pyjas nie został pobity, tylko zginął w wyniku upadku z II piętra. Skąd to wiemy? Otóż sekcja wykazała, że obrażenia na jego ciele pochodzą z „urazu biernego”, choć nie wykluczają „urazu czynnego”. Inaczej mówiąc, uraz bierny to upadek, czynny – pobicie. Ale upadek, a nie pobicie, potwierdzają jeszcze inne elementy. Na przykład to, że poza

i wezwałby pogotowie, uratowałby mu życie. A wówczas Pyjas mógłby wskazać sprawców. Inaczej mówiąc, z punktu widzenia ewentualnych zabójców zostawienie umierającego człowieka w miejscu, w którym można go było uratować, byłoby rzeczą bardzo nieroztropną.

Dodajmy do tego zeznania świadków. Barbara Paneczko nie słyszała, by ktoś do niej dzwonił lub pukał. W ogóle nic tej nocy nie słyszała. Także żaden z mieszkańców domu nie słyszał odgłosów bójki. Jeden z nich około godz. 2.40 słyszał jakieś głuche uderzenie. Jakby odpadł tynk.

A ślady pobicia, które widział Wildstein? Rzecz w tym, że oglądał on zwłoki Pyjasa dwie godziny po sekcji. A jak zmieniała ona wygląd, wyjaśniał dr Jan Kołodziej, jeden z przeprowadzających ją adiunktów: „Wątpliwości ludzi, którzy oglądali zwłoki po sekcji, wynikały z tego, że odpreparowano tkanki miękkie na głowie i twarzy oraz dokonano cięć sekcyjnych tkanek i kości. Między innymi przecięto skórę na bocznej stronie szyi i karku dla odstąpienia kości twarzoczaszki”.

Wildstein nie znał się na sekcji zwłok. Miał więc pełne prawo się mylić. Wtedy.

•
Sekcję zwłok Pyjasa przeprowadzała w Zakładzie Medycyny Sądowej trójka patologów: dr Jan Koło-

SB nie miała żadnego celu w likwidowaniu grupy, której poczynaniami w dużej mierze sterowała i o której działalności na bieżąco była informowana.

pobiła śmiertelnie studenta, miała większą siłę przebicia. Zwłaszcza że wzmacniały ją słowa Bronisława Wildsteina, który widział ciało przyciśnięte do ściany w prosektorium. Widział i powiedział, że został on pobity, że na twarzy są ślady kastetu, a z tyłu być może kolejne. Czegoż więcej trzeba?

Natychmiast narodziło się kilka hipotez śmierci Pyjasa. Pierwsza, że pijany (w momencie śmierci miał we krwi 2,6 promila alkoholu) awanturował się w nocy na ulicy Szewskiej, że został wciągnięty do klatki schodowej i pobity na śmierć. Druga, że pobito go na pobliskim komisariacie i zawiniętego w dywan podrzucano na Szewską, gdzie skończył. Dlaczego go pobito? Jedna wersja mówiła, że próbowano go w ten sposób namówić do współpracy. Druga, że chciano go zastraszyć, ale pobito zbyt mocno. Była też wersja, że pobił go wynajęty bokser. Przypominano również, że znajomy, który jako ostatni widział Pyjasa żywego, latem się utopił. Chociaż unikał wody, bo nie umiał pływać.

To wszystko, jak się okazało przy dokładniejszym sprawdzeniu, były miejskie legendy. W II RP przeciwnicy sanacji byli bici przez „patriotycznie nastawionych” oficerów. W PRL pobicie przez „nieznanych sprawców” również miały miejsce, tak pobity był m.in. przed swoim domem Stefan Kisielewski. Ludziom więc się kojarzyło. A SB to nie byli aniołowie.

urazem twarzoczaszki Pyjas nie miał innych zranień. A gdyby był bity lub uczestniczył w bójce – tych śladów byłoby wiele. Miał też, to wykazała dopiero ekshumacja przeprowadzona w 2010 r., złamaną szyjkę kości udowej. A taki uraz nie powstaje podczas bijatyki, ale jest wynikiem upadku z dużej wysokości. I jeszcze chlebak, który został na II piętrze, przy mieszkaniu Barbary Paneczko. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś pobił Pyjasa, a potem zaniósł jego chlebak na górę. Po co? Albo że ktoś zabił się na schodach, by później Pyjasa zepchnąć. To przecież nielogiczne.

Stanisław Pyjas nie został pobity, tylko zginął w wyniku upadku z II piętra. Sekcja wykazała, że obrażenia na jego ciele pochodzą z „urazu biernego”.

Na sugestię pełnomocnika rodziny, mec. Rozmarynowicza, prokuratura w 1977 r. zleciła zbadanie zabrudzeń na ubraniu Pyjasa. Okazało, że część z nich pochodzi z farby, którą pomalowano balustradę na klatce schodowej przy ul. Szewskiej.

I rzecz najważniejsza – otóż Pyjas zmarł, bo udusił się własną krwią. Leżał nieprzytomny na klatce i przez kilka godzin umierał. To wyklucza wersję, by został pobity na komisariacie lub przez milicjantów. Bo gdyby ktoś wszedł na klatkę, zobaczył zakrwawionego człowieka

dziej, doc. Kazimierz Jaegermann i dr Barbara Próchnicka. Kierownik zakładu prof. Zbigniew Marek nie uczestniczył w sekcji, ale to on podpisał jej protokół. To wszystko wyklucza fałszerstwo, zbyt wiele osób – patologów, laborantów – uczestniczyło w sekcji.

Co z tego! Mit studenta, którego zamordowała SB, rozlewał się w sposób nie do zatrzymania. 15 maja 1977 r., kilka dni po śmierci Pyjasa, odbył się w Krakowie Czarny Marsz, w czasie którego wzywano do bojkotu Juwenaliów i ogłoszono



Klatka schodowa kamienicy przy ul. Szewskiej 7 w Krakowie.

zawiązanie Studenckiego Komitetu Solidarności. W ten sposób grupka kolegów, od czasu do czasu kontestujących, zyskała legitymację wejścia do polityki. „Przeklęci (MO)rdercy, zamordowaliście nożami niewinnego studenta S. Pyjasa” – to treść jednej z rozprowadzanych wówczas ulotek.

W kolejne rocznice śmierci w Krakowie organizowano marsze. Wspomnienie zabitego studenta stało się jedną z najważniejszych części opozycyjnego katechizmu.

W III RP już w roku 1991 rozpoczęto nowe śledztwo mające wyjaśnić okoliczności tej śmierci. A jeszcze zanim je zakończono, przy ul. Szewskiej zawisła tablica z napisem: „Pamięci Staszka Pyjasa, studenta UJ

i opozycjonisty, zamordowanego przez komunistów 7 maja 1977. Młodzieź Krakowa 1994”. Taka była atmosfera. Jej echem jest film „Trzech kumpli” Ewy Stankiewicz, której talent rozkwitł w czasach upamiętniania katastrofy smoleńskiej.

Wszystko było już jasne – Pyjas został przez SB zakatowany i to nic, że kolejne śledztwa niczego w tej sprawie nie znajdują, bo widocznie bezpieka to wszystko mocno ukryła. A poza tym, każdy, kto w to wątpi, jest „głosem SB”.

Jako pierwszy przekonał się o tym wspomniany prof. Zdzisław Marek, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej, który podpisał protokół sekcji zwłok. Bronisław Wildstein nazwał go „kanalią”. Skarżył się przy tym: „Za to,

że opisałem jego rolę w sprawie Pyjasa, wytoczył mi proces i wygrał, co wiele mówi o naszym wymiarze sprawiedliwości”.

Rzeczywiście tak było. Wildstein w 1991 r. publicznie obwiniął prof. Marka o tuszowanie sprawy zabójstwa Pyjasa i nazwał go m.in. „najbardziej cynicznym współnikiem zbrodni”, który tylko dzięki przedawnieniu uniknął odpowiedzialności. Profesor za te pomówienia wytoczył mu proces i sąd prawomocnie skazał Wildsteina na karę grzywny, nawiązkę i opublikowanie wyroku w gazecie.

Ale to była symboliczna wygrana – kropla w morzu hejtu. Patologów, którzy przeprowadzili sekcję zwłok Pyjasa, nazywano lekarzami SB, podważano ich uczciwość. Prof. Marek decyzją rektora Akademii Medycznej w Krakowie został zwolniony z funkcji kierownika Katedry Medycyny Sądowej za „naruszenie norm etycznych w działalności opiniodawczej”. A gdy wydał książkę, w której opisał sprawę Pyjasa z własnej perspektywy, twierdząc, że student nie zmarł na skutek pobicia, znów wylała się na niego fala hejtu. „Trzeba być nie lada łajdakiem i mieć w sobie nieograniczone pokłady cynizmu, żeby 30 lat po śmierci Stanisława Pyjasa lansować wersję o przypadkowym zgonie młodego krakowskiego opozycjonisty – tak np. pisał Jerzy Jachowicz. Dodając z nieukrywaniem żalem: – Najbardziej zasłużony dla Służby Bezpieczeństwa krakowski medyk Zdzisław Marek należy do tych najczarniejszych postaci PRL, które już nigdy nie zostaną skazane przez sąd demokratycznej Polski”.

Fala nienawiści wylała się też na prof. Jana Widackiego, który podjął się obrony funkcjonariuszy SB oskarżanych o utrudnianie śledztwa w sprawie Pyjasa. Wildstein i jego koledzy zaczęli Widackiego nazywać łajdakiem. W 2008 r. rozmawiał z prof. Widackim Robert Mazurek. I stawiał mu takie pytania: „Pan jest chyba ostatnim w Polsce gorącym zwolennikiem tezy, że Pyjas zabił się sam”. A potem mówił (też pewnie w ramach pytania): „Zdaje się, jego nie chciano zabić, tylko solidnie pobić i nastraszyć”. Gdy zaś rozmowa ▶

► zeszła na raport z sekcji zwłok, Mazurek z przekazem komentował: „I owi medycy, nazwijmy to ogłędnie, życzliwi władzy, są dla pana bardziej wiarygodni niż przyjaciele Pyjasa?”. Oto dziennikarz, który już wie.

Po tym wywiadzie odezwał się Bogusław Sonik. „Kłamliwy ekspert w sprawie Pyjasa”, pisał o Widackim. Ewidentnie bolały go słowa Widackiego, że ze śmierci Pyjasa uczyniono mit, który pomógł jego kolegom.

Sąd skazał Wildsteina na karę grzywny i nawiązki oraz opublikowanie wyroku w gazecie za pomówienia prof. Marka o tuszowanie sprawy zabójstwa Pyjasa.

Podobnie było, gdy książkę „Wokół sprawy Pyjasa” pod redakcją Marii Anny Potockiej wydał krakowski Bunkier Sztuki. Książka jest zbiorem tekstów poświęconych Pyjasowi, pisanych przez ludzi, którzy go znali i z nim się przyjaźnili, oraz tych, którzy mogli tę sprawę naświetlić. Istotne okazało się, że w książce znalazło się miejsce dla Lesława Maleszki (nic ciekawego zresztą nie mówi). Oraz że padły w niej zdania Anny Marii Potockiej, że „nigdy nie zostało udowodnione, że Pyjas został zamordowany”, a „Wildstein uznał, że mit musi mieć wsparcie polskiej tragedii”. To wystarczyło, by na Potocką wyłała się fala hejtu.

Książkę zrecenzował Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej”, pisząc: „Pyjas nie został zamordowany przez bezpiekę. Nikt przed śmiercią go nie pobił. Czemu udajemy, że tego nie wiemy?”. I znów odezwał się Sonik, twardo uderzając: „Tekst Czuchnowskiego, powielający za Potocką ubecką wersję śmierci Stanisława Pyjasa, jest tyle wart co kłamstwo, że Potocka znała Pyjasa i naszą grupę”.

Teraz mamy kolejny etap dyskusji o śmierci Pyjasa i micie, który ta śmierć zbudowała – książkę Cezarego Łazarewicza „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”. To nic, że jest potężnie udokumentowana i że autor drobiazgowo sprawdził wszystkie wątki. Książka ma tę „wadę”, że w sposób jednoznaczny wyklucza możliwość pobicia Pyjasa

i praktycznie przesądza, że spadł on ze schodów. Autor na poparcie tej tezy cytuje ustalenia śledztwa, tych, które prowadzono już w III RP. Opisując m.in., że w krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych im. Sehna zbudowano nawet model klatki schodowej, odtwarzając tę z ulicy Szewskiej. Z najdrobniejszymi detalami. Tak, by wirtualny manekin mógł być zrzucony setki razy, by wszystko wyjaśnić do końca.

Łazarewicz konkluduje: „W postanowieniu o umorzeniu śledztwa z 7 czerwca 2019 r. prokurator Łukasz Gramza wykluczył możliwość pobicia Pyjasa i przyjął, że śmierć nastąpiła na skutek upadku z wysokości.

Pobicie wykluczyli w swojej ekspertyzie biomechanicznej biegli z krakowskiego instytutu Sehna i współpracujący z Instytutem konsultant krajowy z zakresu medycyny sądowej prof. Grzegorz Teresiński z Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie. Podobnego zdania był sześcioposobowy zespół wybitnych medyków sądowych, którzy po ekshumacji w 2010 r. ciała Stanisława Pyjasa, sporządzili ekspertyzę medyczno-sądową”.

Pobicie wykluczyli biegli z krakowskiego instytutu Sehna i konsultant krajowy z zakresu medycyny sądowej prof. Grzegorz Teresiński.

To wszystko nieważne. Bronisław Wildstein już stwierdził, że „książka Cezarego Łazarewicza jest mową obrończą na rzecz ubeaków. Autor usiłuje wyekspozować w niej wszelkie informacje przemawiające za przypadkową śmiercią Staszka, a ukryć wszystkie te, które przemawiają za tym, że został zamordowany”. Za Wildsteinem poszli inni. Na przykład Dorota Kania, szefowa pism Orlenowskich: „Krakowski student Stanisław Pyjas został zamordowany na zlecenie Służby Bezpieczeństwa

7 maja 1977 r. w kamienicy przy ulicy Szewskiej. Próba zakłamywania tego faktu jest faktycznie obroną siepaczy komunistycznej bezpieki odpowiedzialnej za ten mord. Przez 46 lat, od samego początku tej tragedii, usiłowano robić to mniej lub bardziej subtelnie, ale przekaz był zawsze ten sam i sprowadzał się do stwierdzenia, że pijany student spadł ze schodów i się zabił”.

Grochem o ścianę...

Tego mitu nic nie obali – napisała więc „Rzeczpospolita”, prezentując sprawę Pyjasa. Nie wprost dopisując, że mity tworzą nasze życie polityczne i tak jak mit smoleński zintegrował PiS, zbudował tę partię na nowo, taką siłę ma też mit śmierci Pyjasa.

Nie uważam, by tak było. Myślę, że ten mit padnie szybciej, niż się sądzi. Oczywiście nie mit kontestatorów, którzy jako pierwsi przełamali strach, ale mit zakatowanego studenta, morderstwa dokonanego przez SB. Ten mit był potrzebny w czasach PRL, by budować krakowską opozycję. Bo miała swojego męczennika. Bo daje siłę sceną, że my stoimy tam, gdzie są niewinni i bici, a oni stoją tam, gdzie mordercy. Potem, w III RP, ten mit służył antykomunistom, tym najbardziej nieprzejednanym, którzy mogli mówić, że są zbrodnie nierozliczone i że trzeba być twardym. Przy okazji pomógł

takim ludziom jak Bogusław Sonik w politycznej karierze. A dziś? W roku 2023? Kto ma się chować za Pyjasek? Grupka emerytów, która będzie powtarzać teorie o zabójcach z SB? I to takich emerytów, dla których III RP okazała się wyjątkowo hojna? Ta płyta jest już zgrana.

Tylko szkoda chłopaka, który chciał zostać pisarzem i który miał pecha, że pewnej nocy był sam.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Przestańcie nas zabijać

Gdy umierała Dorota z Bochni, w bydgoskim szpitalu inna kobieta czekała na decyzję lekarzy o zakończeniu ciąży



Protest na pl. Praw Kobiet w Bydgoszczy, 14 czerwca 2023 r.

Zuzanna Muszyńska

30 maja odbył się pogrzeb 33-letniej Doroty z Bochni i jej nienarodzonego dziecka. Dorota zmarła po trzech dniach w szpitalu wskutek wstrząsu septycznego, który rozwinął się po przedwczesnym odejściu wód płodowych. 14 czerwca w wielu miastach Polski zorganizowano w związku z jej śmiercią protesty pod hasłem „Ani jednej więcej – przestańcie nas zabijać”.

Tymczasem kolejna kobieta w zagrożonej ciąży, 32-letnia Rokšana, trafiła do Kliniki Położnictwa i Patologii Ciąży Szpitala Uniwersyteckiego nr 2 im. dr. Jana Biziele w Bydgoszczy. Rokšana obawiała się, że jej historia skończy się podobnie tragicznie jak życie Doroty lub zmarłej przed prawie dwoma laty Izy z Pszczyny, tym bardziej że bydgoską kliniką kieruje lekarz znany z poglądów pro-life. Pomogli

dziennikarze i działaczki organizacji pomocowych.

Presja ma sens

Wody płodowe u pacjentki bydgoskiego szpitala odeszły przed trzema tygodniami. Na podstawie badań wiadomo było, że 24-tygodniowy płód jest nieodwracalnie uszkodzony genetycznie, jego szanse na przeżycie poza organizmem matki są znikome. Lekarze jednak nie podjęli decyzji o terminacji ciąży; przyjęli postawę wyczekującą, bo płód żył.

Bydgoską kliniką kieruje prof. dr hab. n. med. Mariusz Dubiel, znany z poglądów i działalności pro-life, pomysłodawca „specjalnego pokoju pożegnań” jako wsparcia dla kobiet, których płody są nieodwracalnie uszkodzone lub terminalnie chore.

W sprawę Roksany włączyły się m.in. bydgoska radna Joanna Czerska-Thomas, Fundacja na Rzecz Kobiet i Planowania Rodziny FEDERA

oraz Toruńska Brygada Feministyczna. 32-latką zdecydowała się opowiedzieć o swojej sytuacji, będąc w 24. tygodniu ciąży. Jej historię nagłośniły Fakty TVN. – Tego się boję, że nasza historia też tak się zakończy. Bo jednak te myśli, no, uciekają gdzieś w tę stronę. Zwłaszcza że w domu mam rocznego synka, do którego chcę wrócić – mówiła Rokšana w rozmowie z Marzanną Zielińską, reporterką TVN.

Joanna Czerska-Thomas opowiada: – Zadzwoiła do mnie Agata Chyżewska-Pawlikowska. Myślałam, że chce ustalić szczegóły wspólnego wyjazdu, ale po pierwszych słowach zmroziło mnie. „Aśka, kolejna kobieta umiera w bydgoskim szpitalu!”, wykrzyczała mi do ucha. Od razu wiedziałam, że plany, jakie miałam na Boże Ciało, muszę zmienić, natychmiast wróciłam do domu. Okazało się, że kobieta leżąca w bydgoskim szpitalu jest przerażona tym, że od trzech tygodni nie ma decyzji ▶

► co do nieodwracalnie uszkodzonego genetycznie płodu. Przez moment zastanawiałam się, jak zweryfikować te informacje, ale stwierdziłam, że nie mam takich możliwości. Nie wybaczyłabym sobie jednak, gdybym nic nie zrobiła. Skontaktowałam się z Kamilą Ferenc z FEDERY i dostałam od niej jasną informację, jak mogę pomóc. Zadziałał łańcuch dobrych serc. Czekamy teraz na informacje o stanie zdrowia pani Roksany. Wiemy, że jest po cesarskim cięciu.

Roksana czekała 22 dni na przezwyciężenie ciąży. Operacja odbyła się 8 czerwca wieczorem. – Presja ma sens – napisała na swoim profilu facebookowym Toruńska Brygada Feministyczna. – Teraz do mnie dociera – mówi Agata Chyżewska-Pawlikowska, działaczka brygady – że być może uratowałyśmy tej dziewczynie życie. Nurtuje mnie pytanie, ile takich przypadków, o których nie wiemy, było już w tym bydgoskim szpitalu, a ile w toruńskich? Ile w całej Polsce? Jak to się dzieje, że Polki w XXI w. nie rozmawiają z lekarzami,

informowano o ryzyku, jakie kontynuacja ciąży niesła dla jej zdrowia i życia oraz o niewielkich szansach na urodzenie żywego dziecka.

Uczestniczki protestu odczytały historie pozostałych ofiar nowelizacji ustawy antyaborcyjnej uchwalonej w 2020 r. głosami PiS, Solidarnej Polski i Konfederacji. Joanna Czerska-Thomas wymieniła ich imiona – Agata, Justyna, Anna, Iza, Marta, Agnieszka, Dorota – i poprosiła o uczczenie pamięci zmarłych minętą ciszą.

Sandra przyszła na protest z niespełna półrocznym synkiem. – To jest moje pierwsze dziecko – mówiła. – Zastanawiałam się, czy zaisc w ciążę w naszym państwie. Zdecydowałam się głównie dlatego, że moja mama mieszka w Danii, więc miałam ten komfort psychiczny, że w razie czego mogę do niej wyjechać i dostać dobrą opiekę medyczną. Rozważałam wyjazd na czas ciąży, ale zaryzykowałam i zostałam. Na szczęście wszystko przebiegało prawidłowo. Obecnie nie planuję

– ironizował. – A tak serio, to trzeba żyć dobrze i dawać przykład, choćby przychodząc tu dzisiaj.

Karolina, Aleksandra i Martyna stały pod sztandarem partii Razem. – Córka pytała mnie przed wyjściem, dokąd idę – mówiła Karolina. – Odparłam, że idę protestować, aby jej było w życiu trochę lżej. Ja się bardzo boję. Boję się, że umrę, że zostawię moje dziecko, gdybym znów zaszła w ciążę. Jesteśmy świadome tego, że w Polsce jest o wiele więcej kobiet, którym przydarzają się takie tragedie, które pozbawia się możliwości macierzyństwa, zwlekając z ratowaniem ich zdrowia, a w najgorszym wypadku życia.

Wszystkie panie podkreślały, że są na proteście głównie dla swoich dzieci.

Ilona Michalak z KOD Bydgoszcz przypomniła nazwiska posłów PiS z okręgu bydgoskiego, którzy podpisali się pod nieludzkimi ustawami, głosowali za nimi i skierowali do Trybunału Konstytucyjnego – Ewy Kozaneckiej, Tomasza Latosa, Bartosza Kownackiego i Piotra Króla. – Zapamiętajmy nazwiska tych i innych posłów, którzy głosowali za tą uchwałą. Pamiętajmy o tym przy urnach wyborczych – mówiła.

Pani Jadwiga przyszła na protest z mężem. – Jako kobiety jesteśmy traktowane jak najgorszy sort – oznajmiła. – To jest coś nieprawdopodobnego, żeby kobieta nie mogła się leczyć czy godnie rodzić. Według mnie zachodzenie w ciążę to dziś heroizm. Mamy dzieci i wnuczkę, i nie chcemy, żeby ją coś takiego spotkało.

– Mam dość przemocy systemowej, dość traktowania nas jak istot niemyślących i nieczujących, dość skazywania na cierpienie i śmierć, dość braku wrażliwości i empatii, mimo że wychodzimy na ulicę i krzyczymy – mówiła Marika z inicjatywy Plakacjary przeciw przemocy wobec kobiet. Podkreśliła, że cieszy ją obecność tak wielu młodych kobiet na placu. Wspomniała, że kiedy usłyszała o tzw. pokoju do płakania dla matek, przeszła jej ochota na potomstwo. W swoim przemówieniu cytowała Marię Peszek: „W imię matki i córki, i brzucha świętego! Ani jednej więcej!”.

Idę protestować, aby mojej córce było w życiu trochę lżej.

tylko dzwonią do aktywistek? Mamy sygnały, że telefonów z prośbami o pomoc jest tygodniowo aż 20 tys.

„Lekarz to nie ksiądz, szpital to nie kościół, a aborcja to decyzja kobiety, a nie polityczny spór – dlatego idę na protest 14 czerwca” – to słowa młodej toruniarki nagrane do zapowiedzi wydarzenia. „Będę, bo nie godzę się na to, żeby kobiety umierały w polskich szpitalach”, mówi kolejna.

Ciąża to heroizm

W Bydgoszczy na placu Praw Kobiet pod siedzibą Prawa i Sprawiedliwości przypomniano historię Doroty, która w piątym miesiącu ciąży trafiła z bezwodziem do Podhalańskiego Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II w Nowym Targu. Kazano jej leżeć z nogami w górę, bo, jak twierdzono, mogło to pomóc w przywróceniu wód płodowych. Nie leczono kobiety i nie ratowano przed sepsą. Ani jej, ani rodziny nie

mieć więcej dzieci. Mam coraz mniej zaufania do lekarzy. Jest mi bardzo przykro, dlatego tu jestem. Solidaryzuję się z każdą kobietą, która musiała umrzeć z powodu prawa obowiązującego w naszym państwie. Ja w sytuacji krytycznej zwróciłabym się do FEDERY, bo mam do nich zaufanie. Gdyby natomiast lekarze nie chcieli mi pomóc, wypisałabym się ze szpitala na własne życzenie i szukałabym pomocy za granicą. I to jest tragiczne, że trzeba uciekać, by rodzić bezpiecznie i godnie.

Igor, ojciec dwójki dzieci, przyszedł wspierać kobiety. – Nie można demonizować lekarzy – mówił – gdyż na co dzień ratują ludziom życie. My z żoną możemy im dziękować, bo nam się udało. Ale to, co nas dziś nie dotyczy, może nas dotknąć w przyszłości. Co do referendum aborcyjnego – byłoby z nim jak z brexitem, czyli wielka kampania, a potem wynik i koniec. Może lepiej od razu podzielić Polskę na pół i niech każdy żyje tam, gdzie chce

Na proteście był też Chris z Edynburga, który ma krewnych w Polsce. – Każde stracone w ten sposób życie to o jedno za dużo. I to jest wystarczający powód, by tu stać i protestować – przekonywał. – Kobiety w Wielkiej Brytanii są w innej sytuacji, tutaj jest średniowiecze, to się nie powinno dziać.

Cynizm na paskach TVP

„Możecie Państwo przekazać, że dziękuję bardzo Szpitalowi im. Biziela w Bydgoszczy, lekarzom oraz pozostałemu personelowi za opiekę przed zabiegiem, jak i teraz po. Szpital zadbał o moje poczucie bezpieczeństwa i zdrowia. Teraz szczególnie dbają o moje zdrowie psychiczne, ponieważ fizycznie czuję się dosyć dobrze, a psychicznie jeszcze trochę pracy przede mną. Jeśli mogę, to proszę także o podanie informacji, że bardzo prosimy o uszanowanie naszej prywatności w tym ciężkim dla nas czasie. Chcielibyśmy przeżyć naszą żałobę w spokoju,

z dala od medialnego szumu, ponieważ to jeszcze bardziej powoduje nasz ból i rozpamiętywanie tego, co przechodzimy” – takie oświadczenie napisała Roksana, zanim urwał się z nią kontakt. Feministki podejrzewają, że wymuszono na niej milczenie.

W dniu protestów Kamila Wiecińska, specjalistka ds. PR w Szpitalu Uniwersyteckim nr 2 im. dr. J. Biziela

zgodnie z kanonami wiedzy medycznej i za zgodą pacjenta. Decyzje te nie mogą być »wymuszane« presją medialną czy wywieraną przez inne osoby nieposiadające koniecznej wiedzy o stanie zdrowia pacjenta. Szpital rozumie, iż interwencje takie podejmowane są w dobrej wierze, jednakże powodują one zbędny niepokój społeczny, z uwagi na wskazany brak pełnego obrazu sytuacji”.

Po śmierci Doroty lekarze z podhalańskiego szpitala apelowali, by nie wiązać tragedii z dyrektorem placówki Markiem Wierzbą, który jest radnym Sejmiku Małopolskiego z PiS i członkiem partii Suwerenna Polska Zbigniewa Ziobry.

W wieczornych „Wiadomościach” TVP dosadnie o protestach. Na pasku „cyniczna histeria wobec dramatu”. W komentarzach m.in. „kobiety są chronione” i „wykorzystywanie śmierci do brudnej politycznej gry”.

W komentarzach m.in. „kobiety są chronione” i „wykorzystywanie śmierci do brudnej politycznej gry”.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

Boję się, że umrę, że zostawię moje dziecko, gdybym znów zaszła w ciążę.

w Bydgoszczy, odmówiła komentarza dla mediów. Przesłała oficjalne oświadczenie sprzed kilku dni: „Szانونi Państwo, w związku z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej informacjami dotyczącymi pacjentki naszego Szpitala wskazujemy, co następuje. Szpital z całą mocą pragnie podkreślić, iż jego działania są nakierowane na dobro pacjentów. Decyzje diagnostyczno-terapeutyczne są podejmowane na bieżąco w oparciu o bieżący stan zdrowia pacjenta,

NIE MASZ GRAFIKA ANI POMYSŁU?

Nie martw się, przygotujemy
Twoją reklamę GRATIS

Chcesz się wypromować?

TU może być Twoja firma!

CZYTELNIKU, kupując miejsce
reklamowe, wspierasz PRZEGLĄD

Zapraszamy do współpracy:

a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl, tel. 22 635 84 10 wew. 111

Lato nad obcymi morzami

Ten rok dla polskich biur turystycznych zapowiada się lepiej niż rekordowy rok 2019

Marek Czarkowski

Szczyt tegorocznego sezonu wypoczynkowego rozpoczął się nad Wisłą jak zwykle. W sobotę 3 czerwca z lotniska w Radomiu odleciał do Antalyi pierwszy wyczarterowany przez biuro podróży Boeing 737 MAX z turystami spragnionymi słońca na Riwierze Tureckiej. Rodacy nie byłiby sobą, gdyby na wysokości 8 tys. m nie dali ostro w szyję i nie pobili się. Na lotnisku w Antalyi interweniowały tamtejsze służby, a biuro prasowe Polskich Linii Lotniczych LOT, do których należał samolot, poinformowało, że „pasażerowie, którzy nadużyli alkoholu i zachowywali się wulgarnie, zostali wpisani na tzw. czarną listę”. Czyli nie będą mogli wrócić z Turcji na pokładach samolotów LOT, co z pewnością zmusi ich do zmiany wakacyjnych planów.

Możemy przyjąć, że podobnych zdarzeń będzie w tym roku więcej, bo po zdjęciu ograniczeń covidowych Polacy masowo ruszyli do biur podróży, by skorzystać z przygotowanych dla nich ofert. Szacunki mówią, że ok. 30% wyjedzie na wakacje za granicę.

– Porównując sprzedaż rok do roku, odnotowujemy wzrosty rzędu 60% – mówi Piotr Henicz, wiceprezes Polskiej Izby Turystyki oraz spółki Itaka Holdings. W jego ocenie rośnie zarówno sprzedaż klasycznych pakietów obejmujących hotel, usługę all inclusive, przelot, transfery, opiekę rezydenta, ubezpieczenie, a także wycieczki objazdowe, jak i nowych, bardziej zindywidualizowanych ofert, jak Itaka Smart, które pozwalają klientom decydować na przykład, ile dni ma trwać wyjazd czy z jakiego lotniska będzie wylot itp.

Ten rok dla polskich biur podróży zapowiada się lepiej niż rekordowy

rok 2019. Pełni optymizmu są też hotelarze w Turcji, Egipcie, Grecji, Chorwacji, Włoszech, Tunezji i Hiszpanii, czyli w państwach tradycyjnie wybieranych przez większość Europejczyków jako miejsce letniego wypoczynku.

Turcy planują przyjąć w tym roku ponad 54 mln turystów i osiągnąć przychód rzędu 46 mld dol. Egipcjanie planują budowę 300 tys. nowych pokoi hotelowych i poważne inwestycje w infrastrukturę, w tym lotniska, by znacząco zwiększyć liczbę odwiedzających kraj gości – nawet do 30 mln w roku 2028. Podobne plany mają rządy innych krajów leżących w basenie Morza Śródziemnego. Bo branża turystyczna to poważny biznes, którego znaczenie będzie rosło. I wszyscy starają się uszczknąć jak najwięcej z polskiego tortu.

Egipcjanie planują budowę 300 tys. nowych pokoi hotelowych i poważne inwestycje w infrastrukturę, w tym lotniska.

Jak podaje Hiszpański Urząd Statystyczny, w ubiegłym roku ten kraj odwiedziło aż 1,54 mln Polaków. Co stanowiło wzrost o 130% w stosunku do roku poprzedniego. Nie mogą też na nas narzekać Turcy. Według tamtejszego ministerstwa turystyki, od stycznia do listopada 2022 r. wczasy w tym kraju spędziło 1,12 mln Polaków. O 300 tys. więcej niż w rekordowym roku 2019.

Podobnie rzecz się ma w Egipcie i choć nie ma dokładnych danych, z pewnością w roku ubiegłym kraj faraonów odwiedziło ponad milion rodaków.

Kolejnym naszym ulubionym kierunkiem była Grecja. Rok temu wakacje spędziło tam 900 tys. turystów z Polski. Z innych kierunków wybieraliśmy Bułgarię – 300 tys. gości

znad Wisły i Chorwację – 246 tys. Te dane świadczą, że mimo wojny w Ukrainie i osłabienia tempa wzrostu gospodarczego lubimy podróżować i nie oszczędzamy.

Zajęcie dla ludzi o mocnych nerwach

Mało kto wie, jak wymagająca i nerwowa jest organizacja masowego wypoczynku. O ile w przeszłości wyjazdy zagraniczne były ofertą dla bogatych i wyjeżdżało niewielu, dziś każdego roku setki milionów ludzi krąży po Europie, Afryce Północnej i Bliskim Wschodzie w poszukiwaniu słońca i atrakcji.

Na początku czerwca br. pojawiła się informacja, że biuro podróży Coral Travel zawarło z linią lotniczą Enter Air wartą ponad 400 mln zł

umowę na loty czarterowe w tegorocznym sezonie letnim oraz zimowym – 2023/2024. Oznacza to, że Coral, podobnie jak inne biura podróży, ma już dziś w swojej ofercie wycieczki na sezon zimowy.

Z największymi polskimi biurami podróży – Itaką, Rainbow Tour, TUI oraz właśnie Coral Travel – linie lotnicze Enter Air zawarły w tym roku umowy czarterowe o łącznej wartości 1,6 mld zł. A to nie koniec. Biura podróży muszą jeszcze podpisać umowy z właścicielami hoteli – w Egipcie, Turcji, Hiszpanii, Włoszech, Tajlandii, Wietnamie, na Kubie, w Dominikanie, Meksyku i wszystkich tych krajach, do których gotowi są wyjechać Polacy.

Jest w tym trochę ryzyka. Jeśli doszłoby do gwałtownego spadku



Świątynie Luksoru, piramidy w Gizie, grobowce faraonów w Dolinie Królów przyciągają turystów znad Wisły.

kursu złotego albo gdyby nie udało się sprzedać planowanych wycieczek, biuro znalazłoby się w poważnych tarapatach. Dlatego w tym biznesie potrzebne jest dobre rozeznanie potrzeb klientów, znajomość rynku usług lotniczych i hotelowych oraz trochę szczęścia.

Jeśli gospodarka rozwija się bez wstrząsów, pracownicy mają stabilne dochody, a biura podróży od strony organizacyjnej trzymają wysoki poziom, branża przynosi zyski. Nie zawsze tak było. W przeszłości wielokrotnie mieliśmy do czynienia z upadłościami nawet dużych firm, takich jak Alfa Star czy Orbis Travel, a co za tym idzie problemami związanymi ze sprowadzeniem turystów do kraju.

Dziś ryzyko podobnych zdarzeń jest o wiele mniejsze. Polacy nauczyli się korzystać z usług sprawdzonych touroperatorów, nawet jeśli oznaczało to konieczność zapłacenia trochę wyższej ceny. A i biura podróży nabrały doświadczenia i okrzepły.

Nadal otwartą pozostaje kwestia jakości usług. W sieci znajdziemy wiele skarg klientów na linie lotnicze niedbale traktujące ich bagaże, na niekompetentnych rezydentów

biur podróży, którzy bardziej zajmują się sobą niż klientami. Oddzielny rozdział to opisy brudnych, pełnych egzotycznych owadów pokoi, fatalnego jedzenia oraz wysokich opłat, jakich żądają rezydenci za organizowane wycieczki.

Z tymi i innymi problemami muszą radzić sobie właściciele i pracownicy biur. Na szczęście z każdym rokiem sytuacja się poprawia. Prezes Piotr Henicz podkreśla, że Polacy nie tylko podróżują więcej, ale także bardziej komfortowo: najchętniej wybierają hotele cztero- i pięciogwiazdkowe, dużym zainteresowaniem cieszą się też przeloty w lepszych klasach. Jego zdaniem wzrostowi ilościowemu będzie towarzyszył dalszy wzrost jakościowy, zarówno w standardzie wybieranych ofert, jak i większej ich personalizacji.

Biura podróży od dawna starają się dostosować do oczekiwań klientów. Co np. oznacza możliwość zakupu wycieczki z rocznym wyprzedzeniem po wpłacie części kwoty. Takie oferty bywają nieco tańsze od późniejszych. Przewidują chociażby możliwość wyboru pokoju hotelowego. Pełną opłatę należy zaś uiścić np. 30 dni przed wylotem. Jest to

możliwe, gdyż biura z dużym wyprzedzeniem kontraktują pokoje w hotelach. Dzięki temu zyskują czas, by sprzedać je klientom, a cena, którą przyjdzie zapłacić tureckim, egipskim czy tunezyjskim hotelarzom, będzie niższa. Jeśli touroperatorom uda się sprzedać większość wycieczek, wszyscy będą mogli liczyć na zysk. A jeśli pojawią się problemy, pojawiają się też straty. Choć na ich ograniczenie są sposoby.

Czy last minute to przeszłość?

Przez lata w Polsce lansowano modę na wycieczki last minute – czyli tanie wyjazdy, kupowane niemalże w ostatniej chwili. „Lasty” stały się nad Wisłą marką, pod którą oferowano często produkty, delikatnie mówiąc, nie najwyższej jakości. W ostatnich dwóch latach sytuacja się zmieniła. Co prawda, można trafić na ofertę last minute, lecz niska w tym przypadku cena oznacza, że touroperator sprzedaje nie tyle miejsce w tureckim bądź egipskim hotelu, ile miejsce w samolocie. Wynika to z faktu, że biura podróży, zawierając umowy z liniami lotniczymi, zobowiązują się do ▶

► zapełnienia kompletu pasażerów. Podobnie rzecz się ma w przypadku umów z właścicielami hoteli. Dlatego biurom bardziej się opłaca sprzedać tanio wycieczkę i w ten sposób uzyskać choć niewielki przychód, niż w pełni pokryć koszty przelotu w obie strony oraz hotelu.

Liczba „lastów” spadła także dlatego, że po pandemii w Europie gwałtownie wzrosło zainteresowanie wyjazdami zagranicznymi, a podaż pozostała na mniej więcej

W internecie bez trudu znajdziemy opinie dotyczące tak biur podróży, jak i hoteli. By nie popełnić błędu, planowaniem wyjazdu najlepiej zająć się kilka miesięcy wcześniej.

Ważną kwestią jest bezpieczeństwo. Na początku lutego br. Turcję i Syrię nawiedziło trzęsienie ziemi, w wyniku którego śmierć poniosło ponad 45 tys. ludzi. Na szczęście popularne wśród turystów miejscowości na Morzem Śródziemnym – Antalya, Bodrum, Marmaris,

najczęściej w kilku wariantach. Spotkałem się nawet z ubezpieczeniem od deszczu.

Dobrze jest zabrać ze sobą pewną sumę dolarów lub euro. Powszechna w Polsce dostępność bankomatów oraz terminali obsługujących karty kredytowe nie jest tam czymś oczywistym.

Tym, którzy cenią sobie spokój i bezpieczeństwo, polecałbym wypoczynek w państwach Unii Europejskiej. Standard hoteli jest znany i przewidywalny, ceny zbliżone, nie trzeba mieć paszportu, bez problemów możemy skorzystać z lokalnej służby zdrowia. Jeśli więc na tym nam zależy, jako kierunek letnich wypraw powinniśmy rozważyć Chorwację, Włochy, Hiszpanię, Grecję, Portugalię lub Francję. W ostatnich latach popularność zyskuje Bułgaria, która w latach 70. i 80. była ważnym miejscem wypoczynku Polaków. Ciekawe są Węgry. Latem na północy kraju w okolicach Egeru rodacy dosłownie okupują należące do lokalnych producentów piwniczki pełne doskonałych win. Ceny tych trunków są tak niskie, że przypominają najpierw o zawrót, a następnie o ból głowy. W restauracjach w Mezőkövesd Bogács Gyöngyös są nawet polskojęzyczne karty dań. I najważniejsze – Węgry są blisko. Od polskiej granicy dojedzie się tam w trzy, cztery godziny samochodem.

Turcy zamierzają przyjąć w tym roku ponad 54 mln turystów i osiągnąć przychód rzędu 46 mld dol.

niezmienionym poziomie. W latach 2020-2021 liczba miejsc hotelowych w popularnych krajach basenu Morza Śródziemnego nie wzrosła. Inwestycje w Turcji, Egipcie i innych państwach dopiero w tym roku ruszyły pełną parą.

Gotowość Polaków do płacenia więcej za możliwość wyjazdu ma wpływ na ceny, które rosną nie tylko z powodu inflacji. Klienci oraz biura podróży przywiązują coraz większą wagę do jakości oferowanych usług. Prezes Henicz podkreśla, że najatrakcyjniejsze oferty często są sprzedawane na pniu w przedsprzedaży, czyli niemal z rocznym wyprzedzeniem. To samo dotyczy drogich luksusowych ofert. Dziś trudno kupić wyjazd w cenie 5-7 tys. zł od osoby za ośmiodniowy pobyt w eleganckim egipskim hotelu w terminie lipcowym lub sierpniowym. Bardziej dostępne są terminy wrześniowe i październikowe. Jeśli w przyszłym roku popyt na wyjazdy do krajów śródziemnomorskich nie spadnie, ceny znów wzrosną, a ofert last minute będzie jeszcze mniej.

Komu egzotyka, komu Europa

Popularność wyjazdów zagranicznych wynika m.in. z tego, że koszt wakacji w kraju jest porównywalny. „Paragony grozy” potwierdzające, że kubek kawy rozpuszczalnej nad morzem kosztuje 16 zł, a za toaletę przychodzi płacić 5 zł, zniechęcają wielu do rozpatrywania ofert krajowych.

Side czy Belek – znalazły się w odległości ponad 600 km od epicentrum. Riwiera Turecka nie ucierpiała i po krótkim zamieszaniu sprzedaż wycieczek do tego kraju ponownie ruszyła. Wybierając ten region, możemy liczyć na umiarkowane ceny i przyzwoity standard hoteli, pod warunkiem, że wybierzemy te cztero-, pięciogwiazdkowe.

Naturalnym konkurentem Turcji jest Egipt, którego atrakcji historycznych nie trzeba przedstawiać. W ostatnich latach poprawił się standard tamtejszych hoteli, zwłaszcza nowych. Lepsza jest też jakość usług. Polacy, obok Niemców i Brytyjczyków, są nacją, która

Latem na północy Węgier w okolicach Egeru rodacy okupują piwniczki pełne doskonałych win.

latem najchętniej odwiedza ten kraj. Świątynie Luksoru, piramidy w Gizie, grobowce faraonów w Dolinie Królów przyciągają turystów z nad Wisły. Podobnie jak względnie niskie ceny, jeśli tylko umiemy się targować.

W przypadku każdego wyjazdu zagranicznego, zwłaszcza poza obszar Unii Europejskiej, nie wolno nam zapomnieć o ubezpieczeniu. Koszty leczenia w Egipcie, Turcji czy Tunezji mogą okazać się poważnym wyzwaniem. Ubezpieczenie jest więc koniecznością. Sprzedawca w biurze podróży powinien je zaoferować,

Mieszkańcy Śląska, Małopolski czy Podkarpacia na Węgry mają bliżej niż nad Bałtyk, dlatego chętnie wybierają ten kraj. Poza tym latem u brataników jest wyśmienita pogoda.

Gdy weźmiemy pod uwagę wszystkie te czynniki, sprawdzimy stan rachunku bankowego, po zasięgnięciu opinii przyjaciół i znajomych oraz przekopaniu się przez zasoby internetu z pewnością dobrze wybierzemy miejsce wakacyjnego wypoczynku. A pracownicy biur podróży z pewnością nam pomogą.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Najwierniejszy żołnierz PiS

Podpisawszy lex Tusk, dr Duda krzychał: „Nigdy nie rozumiem, jak można porzucić ważną funkcję w Rzeczypospolitej Polskiej, ważny, odpowiedzialny urząd po to, żeby pracować gdzieś w Brukseli. (...) Są granice pazerności na pieniądze”. W roku 1978 mógłby tak krzychać Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa PRL: „Nigdy nie rozumiem, jak można porzucić ważną funkcję w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ważny, odpowiedzialny urząd kościelny po to, żeby pracować gdzieś w Watykanie...”. Proszę mi nie zarzucać demagogii – funkcje papieża i przewodniczącego Rady Europejskiej są porównywalne. Lecz – oczywiście – Henryk Jabłoński nigdy tak nie krzychał.

Nie po raz pierwszy oglądaliśmy humorystyczne barbarzyństwo naszej obecnej władzy. I nie po raz pierwszy widzieliśmy, jak wielki ma w nim udział dr Duda. Skądinąd to dziwne. W Krakowie pamięta się go jako grzecznego, uczynnego i uładnego harcerzyka. Potem – ambitnego działacza Unii Wolności. Na Uniwersytecie Jagiellońskim był pracownikiem karnym i usłużnym. Może więc z wszystkich tych racji wiązano czasem z dr. Dudą pewne nadzieje. Rojono, że ośrodek prezydencki skupia lepsze, bardziej liberalne skrzydło PiS, porównywano go do „grupy zamkowej” prezydenta Ignacego Mościckiego. Choć trudno byłoby sobie wyobrazić Mościckiego mejlującego z „ruchadłem leśnym” lub rapującego o „ostrym cieniu mgły”.

Niemniej jednak nadzieje były (rejestrował je niedawno PRZEGLĄD) i rzeczywiście, w roku 2017 wielu się entuzjazmowało, gdy dr Duda zawetował ustawę o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa. Dziś widać, że miało to na celu wyłącznie rozładowanie społecznych protestów, bo prezydencka nowelizacja, wprowadzając instytucję „skargi nadzwyczajnej”, ustawę dodatkowo jeszcze zaostrzyła. A ustawa o sądach powszechnych, zapowiadająca masowe czystki, została wtedy od razu podpisana. Mimo to parę lat później, w związku z wetem w sprawie lex TVN, złudzenia wróciły. A przecież i to wet było w interesie PiS – ratowało dobre stosunki z Amerykanami. Równocześnie zaś, stale w wyłącznym interesie PiS, dr Duda łamał konstytucję. Uczynił to co najmniej kilkanaście razy. Choć kiedyś przysięgał wierność konstytucji i nawet dodawał: „Tak mi dopomóż Bóg”. Czyli krzywoprzysięgał. Kościół jakoś tym się nie zgorzyszył.

Do czego dr Duda jest naprawdę zdolny, o tym mówiono ostatnio wiele, ale nigdy dość przypominania.

Wszak najpierw (29 maja) podpisał w tempie ekspresowym niekonstytucyjną ustawę o badaniu wpływów rosyjskich i nawet nie usiłował ukryć, że jej celem jest dopadnięcie Tuska. Nie mógł się ustawy dosyć nachwalić, a krytyki płynące zza granicy uznawał za niezrozumiałe. Ale już po czterech dniach (2 czerwca) przestraszył się, co narobił, połknął własny język i skierował do Sejmu projekt łagodzący dotychczasowe zapisy (dopiero teraz je dostrzegł?), lecz utrzymujący możliwość skazania przez większość sejmową dowolnego polityka na faktyczną infamie. Czyli w dalszym ciągu gwałcący konstytucję i demokrację.

Gdy jednak dr Duda zobaczył marsz opozycji 4 czerwca, przestraszył się jeszcze bardziej i zaczął się urządzać na wypadek wyborów przegranych przez PiS. Więc raz jeszcze pojawiła się niekonstytucyjność, bo projekt skierowany przezeń 6 czerwca do Sejmu o współkształtowanie polityki zagranicznej przez prezydenta jest z konstytucją sprzeczny: jej artykuł 146 mówi jasno, że politykę

W ośmieszanu Polski można na dr. Dudę zawsze liczyć.

tę kształtuje rząd. Czyli chodzi o sparaliżowanie przyszłego rządu. O dwuwładzę, o powstanie dwóch polskich państw. Cóż, Rzeczypospolita to dla PiS tylko postaw czerewnego sukna.

Wszystko to nie powinno jednak zaskakiwać. To, co dr Duda sądzi o demokracji, widać było zaraz po jego wyborze, w roku 2015, gdy zignorował obecność przy swoim boku urzędującej premier Ewy Kopacz. To, co mniema o Unii Europejskiej, wyjawiał, gdy nazwał ją „wyimaginowaną wspólnotą”. To, jakie ma pojęcie o polityce międzynarodowej, uświadomił, gdy po zwycięstwie wyborczym Joego Bidena czekał jeszcze na decyzję elektorów (to wtedy Jakub Żulczyk nazwał go debilem, co oczywiście nie jest prawdą, bo dr Duda nie jest debilem). To wreszcie, jak rozumie własną godność, pokazał, podpisując dokumenty u boku Donalda Trumpa, z figlarnym uśmiechem i w niewygodnym przykucnięciu. A wszystkim tym działaniom towarzyszyły patetyczne przemówienia, z krzykami, gniewnymi minami i deklaracjami o niezłomności. Żadnych złudzeń, panowie, żadnych złudzeń. W ośmieszanu Polski można na dr. Dudę zawsze liczyć.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

PSYCHIATRA PRZY TAŚMIE



W związku z olbrzymim zapotrzebowaniem na porady system wymusza na lekarzach zwiększenie tempa pracy, czego konsekwencją jest obniżenie jakości leczenia

Dominika Tworek

Paulina Merkel zdecydowała się po raz pierwszy w życiu pójść do psychiatry, kiedy wszechogarniający lęk, niemoc w wykonywaniu codziennych czynności, rozpacz i niechęć do wstawania z łóżka stały się permanentnymi towarzyszami jej życia. Na wizytę w ramach NFZ czekała trzy miesiące. W tym czasie jej stan tylko się pogarszał.

– Po kilkunastu minutach rozmowy psychiatra przepisała mi leki na uspokojenie, po czym podsunęła mi swoją wizytówkę i zaprosiła do siebie prywatnie. W odpowiedzi na moje oburzenie usłyszałam, że na NFZ niewiele jest w stanie zrobić, że takie są realia. Nie miałam pieniędzy na prywatne leczenie. Zależało mi też, żeby znaleźć bezpłatną psychoterapię. Lekarka powiedziała mi lakonicznie, że nie będzie to możliwe. Dostałam leki, ale tak naprawdę zostałam odprawiona z kwitkiem, opowiada 28-latką.

Jej rozczarowanie powoli ustępowało miejsca przekonaniom: „dam sobie radę” czy „pewnie przesadzam”. Jednak gdy z upływem czasu czuła się coraz bardziej udręczona, postawiła na prywatną wizytę u psychiatry: – Bardzo się bałam znów przed kimś otworzyć. Do gabinetu weszłam zaptakana. Lekarz chłodno zapytał, co mi jest. Zaczęłam mówić o tym, że mam myśli samobójcze, on

– z zegarkiem w ręku – 7 minut. Specjalista mający opinię „konkretnego faceta” potraktował mnie po prostu jak worek z pieniędzmi. Po mnie przychodzą kolejne osoby, które również za parę minut konsultacji płaciły 200 zł. To był taśmowy przerób pacjentów. A ja nie miałam siły szukać innych możliwości. Jeśli komuś nie chce się żyć, tym bardziej nie ma energii na przepychanki z lekarzami.

Coraz częściej pacjenci na pierwszą wizytę są zapisywani co 20 minut.

zadał kilka podstawowych pytań, po czym stwierdził, że to lekka depresja, ale „teraz każdy ma depresję, takie czasy”. Dostałam receptę na leki i zapewnienie, że do czerwca będzie OK. Wizyta skończyła się po 10 minutach. Kilka tygodni później wróciłam na kontrolę. Powiedziałam, że generalnie czuję się lepiej, ale wciąż mam stany depresyjne. Psychiatra podwoił mi dawkę leków. Nasza rozmowa trwała

W rzeczywistości lęku i niepewności związanych z pandemią COVID-19, a potem eskalacją wojny w Ukrainie oraz indywidualizacji czy wręcz społecznej izolacji, będących skutkiem rozwoju mediów społecznościowych, stale przybywa osób potrzebujących pomocy psychiatrycznej. Państwowy, ogromnie niedofinansowany system (w Polsce na opiekę psychiatryczną i leczenie

uzależnień wydaje się 3,5% tego, co Narodowy Fundusz Zdrowia przeznacza na wszystkie dziedziny ochrony zdrowia; dla porównania – średnia europejska to 6%, a w Niemczech ponad 10%) nie wytrzymuje presji, przez co opieka nad pacjentami psychiatrycznymi znajduje się dziś głównie na rynku prywatnym.

Gromada dzieci i jeden bochenek chleba

Psychiatrzy alarmują, że w związku z olbrzymim zapotrzebowaniem system wymusza na nich zwiększenie tempa pracy, czego konsekwencją jest obniżenie jakości leczenia.

– Jest dokładnie tak, jak z gromadą dzieci i jednym bochenkiem chleba: albo wszyscy dostaną po okruszku, albo kilka osób się naje i przetrwa. To ogromny dylemat moralny. Ja uważam, że należy określać, ilu osobom jest się w stanie pomóc w danym momencie i robić to dobrze. Praca pod presją czasu powoduje, że łatwo o pomyłkę, która może kosztować naszych pacjentów życie, mówi dr Joanna Mazurek, psychiatra z 30-letnim doświadczeniem.

Joachim Budny, młody specjalista, pracujący w poradni NFZ oraz placówkach prywatnych, zwraca uwagę na ten problem w państwowej służbie zdrowia: – O ile w przypadku wizyt prywatnych lekarze sami decydują, ile mają one trwać i mogą ustalić sobie godzinne czy nawet półtoragodzinne pierwsze spotkanie, o tyle w ramach NFZ muszą one trwać 45 minut. A coraz częściej pacjenci na pierwszą wizytę są zapisywani co 20 minut. Więc jak lekarz chce wykonywać swoją pracę należycie i poświęcić pacjentowi czas, aby zebrać komplet informacji, tworzą się kolejki, a za nadgodziny nikt mu nie zapłaci. W dodatku NFZ określił wizyty kontrolne na 15 minut, podczas gdy najkrótsze wizyty w prywatnym systemie określane są na 20 minut. Na szczęście dziś coraz mniej lekarzy zgadza się na takie warunki. Jest to jeden z powodów odpływu specjalistów do prywatnej opieki zdrowotnej.

Proceder 20-minutowych pierwszorazowych wizyt uwidacznia się także w sektorze komercyjnym,

głównie w dużych korporacjach medycznych, jak Ginemedita czy Luxmed. A większość konsultacji diagnostycznych na rynku prywatnym trwa ok. 40 minut. Jakość opieki psychiatrycznej w Polsce nie zależy więc od tego, czy wydamy na prywatną wizytę 200-300 zł, czy zostanie ona sfinansowana przez NFZ, ale od postawy i wrażliwości danego lekarza.

Według dr Mazurek coraz większa intensyfikacja pracy sprawia, że obecnie psychiatrzy przyjmują pacjentów bez przerwy, jeden po drugim: – My stykamy się z naprawdę koszmarnymi historiami utraty najbliższych czy niewyobrażalnej przemocy. Potrzebne by było przynajmniej 10-15 minut, żeby po tym się pozbierać. Jeżeli nie ma tej przerwy i wchodzi następna osoba, z kolejnym ładunkiem emocjonalnym, gdy w środku panuje jeszcze bałagan po poprzednim, to nadużywamy swojego wewnętrznego aparatu psychicznego, który też ma jakąś pojemność. Lata praktyki uczą nas, jak zapewnić sobie elementarny komfort. Moim zdaniem pomocne jest zmniejszenie liczby pacjentów i zapewnienie

nam swoją historię, po to, by uzyskać wystarczającą ilość danych, żeby w ogóle myśleć o pochodzeniu objawów jego choroby, na przykład bezsenności czy lęków. Bez poznania całości stanu obecnego i historii pacjenta możemy kompletnie nic nie zrozumieć. To tak, jakby na chwilę wejść na salę kinową w 10. minucie filmu, wyjść i wrócić na kolejną chwilę w 50. minucie, a później napisać recenzję filmu. Podstawą naszej pracy jest więc budowanie relacji, czego nie da się zrobić w 20 minut. Często trzeba poświęcić kilka wizyt, żeby stworzyć ku temu warunki. Wychodzę z założenia, że na wstępną diagnozę i propozycję leczenia trzeba przeznaczyć co najmniej trzy dłuższe spotkania.

Obecnie komercyjne placówki w dużej mierze opierają swoją działalność na spotkaniach w formie online. Wirtualny kontakt z pacjentem, który w założeniu miał być narzędziem wspomagającym pracę lekarzy, dziś stał się normą, co zubaża proces leczenia o ważny czynnik budowania relacji specjalista-pacjent.

Wirtualny kontakt z pacjentem, który w założeniu miał być narzędziem wspomagającym pracę lekarzy, dziś stał się normą.

każdemu z nich dostatecznej ilości czasu, żeby nie zostać z poczuciem, że się kogoś wyprasza z gabinetu, bo już czeka następny. Kończenie rozmowy w momencie, kiedy pacjent wnosi jakąś dramatyczną historię, jest zawsze przemocą wobec niego, której musimy dokonać najdelikatniej, jak potrafimy. Jeżeli mamy 45-minutowe spotkanie, jest trochę łatwiej, natomiast przy 20 minutach robi się to bardzo brutalne. Młodzi lekarze mają jeszcze dużo energii i wydaje im się, że udźwigną więcej. Ale to szybko okazuje się mrzonką, krzywdzącą osoby, które w coraz młodszy wiek skarżą się na wypalenie zawodowe.

Humanistyczne podejście

Dr Mazurek optuje za powrotem do humanistycznego podejścia w leczeniu: – Chodzi o poświęcenie czasu na to, żeby pacjent opowiedział

O potrzebie zaopiekowania przez psychiatrę mówią sami zainteresowani leczeniem. Dla Joanny Roli, która od wielu lat choruje na depresję, pierwsza styczność z lekarzem od psychiki była doświadczeniem druzgocącym – o ile początkowe spotkanie trwało ok. 30 minut, o tyle kolejne, na którym zaproponowano jej leki, już tylko 10 minut. Co więcej, lekarstwa nie tylko jej nie pomogły, ale ich skutkiem ubocznym było wypadanie garściami włosów, które 27-latkę już nigdy nie odrosną.

– Kiedy jeszcze przyjmowałam te leki, przypadkiem w tej samej przychodni trafiłam do innej pani psychiatry. Byłam zaskoczona, bo wizyta miała dotyczyć tylko przepisanie recepty, a tymczasem zostałam poproszona o opowiedzenie o sobie, o tym, jak dziś się czuję, jak czułam się wczoraj. Rozmowa trwała godzinę. Lekarka wzbudziła ▶

► we mnie zaufanie i wywołała spokój, ponieważ uważnie słuchała tego, co mówię, odpowiadała na wszystkie moje pytania i wątpliwości. Myślę, że właśnie dzięki temu dobrała mi odpowiednie leczenie, które stosuję od lat, bo bardzo mi pomaga. Poza tym sam kontakt z nią jest dla mnie uzdrawiający, po każdej wizycie czuję się, jakbym zrzuciła z siebie jakiś okropny balast, a to pomaga mi lepiej radzić sobie w życiu, wyznaje młoda kobieta.

Remedium na cierpienie

Dr Mazurek, która jest ordynatorką w państwowym szpitalu, zmartwiona jest również sposobem leczenia, w którym psychiatrzy nie zastanawiają się nad źródłem cierpienia pacjenta, lecz od razu proponują leki. Jako przyczynę wskazuje fakt, że do sektora prywatnego trafiają coraz młodszy lekarze, dopiero zaczynający swoją specjalizację.

– To wspaniałe osoby, które z całą pewnością wybrały psychiatrię z jak najszlachetniejszych powodów. Natomiast zostały uwiedzione tym, że

osoby wcześniej trzy razy obsłużone przez telefon po 20 minut, z mocno niepewną diagnozą, z zastosowaniem całego worka leków. Albo osoby, które zostały porzucone przez niedoświadczonych lekarzy po kilku miesiącach leczenia, bo ci nie wiedzieli, co dalej z nimi robić. Takie doświadczenie może być dla nich szczególnie dewastujące, ponieważ powoduje wtórną traumę.

Pozytywnym zjawiskiem jest natomiast to, że obecnie psychiatria jest jedną z najczęściej wybieranych specjalizacji lekarskich. Dr Michał Feldmann, współwłaściciel ośrodka, w którym pracuje prawie 200 psychiatrów, zwraca uwagę na entuzjazm lekarzy rezydentów, ich zainteresowanie rozwojem naukowym i gotowość do poszukiwania nowych rozwiązań medycznych na całym świecie. Psychiatra podkreśla natomiast inny problem naszego rodzimego systemu – brak recertyfikacji umiejętności specjalistów: – W Polsce lekarz kończący specjalizację może do końca życia uprawiać swój zawód, nie musi przed nikim udowadniać, że nauczył się czegoś

ośrodków wywierają presję na psychiatrów do stosowania metod leczenia, które nie mają oparcia w badaniach naukowych: – Na przykład jedna z takich poradni zaoferowała mi bardzo atrakcyjną stawkę 200 zł za pacjenta plus kolejne 50 zł, jeżeli przepisze się mu medyczną marihuanę. To absurd.

Według psychiatry największą chorobą, która w tej chwili trawi środowisko prywatnej opieki zdrowotnej, są tzw. receptomaty: – Poradnie, które je oferują, opierają się wyłącznie na ankietach i wystawiają recepty przez internet w ciągu kilkunastu minut, z minimalnym przebadaniem pacjenta, a czasami w ogóle bez żadnego badania. Placówki te nadużywają dziś prawa powstałego w wyniku pandemii COVID-19, które miało ułatwić pacjentom dostęp do e-recept. W tej chwili nie ma nad tym żadnej kontroli, co jest szczególnie niebezpieczne w psychiatrii, bo przepisywane leki mają przecież swoje efekty uboczne.

Jeszcze jedną aberracją tego systemu są zespoły, które w prywatnych ośrodkach psychiatrycznych zajmują się diagnozowaniem ADHD lub autyzmu. Diagnoz tych domaga się sami pacjenci, a cena takiego rozpoznania oscyluje w granicach 1-1,5 tys. zł.

– Pacjenci są gotowi tyle zapłacić, żeby dostać lek, który jest pochodną amfetaminy, lub zaświadczenie, które zwolni ich z odpowiedzialności za to, co robią ze swoim życiem. Nie chcą mieć rozpoznania zaburzeń osobowości, które niosą za sobą konieczność psychoterapii, ciężkiej pracy nad sobą i zmierzania się z pewnym mrocznym kawałkiem swojej psychiki. Oczekują tylko biologicznego usprawiedliwienia dla swoich życiowych problemów. Komercyjny system bardzo szybko wyczuł, że jest zapotrzebowanie na taką usługę, przez co psychiatria zamienia się w sklep. Diagnoza czy lek są towarami, które można sobie po prostu kupić, podkreśla dr Mazurek.

Wolny rynek przyczynia się do sytuacji, w których jeżeli psychiatra nie uważa za słuszne postawienie jakiejś diagnozy, pacjenci mogą uzyskać ją u innego specjalisty. – Szczególnie

Psychiatrzy nie zastanawiają się, jakie jest źródło cierpienia pacjenta, tylko od razu proponują leki.

są natychmiast potrzebne, przez co same znalazły się w pułapce, bo często za szybko oczekuje się od nich, że mają sobie radzić. Mają nie zawracać głowy starszym lekarzom, którzy też mierzą się z ogromem pracy, w związku z czym być może za mało czasu poświęcają na pozwolenie tym młodym, by zadawali pytania i demonstrowali niewiedzę. Dziś korporacje nie zapewniają niedoświadczonym lekarzom żadnych superwizji, nie oferują konsultacji ze starszymi kolegami. A ponieważ ulegają oni presji ze strony pacjentów, bo boją się ich gniewu, rozczarowania czy frustracji, proponują to, co pierwsze przychodzi im do głowy. Czasami jest to zastosowanie kilku różnych leków jednocześnie, opowiada specjalistka. I dodaje: – Czujemy się ogromnie sfrustrowani, bo coraz częściej trafiają na nasz oddział

nowego. Podczas gdy w krajach zachodnich, żeby utrzymać uprawienia, trzeba raz na pięć czy dziesięć lat zdać egzamin certyfikacyjny, ponieważ współcześnie nauka zmienia się bardzo szybko, u nas wciąż można spotkać psychiatrów, którzy skończyli specjalizację wiele lat temu i stosują leki, których – według współczesnej wiedzy naukowej – już się nie powinno stosować. To tak, jakby pilota samolotów, który zdobył licencję lotniczą 20 lat temu, sadzać do coraz nowszych boeingów i nie szkolić go z obsługi tych maszyn.

Psychiatria zamienia się w sklep

Kolejny aspekt drogi do brutalizacji polskiej psychiatrii związany jest z jej dziką prywatyzacją. Jak twierdzi lekarz rezydent Joachim Budny, właściciele niektórych prywatnych

mocno zapadli mi w pamięć rodzice, którzy przyprowadzili do mnie syna, prosząc o zaświadczenie wydłużające mu czas na egzaminach. U nastolatka wykryto wtedy zaburzenia autystyczne, ale nigdy nie zgłosił się do nas na leczenie. Po kilku latach, gdy przyszedł czas kolejnych egzaminów, rodzice przyszli, by zaktualizować zaświadczenie. Ale w tym czasie nie zrobili z autyzmem syna absolutnie nic. Byłam zbulwersowana. To tak,

ciężkie zaburzenia psychiczne, jak schizofrenia czy choroba afektywna dwubiegunowa. Niestety, osoby te wciąż zmagają się w Polsce z wykluczeniem społecznym, wypychaniem na margines. Ich stygmatyzacja ciąga za sobą dyskryminację. Przykładem dyskryminacyjnych działań w stosunku do tych kategorii zaburzeń świeci samo polskie państwo, które przeznacza na psychiatrię bardzo małe nakłady, a przez wiele lat

w tym również osobom nieubezpieczonym. Mimo że o tym rozwiązaniu mówiło się w Polsce już na początku lat 90., CZP zaczęły powstawać u nas dopiero w 2018 r.

– Centrum typu A oferuje wszystkie podstawowe formy opieki: ma własny całodobowy oddział psychiatryczny, oddział dzienny, zespół leczenia domowego i poradnię. W każdym z nich znajduje się działający codziennie w godz. 8-18 punkt zgłoszeniowo-koordynacyjny, gdzie pracują psycholodzy, pielęgniarki psychiatryczne, terapeuci środowiskowi. Pacjenci przyjmowani są tam bez wcześniejszych zapisów, a dopiero po takiej wizycie ustalany jest dalszy plan postępowania. Pod każdą taką placówkę podlega średnio 100-120 tys. mieszkańców. Niestety, od dwóch-trzech lat proces rozwoju centrów się zatrzymał, ponieważ Ministerstwo Zdrowia nie wykonało wielu zadań regulacyjnych, które są konieczne, żeby ten model działał w prawidłowy sposób. Dlatego dziś wprowadzanie nowego modelu opieki znalazło się na wirażu. Przyszłość polskiej psychiatrii zależy więc od tego, czy rząd będzie potrafił wyjść z tego zakrętu i powrócić do dialogu z ekspertami, kwituje dr Balicki.

Dominika Tworek

Co czwarty dorosły Polak w ciągu życia miał lub ma objawy, które pozwalają na rozpoznanie jakiegoś zaburzenia psychicznego.

jakby u dziecka zdiagnozowano wadę serca, a jedyne, czego chcieliby rodzice, to żeby zwalniać je z WF-u. Odmówiłam wydania dokumentu. Możliwe, że poszli gdzieś indziej, zapłacili i go dostali. System nie powinien na to pozwalać, komentuje lekarka.

Stomatologizacja psychiatrii

Spółeczeństwo, któremu państwo oferuje właściwie zorganizowaną opiekę psychiatryczną, jest o wiele zdrowsze, a w związku z tym szczęśliwsze oraz lepiej rozwinięte gospodarczo. Tymczasem według przeprowadzonego w 2021 r. „Kompleksowego badania stanu zdrowia psychicznego społeczeństwa i jego uwarunkowań – EZOP II” co czwarty dorosły Polak miał lub ma objawy, które pozwalają na postawienie rozpoznania jakiegoś zaburzenia psychicznego zgodnie z obowiązującą klasyfikacją ICD-10. Dlatego całe wspólnocie, a w szczególności politykom, powinno zależeć, aby uchronić psychiatrię przed zjawiskiem „stomatologizacji”. W stomatologii prawie 90% placówek to ośrodki prywatne, a z badań wynika, że około połowy gospodarstw domowych nie wydaje nic na leczenie swoich zębów, czego główną przyczyną jest brak środków lub obawa o wysokie opłaty.

– Taka prywatyzacja psychiatrii spowodowałaby dramatyczne nierówności w dostępie do specjalistycznej opieki i dotknęłaby zwłaszcza osoby cierpiące na tzw.

odkładało jakiegokolwiek działania reformatorskie, mówi psychiatra i polityk dr Marek Balicki. Według byłego ministra zdrowia, aby publiczny system opieki zdrowotnej wykonywał odpowiednio swoje zadania, należy w ciągu najbliższych dwóch-trzech lat zwiększyć wydatki na opiekę psychiatryczną o co najmniej 50%, a za te pieniądze zapewnić w każdym powiecie Centrum Zdrowia Psychicznego. To ośrodek, który świadczy pacjentom kompleksową opiekę zdrowotną, polegającą na diagnostyce, leczeniu oraz rehabilitacji, a pomoc jest tam udzielana bardzo szybko, bez skierowania i bezpłatnie,

odkładało jakiegokolwiek działania reformatorskie, mówi psychiatra i polityk dr Marek Balicki. Według byłego ministra zdrowia, aby publiczny system opieki zdrowotnej wykonywał odpowiednio swoje zadania, należy w ciągu najbliższych dwóch-trzech lat zwiększyć wydatki na opiekę psychiatryczną o co najmniej 50%, a za te pieniądze zapewnić w każdym powiecie Centrum Zdrowia Psychicznego. To ośrodek, który świadczy pacjentom kompleksową opiekę zdrowotną, polegającą na diagnostyce, leczeniu oraz rehabilitacji, a pomoc jest tam udzielana bardzo szybko, bez skierowania i bezpłatnie,

Dominika Tworek



Marzenie ściętej baterii

Nawet gdyby powstał milion samochodów elektrycznych, to raczej nie pojedzie, bo mamy niecałe 3 tys. stacji ładujących

Kornel Wawrzyniak

Samochodów elektrycznych w Polsce przybywa. Przeciwnicy tej technologii straszą różnymi ciekawostkami, często niemającymi oparcia w rzeczywistości. A wcale nie muszą niczego zmyślać. Dziś głównym problemem elektromobilności nad Wisłą jest niewystarczająca liczba stacji ładujących. Co ciekawe, również część Europy nie radzi sobie z rozmieszczaniem ładowarek. Do tego, mimo wielu zalet, elektryki pozostają na razie jedynie zabawą dla bogatych entuzjastów, którzy lubią skrupulatnie planować każdy dłuższy wyjazd.

Strach przed pożarem

Pod koniec maja w Gdańsku spłonął elektryczny ford. Media rozdmuchały temat do granic możliwości. Czytaliśmy o „kolejnym pożarze” elektryka. To retoryka, która jest wodą na młyn dla przeciwników elektromobilności. Łatwo straszyć społeczeństwo podobnymi doniesieniami, bo wydaje się, że codziennie płonie gdzieś samochód elektryczny. Obraz łatwopalności elektryków wywołał takie obawy, że gdy firma Arval urządziła między domami w Wilanowie parking dla 300 aut elektrycznych, mieszkańcy wpadli w popłoch. – Te samochody są zaparkowane kilka centymetrów od płotu naszych ogródków. Siedzimy w tych ogrodach, grillujemy. Gdyby któryś z tych samochodów zajął się ogniem, doprowadziłoby to do tragedii – opowiadała „Gazecie Stołecznej” jedna z mieszanek. Po nagłośnieniu sprawy firma przeprosiła i obiecała zabrać samochody.

Tymczasem ze statystyk zebranych przez Państwową Straż Pożarną

wynika, że w zeszłym roku odnotowano tylko 10 pożarów samochodów elektrycznych. W 2021 r. doszło zaś do czterech tego typu zdarzeń. W tym samym 2022 r. odnotowano 8333 pożarów aut spalinowych. Oczywiście czytelnicy mogą słusznie zauważyć, że samochodów spalinowych jest znacznie więcej niż elektrycznych. Jednak, gdy weźmiemy pod uwagę liczbę samochodów elektrycznych i spalinowych jeżdżących po polskich drogach, to współczynnik pożaru na 100 samochodów dla elektryków wynosi 0,03, a 0,04 dla aut spalinowych. Te dane potwierdzają informacje z raportu Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych (PSPA) – eksperci ds. pożarnictwa utrzymują, że samochody elektryczne nie palą się częściej niż te z silnikami spalinowymi.

Pożary samochodów elektrycznych budzą jednak sporą sensację. W kolejnych doniesieniach można było przeczytać o długich akcjach gaśniczych. Dotychczasowy rekord

elektryków. Niestety, obecnie do ugaszenia auta elektrycznego potrzeba nawet 10 tys. litrów wody. – Państwowa Straż Pożarna jest przygotowana do gaszenia pożarów pojazdów z napędem elektrycznym. Największą trudnością przy tych działaniach jest znaczne zapotrzebowanie na wodę niezbędną do gaszenia i chłodzenia palących się baterii – twierdzi bryg. Karol Kierzkowski, rzecznik prasowy komendanta głównego Państwowej Straży Pożarnej. Obecnie trwają prace nad wykorzystaniem azotu zamiast wody do gaszenia elektryków, co znacznie przyspieszy akcje strażackie.

Zabawa dla bogatych fanów

Problemem jest wysoka cena samochodów elektrycznych. Chcąc kupić coś w rozmiarze średniego miejskiego kompaktu, musimy mieć w kieszeni ok. 130 tys. zł. Duże, rodzinne auta to wydatek nawet 300 tys. zł. Oczywiście są to

Dopóki nie zaczniemy modernizacji polskiej energetyki, cała elektromobilność stoi pod znakiem zapytania.

gaszenia samochodu elektrycznego wyniósł w Polsce 21 godzin. Z ogniem walczyło 16 oddziałów straży pożarnej. Takie informacje robią wrażenie. Jednak Jakub Wiech, dziennikarz zajmujący się energetyką, studzi emocje. Do ugaszenia elektryka po pierwsze, używa się tego samego sprzętu, co w przypadku pożaru auta spalinowego. Po drugie, ekipa strażacka za pomocą kamery termowizyjnej przez 24 godziny sprawdza, czy elementy samochodu elektrycznego znowu się nie nagrzewają. To dlatego słyszymy o tak długiej walce z ogniem w przypadku

wersje podstawowe, do których użytkownicy będą chcieli przede wszystkim dokupić szybsze ładowarki. Czas ładowania ma zaś ogromne znaczenie. Użytkownicy aut spalinowych, przyzwyczajeni do spędzania na stacji benzynowej maksymalnie 15 minut, mocno się dziwią, kiedy okazuje się, że elektryka, zależnie od zastosowanej w nim technologii, ale także typu ładowarki łąduje się od kilku do nawet kilkadziesiąt godzin. Najmocniejsze szybkie stacje ładowania (tzw. DC) zapewniają zwiększenie zasięgu auta o 100-150 km, jeśli podłączyć do nich



Elektryka ładuje się od kilku do nawet kilkudziesięciu godzin.

auto na godzinę. Ładowanie elektryka z gniazdka w domu może trwać i 30 godzin.

Tutaj pojawia się kolejny problem. Producenci samochodów elektrycznych chwalą się coraz większymi zasięgami swoich pojazdów, które wynoszą dziś już ponad 500 km na jednym ładowaniu. Niestety, to nadal około połowy odległości, jaką na jednym tankowaniu pokona samochód spalinowy. Gdy dodamy do tego czas ładowania, okazuje się, że dłuższe podróże elektrykiem trzeba bardzo dobrze planować. W Polsce jest bardzo słabo rozwinięta sieć stacji ładujących. Według szacunków PSPA mamy ich obecnie ok. 2,6 tys., z czego zaledwie 728 to stacje szybkiego ładowania. Nawet nasi sąsiedzi zza Odry narzekają na niewystarczającą liczbę stacji ładujących. Z raportu firmy Deloitte wynika, że aż 49% Niemców, którzy kupili elektryka, nie będzie chciało nabyć kolejnego. A przecież według raportu Instytutu Badań Rozwoju Rynku Motoryzacyjnego (SAMAR) Niemcy zajmują trzecie miejsce w Europie pod względem liczby ładowarek elektrycznych – jest ich tam ponad 44 tys.

Koszmar używania elektryka opisała w grudniu 2022 r. red. Dominika Wantuch, która wybrała się w podróż z Katowic do Krakowa. „Kaźde przyspieszenie samochodu

wskazywało, jak drastycznie rośnie zużycie baterii w aucie. W efekcie już po przejechaniu niespełna 90 km samochód wskazywał, że bateria, która miała starczyć na ok. 200 km, wystarczy już zaledwie na 80 km. Nieco za mało, by spokojnie wrócić z Katowic do Krakowa”, opisywała na łamach „Gazety Wyborczej”. Problem zaczął się, gdy kobieta chciała naładować samochód. Na pierwszej stacji nie pasowały kable; na drugiej zepsuta była ładowarka. Trzecia stacja okazała się nieczynna. Nie znalazłszy stacji, dziennikarka zrezygnowała z podróży i zostawiła samochód u znajomych, aby podładować go przez noc. Dodatkowo pokazała najbardziej irytujący problem wszelkich stacji ładowania – na prądzie wszyscy chcą zarobić, więc różne stacje mają swoje aplikacje do ich obsługi i systemy płatności. Za każdym razem trzeba więc ściągać na telefon komórkowy inny program i zostawiać swoje dane.

Problem z prądem

Nie pożary więc ani cena są największym problemem elektromobilności. Oprócz oczywistej korzyści, jaką są niższe koszty przejechania 100 km na prądzie, a nie na benzynie, widać też wiele minusów zasilania baterii ładowarką. Po pierwsze, wspomniana już niewielka liczba

stacji ładujących. Po drugie, na drodze do elektryfikacji polskich dróg stoi przestarzała sieć przesyłowa. Obecnie ponad milion osób ma przydomową minielekrownię. Wszystko to głównie za sprawą rozpowszechnienia paneli fotowoltaicznych w gospodarstwach domowych. Według danych Polskich Sieci Energetycznych w czerwcu 2022 r. doprowadziło to do sytuacji, w której przez moment odnawialne źródła energii (głównie panele fotowoltaiczne i turbiny wiatrowe) dostarczały ponad 10 GW, więcej niż dwie trzecie całkowitego zapotrzebowania na energię elektryczną w całym kraju. Ogólnie rzecz biorąc to bardzo dobra informacja. Jest jednak „ale”. Według ekspertów polska sieć przesyłowa jest przestarzała i została zaprojektowana jedynie do dostarczania energii, a nie również jej odbierania. Dopóki nie zaczniemy modernizacji polskiej energetyki, cała elektromobilność stoi pod znakiem zapytania.

Spójrzmy na liczby – jedna szybka ładowarka DC, czyli ta najbardziej pożądana, potrzebuje tyle energii, ile wynosi przeciętny pobór ok. 15 domów jednorodzinnych. Jeśli chcielibyśmy elektryfikować również cięższe maszyny, takie jak pojazdy obsługujące centra logistyczne, nasza już przeciążona sieć energetyczna tego nie udźwignie. Volvo szacuje, że ich ciągniki elektryczne wymagałyby ładowarek o mocy nawet 1400 kW. Zakładając, że centrum logistyczne wyposaża się tylko w kilka ładowarek, to i tak mowa o poborze mocy, jaki generuje niewielkie miasto.

Dlatego premiera Morawieckiego powinien martwić nie kolejny projektant zajmujący się zmianą wyglądu polskiego samochodu elektrycznego I zera, ale właśnie modernizacja sieci energetycznej w kraju. A może, skoro ponad milion gospodarstw domowych zaczyna wchodzić na drogę samowystarczalności energetycznej, państwo powinno pomyśleć o zaprojektowaniu ogólnodostępnych i darmowych ładowarek? Na razie wiemy jedno. Nawet gdyby milion elektryków powstał w terminie, to raczej nie pojedzie.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Piękny wiek

Henry Kissinger skończył 100 lat i nadal jest największym intelektualnym celebrytą świata

Mateusz Mazzini

Choć ostatni raz publiczne stanowisko pełnił w połowie lat 80., nadal ma zdanie na temat właściwie wszystkich najważniejszych konfliktów, procesów czy zjawisk zachodzących na całym świecie, a inni się z tym zdaniem liczą. Jest przekonany, że Xi Jinping odebrałby od niego telefon, nawet jeśli komunikacja z chińskim liderem bywa nieosiągalna dla amerykańskich prezydentów czy wysokich rangą dyplomatów. Niedawno na kilkugodzinną dyskusję z zespołem swoich komentatorów zaprosił go tygodnik „The Economist”, gdzie dziarski stulecie po raz kolejny dokonał ideologicznego piwotu. Wcześniej nawoływał

zbrodniarza wojennego, drudzy, jak opisał go kiedyś Radek Sikorski, za „giganta dyplomacji”. Czasami świat kształtował, zawsze – komentował go głośno i wyraźnie. Bo jeśli jest coś, czego Henry Kissinger nie umie, to właśnie siedzieć cicho.

Kreator

Wątki czysto kronikarskie, jak przyjazd do USA z rodziną w 1938 r., studia na Harvardzie czy szybkie przejście z kariery akademickiej do służby publicznej, można zostawić jego biografom, a tych Kissinger doczekał się najwyższej klasy, na czele z wybitnym szkockim historykiem Niallem Fergusonem. Znacznie ciekawsze jest przeanalizowanie jego życia zawodowego przez pryzmat

doradca do spraw bezpieczeństwa u Eisenhowera, w szczycie zimnej wojny. Dzisiaj wydaje się zimnokrwistym realistą, który zawarłby pakt z diabłem, gdyby przyniosło mu to korzyść, wtedy jednak na tle niektórych wiodących postaci amerykańskiej polityki uchodził za stonowany głos rozsądku.

Od początku bał się ideologicznego radykalizmu, głównie przez świadomość Holokaustu. Jako niemiecki Żyd za patronów intelektualnych we wczesnych latach aktywności zawodowej obrał sobie weimarskich intelektualistów, w tym Hannah Arendt, bodaj najlepiej z tej grupy rozumiejącą naturę zła. W głębi serca nigdy nie przestał być Europejczykiem, a ściślej – Europejczykiem powojennym, naznaczonym traumą II wojny światowej i zniszczenia intelektualnego dorobku cywilizacyjnego, który sam wierzył w swoją niezniszczalność. Jak ognia bał się powtórki w Stanach Zjednoczonych, a takie niebezpieczeństwo widział w paranoicznym polowaniu na komunistyczne wpływy za oceanem, urządzonym przez senatora Josepha McCarthy'ego. Do tych czasów zresztą później nawiąże, kiedy 3 listopada 1975 r. ze stanowiska głównego doradcy ds. bezpieczeństwa usunie go Gerald Ford (razem z nim z administracji wyleciało wielu innych dyplomatów). Kissinger powie, że tego dnia czuł się „gorzej niż w czasach makkartyzmu”.

Już wcześniej jednak przeszedł do historii, właściwie w pojedynkę reformując politykę Waszyngtonu wobec Związku Radzieckiego. W lata 60. Ameryka wchodziła jeszcze z paradygmatem Johna Fostera Dullesa, sekretarza stanu u Eisenhowera, który przed Sowietami wymachiwał przede wszystkim bronią nuklearną.

Był piewcą wojny i piewcą pokoju, usprawiedliwiał dyktatorów i potępiał ich jednocześnie, często zmieniał poglądy.

do pokojowych pertraktacji z Rosją, sugerował nawet, że Ukraina powinna odpuścić sobie Krym na zawsze. Teraz zmienił zdanie, bo ukraińska armia urosła w jego oczach i stała się zbyt potężna, by uznawać ją dalej za wartą złożenia w ofierze na ołtarzu globalnej równowagi sił.

W niedawnej wypowiedzi dla dziennika „Le Monde” stwierdził, że choć jest coraz starszy, pozostaje tak samo pesymistyczny wobec przyszłości świata. Nie powstrzymuje go to jednak przed braniem tegoż świata na warsztat, łącznie z rewolucjami, których skutków pewnie sam oglądać nie będzie. Ostatnia jego książka, napisana wspólnie z założycielem Google'a Erikiem Schmidtem, mówi o przyszłości ludzkości w erze sztucznej inteligencji. Jedni uważają go za

wydarzeń, w których odgrywał ważne role, twierdzeń, które z galaktyczną pewnością siebie stawiał, oraz ogólnej teorii stosunków międzynarodowych, w której wbrew pozorom zawsze chodziło o to, by umieć się dostosować. Był Kissinger piewcą wojny i piewcą pokoju, usprawiedliwiał dyktatorów i potępiał ich jednocześnie, często zmieniał poglądy. Zawsze jednak miał dla tego usprawiedliwienie, zupełnie jakby rzeczywistość był przekonany, że dyplomacja nie jest dla niego zawodem, tylko powołaniem, w dodatku danym mu przez jakąś siłę wyższą.

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że współczesna polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych to pośrednio lub bezpośrednio jego własne dzieło. Zaczynał jako



Kissinger ten paradygmat zakopał raz na zawsze, w zamian proponując znacznie bardziej elastyczne podejście do ewentualnej konfrontacji z Moskwą. Zamiast straszenia masowym bombardowaniem, wołał rozlokowywać w rozsianych po całym świecie amerykańskich bazach taktyczną broń nuklearną, a w strategię bezpieczeństwa wpisał również użycie sił konwencjonalnych. To on był głównym architektem polityki zagranicznej czasów Kennedy'ego, przynajmniej w kwestii głównej osi zimnowojennego konfliktu. Wprawdzie w kryzysie kubańskim nie odegrał roli tak ważnej jak Dean Rusk, Robert McNamara czy Robert Kennedy, ale po śmierci JFK, za prezydentury Lyndona Johnsona, już tylko rósł w siłę.

Na szczycie

Szczyt jego potęgi przypadł na przełom dekad, kiedy Richard Nixon

powołał go na stanowisko przewodniczącego Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Mapa świata dezaktualizowała się wtedy praktycznie z dnia na dzień. Europejskie imperia kolonialne waliły się jak domki z kart, w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej co chwilę ktoś ogłaszał niepodległość, a wczoraj ustalone granice jutro przenoszone bywały o dziesiątki, nawet setki kilometrów. Wszędzie tam, gdzie działy się najważniejsze z tych zmian, był palec Kissingera, prawie jak palec boży.

Z Sowietami dogadał się na tyle, by zacząć rozmawiać o rozbrojeniu i deeskalacji. Był architektem porozumień SALT. Negocjował w wojnie Indii z Pakistanem na początku lat 70., był też posłańcem amerykańskiego rządu w czasie Jom Kippur, konfliktu państw arabskich z Izraelem w 1973 r. Najważniejszy był jednak Wietnam, którego już wtedy Amerykanie zaczynali mieć dość. Johnson

wysyłał tam żołnierzy na potęgę, a powiedzieć, że nie osiągał sukcesów, to nic nie powiedzieć – przez lata tak naprawdę nie udało się tam nawet ustalić linii frontu. Waszyngton był przekonany, że poprowadzi w Wietnamie wojnę konwencjonalną, okupując kolejne fragmenty terytorium, szybko jednak ten konflikt przerodził się w stałe polowanie na pojedynczych agentów czy żołnierzy Wietkongu. Kissinger rekomendował wtedy, by ograniczać bezpośrednie zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w wojny prowadzone na innych kontynentach, co jednak nie znaczyło, że Ameryka miała przestać wpływać na losy suwerennych państw.

Być może właśnie w tym miejscu przebiega linia dzieląca tych, którzy Kissingera nienawidzą, oraz tych, którzy nie umieją odmówić mu politycznego geniuszu. Za „rozwiązanie” (celowo wzięte w cudzysłów, bo nigdy nie sprecyzowano, co to znaczyło tak naprawdę) wojny w Wietnamie dostał w 1973 r. Pokojową Nagrodę Nobla, razem z wietnamskim generałem i politykiem Lê Đức Thọ. W tym samym czasie wspierał jednak chociażby przygotowania do zamachu stanu w Chile, a gen. Augusto Pinochetowi powiedział kilka lat później, że ten – jego zdaniem – „padł ofiarą globalnego lewicowego spisku”.

W Związku Radzieckim widział uosobienie zła, chciał więc powstrzymać wzrost wpływów Moskwy za wszelką cenę, ale tylko tam, gdzie te wpływy nie były jeszcze skonsolidowane. Jego bożkiem była polityka siły, ale też równowagi. Nie chciał komunizmu w Chile, więc za jego wiedzą CIA najpierw dosypało piędzdy do zabójstwa głównodowodzącego chilijskiej armii gen. René Schneidera, a potem dawało wsparcie operacji Kondor, międzynarodowemu konsorcjum latynoskich dyktatorów, tropiących lewicową opozycję na całym świecie. Kiedy w 1983 r. Ronald Reagan powołał go na szefa Narodowej Komisji do spraw Ameryki Centralnej, też wiadomo było, po co to robi. Kissinger jak nikt inny znał się na dławieniu marksistowskich rebelii ▶

► na obszarze, który wtedy jeszcze wszyscy definiowali jako podwórko Stanów Zjednoczonych. Jego ideologia stała się jednocześnie jego stylem, bo Henry Kissinger zawsze starał się przekonać świat, że postępuje przede wszystkim racjonalnie. Wszystko po to, by utrzymać równowagę sił.

Z czasem jego wpływ malał, ale tylko dla tych, którzy politykę obserwowali z poziomu nagłówek gazet i telewizyjnych serwisów informacyjnych. Na tylnym siedzeniu Kissinger zadomowił się na dobre w latach 90.,

Trudno definiować go przez optykę polityków, którym służył radą, bo w głębi serca nigdy nie grał dla żadnej drużyny. Powiedział to zresztą sam, we wspomnianym wywiadzie udzielonym Fallaci w 1972 r. Opublikowany w magazynie „L'Europeo” wywołał skandal wizerunkowy połączony z politycznym trzęsieniem ziemi, bo Kissingerowi wyłączył się wtedy na chwilę instynkt samozachowawczy. Pytany o źródła swojej popularności, odpowiedział, że wywodzi się ona z indywidualizmu. Samego siebie przyrównał do kowboja

którą Daniel Drezner, jeden z wiodących dziś konserwatywnych ekspertów zajmujących się amerykańską polityką zagraniczną, zdefiniował ostatnio jako „jedyną prawdziwą innowację Kissingera w światowej dyplomacji”.

Henry Kissinger był pierwszym, który dla byłych urzędników wytoczył trzecią drogę. Wcześniej albo liczyli oni na powrót do służby publicznej, albo szli na wystugę do think tanków czy na uniwersytety. Kissinger pokazał im, że na doświadczeniu, ekspertyzie, kontaktach mogą zarobić, i to ogromne pieniądze. Dziś wydaje się to normą, sami w Polsce niedawno zmagaliśmy się z konsekwencjami podobnego skandalu, gdy na jaw wyszły pieniądze, które Radkowi Sikorskiemu płać petrosatrapowie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich za pomoc przy organizacji jednej konferencji. Przyzwyczailiśmy się do milionowych gaź dla Blairów, Clintonów i Barrosów tego świata, nie oburzamy się na ogromne sumy wydawane przez największe korporacje na lobbing prowadzony przez byłych polityków, ale prawdą jest, że pomysł ten opatentował Kissinger.

Niewykluczone, że tutaj najbardziej wyprzedził epokę. Pokazał, że granica między sektorem prywatnym, komercjalizacją i służbą państwu czy ideologii nie musi być wcale wyraźna. Wręcz przeciwnie – będzie coraz bardziej się zacierać. W tym na pewno się nie pomylił, doskonale rozumiejąc

W głębi serca nigdy nie przestał być Europejczykiem, a ściślej Europejczykiem powojennym, naznaczonym traumą II wojny światowej.

doradzając każdemu, kto był zainteresowany i dobrze płać – od gubernatora stanu Nowy Jork aż po Bank Watykański. Ten ostatni przeszedł relatywnie suchą stopą przez kryzys finansowy z lat 2007-2008 również, a według niektórych źródeł przede wszystkim, dzięki radom starego dobrego Henry'ego. Wciąż bywa regularnym gościem najważniejszych konferencji poświęconych sprawom międzynarodowym, od forum w Davos po konferencję monachijską, choć coraz częściej w ich kuluarach pada pytanie, dlaczego on wciąż tam jest.

No właśnie – dlaczego? Henry Kissinger miał wiele wcieleń, ale zawsze był ważny. W pewnym momencie stał się jednak postacią autoreferencyjną. Słucha się go nie dlatego, że ma na cokolwiek wpływ – utracił go bardzo dawno temu. Nie stoi za nim żadne stanowisko publiczne, realna decyzyjność. Kissinger jest nadal Kissingerem, bo... jest Kissingerem. Mało kto odważy się zakwestionować jego słowa publicznie. Jeśli się z nimi nie zgadza, to ten fakt przemilczy. Pół wieku od zakończenia wojny w Wietnamie, kiedy Oriana Fallaci powiedziała Kissingerowi, że jest lodowaty i bez serca, nadal świat boi się z nim konfrontacji, może dlatego, że ani świat, ani on aż tak bardzo się przez ten czas nie zmienił.

wjeżdżającego na samotnym wierzchołku do miasta, które momentalnie wtedy cichnie. W tej metaforze chodzi oczywiście o projekcję siły – Kissinger nigdy nie miał wątpliwości, że to on ją ma. Nie prezydent kraju, któremu doradza, nie armia, która jest do jego dyspozycji. On sam. I biorąc pod uwagę jego status w wieku stu lat, trudno odmówić mu w tym miejscu racji.

Wpływ czy sukces

W jego biografii są dziesiątki wstydliwych rozdziałów. Chile, afera Iran-Contras, tuszowanie ludobójstwa przy okazji konfliktu, z którego urodziła się niepodległość Bangladeszu.

W perspektywie minionych stu lat Henry'ego Kissingera należy uznawać za zwycięzcę. Przede wszystkim dlatego, że przez całe życie grał po prostu na siebie.

Ośmieszanie Nixona, wówczas jego szefa, w rozmowach z Carlem Bernsteinem i Bobem Woodwardem, gdy ci pracowali jeszcze w „Washington Post”. Są też Himalaje politycznego wpływu – słowa, które należy umieścić w miejsce „sukcesu”, bo jednak sukces w polityce międzynarodowej jest kwestią zbyt względną, by ją jednoznacznie definiować. Jest też jednak inna strona tej biografii,

Zeitgeist, ducha czasów, jedno ze swoich ulubionych pojęć. Dlatego, choć na pewno niejedno jeszcze osiągnie, w perspektywie minionych stu lat Henry'ego Kissingera należy uznawać jednak za zwycięzcę. Przede wszystkim dlatego, że przez całe życie grał po prostu na siebie.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nieopatrznie, od wielu, wielu miesięcy tego nie robiłem, obejrzałem fragment „debaty” sejmowej w czwartek, 15 czerwca. Prawo i Sprawiedliwość ustami posła Jarosława Kaczyńskiego wykonało wrzutkę przedwyborczą-uchwałowo-przykrywkową (niecichnące głosy sprzeciwu po śmierci ciężarnej Doroty w nowotarskim szpitalu), proponując i potem przegłosowując uchwałę w sprawie przeprowadzenia w Polsce referendum na temat relokowania migrantów w ramach Unii Europejskiej. Unia Europejska, przy sprzeciwie Polski i Węgier, na początku czerwca w Luksemburgu podjęła decyzję o wprowadzeniu mechanizmu tzw. obowiązkowej solidarności, co miałyby polegać na obowiązku przyjmowania przez poszczególne kraje konkretnych grup imigrantów docierających do Europy m.in. przez Maltę i Włochy. Niepodporządkowanie się takiemu rozwiązaniu miałyby pociągać za sobą karę w wysokości ok. 20 tys. euro za każdą nieprzyjętą osobę.

żeby referendum przeprowadzić w dniu samych wyborów parlamentarnych, co sprawiłoby, że cała kampania wyborcza zdominowana zostałaby po raz kolejny abstrakcyjnym, wydumanym, spreparowanym problemem, budzącym lęki, obawy i niechęć Polaków, a nie realnymi kwestiami, jak inflacja, stan opieki zdrowotnej, edukacji, afery rządowo-polityczne PiS. A wszystko to okraszone napędzaniem klimatu grozy wojennej i wypinaniem pisowskiej piersi w obronie „bezpieczeństwa” Polaków.

Oglądałem po raz kolejny z niewyobrażalnym zdumieniem, jak po deklaracjach Kaczyńskiego w oratorsko-chamski bój – niczym psy gończe spuszczone ze smyczy – ruszają natychmiast kolejni posłowie PiS, Konfederacji i innych tam przytuleńców. Już odwykłem od tego bezpośredniego kontaktu z wrzaskiem i ujadaniem, od antyniemieckiej rozhisteryzowanej retoryki wymierzonej głównie w Donalda Tuska. W spektaklu, obok posłów, ministrów, wziął też bardzo

Piętnować i Szczuć, tak się PiS powinno czytać

PiS, które ostatnio jest w wyraźnej defensywie politycznej (udany i liczny marsz opozycji 4 czerwca, polityczne wrzenie po śmierci ciężarnej w nowotarskim szpitalu zarządzanym przez pisowskiego aparaczyka, fakt powrotu do sądu sprawy ministrów Kamińskiego i Wąsika – po decyzji Sądu Najwyższego), a także wystrzelało się z politycznej amunicji, musiało szukać na gwałt pomysłu na poprawę notowań.

Padło na *spécialité de la maison* tej formacji: szczucie na jakąś grupę społeczną bez oglądania się na konsekwencje, łamanie prawa, o zwykłej ludzkiej przyzwoitości nie wspominając. Pod pretekstem uzgodnień luksemburskich padło na uchodźców i politykę europejską wobec ich pojawiania się i obecności. PiS już taką nienawistną, opartą na kłamstwach, fałszywych informacjach, natężeniu propagandowym i faszystowskiej argumentacji (w wykonaniu zresztą samego Jarosława Kaczyńskiego, który straszył „pasożytami w organizmach uchodźców groźnymi dla Polaków”) kampanię prowadziło w 2015 r. Niestety, uważa się, że uruchomienie tej spirali nienawiści wówczas zadziało, Polacy dali się oszukać i nastraszyć, i m.in. w konsekwencji tego PiS wygrało wybory.

Wszystko wskazuje na to, że oglądamy powtórkę z rozrywki, choć najprawdopodobniej paleta „celów” politycznych będzie pokazniejsza (najszerzej rozumiane środowiska LGBT, lewica, „rosyjscy szpiedzy”). W tle nic nieznaczącej uchwały Sejmu (dla decyzji europejskich) tkwi podobno zamysł,

aktywny udział dawny doradca ekonomiczny szefa Platformy – obecnie premier pisowskiego rządu – Mateusz Morawiecki. Zalecał Tuskowi umiejętność mówienia *nein*, a nie tylko *danke* i *spasiba*, perorował: „Tu jest Sejm, a nie Bundestag” – cokolwiek miałyby to znaczyć.

W czasie tych gorących minut „pyskówki” w parlamencie swoją własną grę forswał poseł Grzegorz Braun. Autor niedawnego, „pogromowego” w swej istocie, zakłócenia wykładu prof. Jana Grabowskiego na temat bolesnych, przemocowych relacji polsko-żydowskich w czasach Zagłady, tym razem, podejmując kolejne próby dotarcia do sejmowej mównicy, usiłował zlustrować Mateusza Morawieckiego. Zadawał pytanie, czy był on zarejestrowanym współpracownikiem STASI, politycznej policji NRD w latach 80.

Przy okazji udzielania przez wiceministra zdrowia Waldemara Krasnę wyjaśnienia na temat okoliczności śmierci ciężarnej pacjentki w szpitalu w Nowym Targu rozgorzał gorący, jak zwykle, spór o aborcję i traktowanie kobiet. Posłanka lewicy Katarzyna Kotula stwierdziła: „Potrzebujemy Ministerstwa Zdrowia, które ma sumienie, ale nie klauzulę (sumienia)”.

Ta kampania wyborcza nie będzie chyba miała chwili oddechu. Będzie trująca, hałaśliwa, niemerytoryczna, chamska, agresywna. Widać, że to walka formacji rządzącej o życie, a przynajmniej o życie na wolności, bez wyroku. Może liczą, że na wsadzeniu za kraty Wąsika i Kamińskiego się skończy. Tak czy owak – żal mi nas.

Dom po bossie

Mafijne nieruchomości we Włoszech okazują się społecznie przydatne

Tomasz Skowronek

Jako pierwsze ustawę zezwalającą na przeniesienie gruntów na cele społeczne uchwały Włochy. Od tego czasu kilka innych krajów, m.in. Hiszpania, Bułgaria czy Francja, poszło w ich ślady. Czy to oznacza, że kraje Unii Europejskiej częściej będą starały się odzyskiwać ziemię z rąk mafii?

Antymafijna restauracja nad Sekwaną

La Poesia to paryska restauracja serwująca dania z południa Włoch. Na pierwszy rzut oka knajpka zlokalizowana przy Rue de la Fidélité 3 w X dzielnicy niczym się nie wyróżnia. Wzbudziła jednak zainteresowanie mediów. Składniki używane do przygotowania potraw mają bowiem niezwykle pochodzenie – większość wyrosła na włoskich ziemiach przejętych od mafii.

Zarządzaniem mafijnymi nieruchomościami zajmują się organy publiczne lub organizacje trzeciego sektora.

Karta win też jest ciekawa – na etykiecie każdej butelki oddano hołd jednej z wielu ofiar mafii. Na przykład Primitivo Salento 2021 poświęcono Antoniemu Montinarem, młodemu policjantowi z Apulii. Inne wino nawiązuje do historii Peppina Impastata, sycylijskiego komunisty z Cinisi, który przeciwstawił się mafii i został zamordowany w 1978 r.

„Chcemy, aby to było coś więcej niż restauracja”, mówi Baptiste Gaud, kierownik restauracji La Poesia, w której od chwili otwarcia w listopadzie 2022 r. odbywają się koncerty, pokazy filmowe i debaty polityczne.

Jednocześnie restauracja współpracuje z włoską Libera Terra, organizacją walczącą z mafią. Za jej pośrednictwem knajpka zaopatruje się w żywność i napoje. Tym samym staje się częścią rozwijającego się w całej Europie ruchu mającego na celu odzyskanie i ponowne wykorzystanie ziemi oraz dóbr posiadanych niegdyś przez zorganizowane grupy przestępcze. We Włoszech takie praktyki są niemal powszechne.

„We Włoszech byliśmy świadkami odważnej pracy stowarzyszenia Libera Terra przeciwko mafii. Dlatego zdecydowaliśmy się ich wspierać w taki sposób i nawiązać z nimi współpracę”, przyznaje 35-letni Christophe, odpowiedzialny za rodzinny biznes pod szyldem La Poesia.

Naprawdę wolna ziemia?

Libera Terra (czyli wolna ziemia) jest odgałęzieniem organizacji pozarządowej Libera, założonej w 1995 r.

przez ks. Don Luigiego Ciottiego, wybitną postać w walce z przestępczością zorganizowaną. Współpracuje ze stowarzyszeniami rolniczymi, które przejęły grunty rolne od mafii bądź od gospodarstw sprzeciwiających się płaceniu haraczy i nie utrzymujących żadnych kontaktów z gangsterami. Każde gospodarstwo zostaje wybrane właśnie ze względu na przestrzeganie zasad społecznych, ale i ekologicznych.

Organizacja ma pod opieką spółdzielnię socjalną Pio La Torre w San Giuseppe Jato, która zarządza 180 ha w ośmiu gminach. Wszystkie wcho-

dzące w jej skład gospodarstwa i grunty zostały skonfiskowane mafii. Od roku 2007 spółdzielnia skupia się na uprawie zbóż, roślin strączkowych, winogron, pokrzywy i oliwek. Wszystko zgodnie z zasadami produkcji ekologicznej, z poszanowaniem bioróżnorodności i ekosystemu.

W ramach projektu Pio La Torre oprócz zagwarantowania i promowania koncepcji zrównoważonego rozwoju dba się o to, by osoby znajdujące się w niekorzystnej sytuacji materialnej znalazły zatrudnienie. Obecnie w spółdzielni jest 18 pracowników, czworo wolontariuszy i troje członków subsydiujących.

Opustoszałe wille i pałace bossów

Camorra, 'ndrangheta, cosa nostra oraz klany z Foggia to nie tylko potężne mafie, ale przede wszystkim potęgi gospodarcze i finansowe, posiadające wpływy i interesy w każdym zakątku zarówno Włoch, jak i reszty świata.

Mafiosi i bossowie narkotykowi niejednokrotnie zmieniali oblicza całych miast dzięki swoim ogromnym posiadłościom, często odgrywającym znaczącą rolę w pejzażach ich rodzinnych miejscowości. Jednym z takich symbolicznych miejsc we Włoszech jest kompleks willi





na sycylijskim wybrzeżu, przylegających do zbocza Monte Gallo, z którego rozciąga się widok na Palermo, góry i morze. W tamtejszych domach nie ma jednak nikogo, kto mógłby cieszyć się tym widokiem (z wyjątkiem ptaków i szczurów).

Firma powiązana z szefem mafii Michele Greco rozpoczęła stawianie obiektu pod koniec lat 70., a zanim urzędnicy państwowi wstrzymali projekt, w budowie było już 170 rezydencji. Dziś kolekcja szkieletów mafijnych wili znana jest jako Pizzo Sella lub Wzgórze Wstydu.

Nie możemy przy tym zapominać, że mafie angażują się w duże projekty budowlane, aby czerpać zyski z przetargów lub prac pieniędzy, a także budują luksusowe rezydencje dla siebie i swoich rodzin. Niektórzy mają nawet podziemne bunkry i tunele, zbudowane, aby pomóc w przemyśle lub służyć jako awaryjne drogi ewakuacyjne.

Pionierska ustawa antymafijna

W ramach nieustannej walki z przestępczością zorganizowaną Włochy jako jeden z podstawowych aspektów zmagania z mafią przyjęły politykę „demontażu imperiów”.

Ustawa 109/96 jest głównym instrumentem, który nie tylko pozwala uderzyć w portfele mafii, ale także redystrybuować ich majątki wśród

W ostatnim czasie w dawnych nieruchomościach mafii schronienie znajdują uchodźcy z Ukrainy.

społeczności. Tak zwana ustawa o skonfiskowanym mieniu weszła w życie 13 września 1982 r. Jej pierwszym sygnatariuszem był Pio La Torre, senator Włoskiej Partii Komunistycznej, zamordowany przez mafię kilka miesięcy przed uchwaleniem tego aktu prawnego. Drugim zaś – Virginio Rognoni, minister spraw wewnętrznych w latach 1978-1983, należący do Chrześcijańskich Demokratów. Wielkim orędownikiem konfiskaty majątków mafii był też legendarny sycylijski sędzia Giovanni Falcone, który jako pierwszy we Włoszech zastosował konfiskaty majątków mafijnych na większą skalę. Niestety, przypłacił to życiem.

Od przyjęcia ustawy skonfiskowano prawie 40 tys. nieruchomości i gruntów rolnych.

„Ludzie z mafii bardziej boją się utraty majątku niż pójścia do więzienia – wyjaśnia Gian Guido Nobili, kierownik Wydziału Bezpieczeństwa Miejskiego i Zapobiegania Przestępczości Regionu Emilia-Romania oraz dyrektor Włoskiego Forum Bezpieczeństwa Miejskiego (FISU). – Odsiadka w więzieniu jest uważana za część »programu nauczania«, a nawet za odznakę honorową, podczas

Opuszczone wille mafijne na zboczach Monte Gallo.

gdy utrata majątku (pieniędzy, domów, hoteli, klubów, łodzi itp.) jest dla nich bolesnym ciosem”.

Jak zauważa, podejście, które Włochy przyjęły w latach 80., „było wielkim krokiem naprzód”. Nie był to jednak krok ostatni.

W 1996 r. przyjęto innowacyjne prawo, które zezwala na przekazanie mienia skonfiskowanego światu przestępczości zorganizowanej na cele społeczne.

Przepis ten, chwalony nawet przez Europejski Trybunał Praw Człowieka w 2014 r., stał się znakiem rozpoznawczym włoskiego wymiaru sprawiedliwości. W ten sposób prestiżowe wille z basenami zostają

przekształcone w ośrodki wypoczynkowe dla dzieci w trudnej sytuacji. Pola pomidorowe czy gaje oliwne są opatrywane stemplem „antymafijnym” i przekazywane pod opiekę specjalnym grupom, a budynki zamieniane są w biura administracyjne. Dzięki temu domy, grunty, firmy i inne obiekty, będące niegdyś własnością przedstawicieli przestępczości zorganizowanej, mogą stać się własnością okolicznej wspólnoty. Zarządzaniem nimi w nowym życiu zajmują się organy publiczne lub organizacje trzeciego sektora, które pozyskują je w formie wypożyczenia do użytku.

Oddane w dobre ręce

Ustawa z 1996 r., dająca możliwość przekazania gruntów społeczeństwu, to pomysł wspomnianej już organizacji Libera, która bardzo o to zabiegała. Z czasem udało im się go też udoskonalić. W 2010 r. rząd – właśnie na wniosek działaczy – powołał agencję zajmującą się zarządzaniem tym majątkiem: Narodową Agencję ds. Administracji i Przeznaczenia Mienia Zajętego i Skonfiskowanego ▶

► od Przeszłości Zorganizowanej (ANBSC).

„Dawniej rządy koncentrowały się na sprzedaży skonfiskowanych towarów – mówi Tatiana Giannone, jedna z kierowniczek Libery. – Ale coraz częściej pojawia się ruch w celu ponownego wykorzystania gruntów i nieruchomości oraz spożytkowania ich dla dobra publicznego. Włochy były naprawdę pionierem w tym zakresie”.

Giannone zauważa również ewolucję ram prawnych takich działań: „W ciągu 27 lat zrobiono wiele. Dziś prawie tysiąc organizacji trzeciego sektora zarządza byłymi nieruchomościami mafijnymi. Wiele firm

Nowe życie nieruchomości

Według danych Libery łącznie istnieje 991 organizacji non profit zajmujących się zarządzaniem nieruchomościami skonfiskowanymi osobom powiązanym z przestępczością zorganizowaną. Siedziba dziennika „I Siciliani Giovani”, który od zawsze zajmował się nagłaśnianiem machlojek mafijnych, mieści się w budynku należącym dawniej do sycylijskiej grupy przestępczej. Podobnie muzeum karabinierów w Palermo. Z kolei w porcie Ostia dom miejscowego ojca chrzestnego jest obecnie zajęty przez komisariat policji. Natomiast willa nad jeziorem w miejscowości

budynki mafijne, o które niestety upomnieli się gangsterzy.

W Kalabrii, z której brutalna 'ndrangheta rządzi swoim globalnym imperium, rolnicy, właściciele firm i inni mieszkańcy połączyli siły, tworząc spółdzielnię, aby przeciwstawić się mafii i odpiąć jej groźby i żądania pieniędzy za ochronę.

GOEL prowadzi także kilka inicjatyw społecznych w takich obszarach jak rolnictwo ekologiczne, turystyka, zrównoważona moda i kosmetyki organiczne. W ten sposób było w stanie zapewnić miejsca pracy dla ok. 400 osób w jednym z najbardziej skorumpowanych regionów Włoch, gdzie mafia jest największym pracodawcą.

W jednym budynku należącym niegdyś do mafii mieszkają pracownicy GOEL, a w drugim pracują szwaczki produkujące ubrania dla marki powiązanej z modą organiczną. Jakiś czas

temu doszła jeszcze willa, kiedyś własność szefa mafii. Inicjatywa przekształciła ją w hotel. Ale 10 dni po tym, jak GOEL wygrał przetarg na budowę, członkowie mafii wtargnęli do środka, uszkadzając i kradnąc części systemu zaopatrzenia w wodę i powodując szkody o wartości 50 tys. euro. Innym razem gangsterzy spalili farmę, uszkodzili traktory i zniszczyli magazyny. Na szczęście ataki i groźby w ostatnim czasie stały się rzadsze.

Włoska polityka konfiskaty staje się coraz popularniejsza w innych krajach. Według europejskiego raportu CHANCE istnieje pozytywna wymiana konkretnych działań w praktyce publicznego ponownego wykorzystania skonfiskowanego mienia. Po Włoszech, które wykazały inicjatywę do wdrażania tego systemu, aż 19 krajów przyjęło przepisy ukierunkowane na ten cel.

Jednak postęp jest powolny. Według Europolu, unijnej agencji ds. współpracy organów ścigania, w całym bloku jego jurysdykcji działa ponad 5 tys. zorganizowanych grup przestępczych. Ich nielegalna działalność daje niemal 110 mld euro przychodu rocznie. Niestety, tylko ok. 2% tych dochodów jest zamrożonych, a 1,1% jest konfiskowanych.

Tomasz Skowronek

Czas oczekiwania na przejęcie domów czy gruntów jest długi, od zajęcia do społecznego użytkowania może upłynąć ponad 10 lat.

znalazło swoje miejsce na legalnym, zdrowym rynku”, podkreśla kierowniczka Libery.

Jak sama jednak przyznaje, niezadko czas oczekiwania na przejęcie takich nieruchomości czy gruntów jest długi: „Od zajęcia do społecznego użytkowania nieruchomości może upłynąć ponad 10 lat”.

Choć większość skonfiskowanych obiektów znajduje się na południu kraju, to – jak podkreśla Giannone – błędem jest myślenie, że tylko tam ulokowane są posiadłości mafii. „Obalamy mit o mafii zakorzenionej tylko na południu. Dziś przestępczość zorganizowana jest wszędzie, choć w sposób niejednorodny – komentuje działaczka. – Na Sycylii jest większy procent gruntów, a w Emilii-Romanii firm”.

Dane potwierdzają tę ocenę. Niezależnie od tego, czy patrzy się na liczbę spraw otwieranych w sądach, czy na wielkość majątku, południe dominuje, ale o żadnym regionie nie można powiedzieć, że jest wolny od mafii: 38,6% aktywów zarejestrowanych w centralnej bazie danych rządu znajduje się na południu, 34% na wyspach (głównie na Sycylii), 16% na północy. Ranking zamyka centrum, w którym znajduje się 11,2% mafijnych aktywów.

Castel Volturno na północ od Neapolu stała się centrum dla społeczności LGBT, gdzie schronienie mogą znaleźć osoby dyskryminowane. Trzypiętrowy budynek, nieużywany od czasu schwytania przez policję dowódcy lokalnego klanu camorry w latach 90., został wyremontowany i oddany do użytku. Teraz znajdują się w nim mieszkania, ogólnodostępna kuchnia i jadalnia, strefa coworkingowa, przestrzeń eventowa i taras na dachu.

W ostatnim czasie w dawnych nieruchomościach mafijnych schronienie znajdują również uchodźcy z Ukrainy. Pierwszym takim miejscem był dom w Rescaldinie w Lombardii. „Sam fakt, że mienie zostało zwrócone społeczności, jest mocnym sygnałem dla zorganizowanych przestępców”, tłumaczył na konferencji prasowej Bruno Corda, dyrektor ANBSC.

Corda powiedział też, że wykorzystanie aktywów do celów społecznych jest sposobem na rzucenie wyzwania organizacjom mafijnym i sposobem na wyeliminowanie raz na zawsze bolesnej przeszłości – to znak, że państwo i naród odzyskały kontrolę.

Grupa spółdzielcza GOEL w Kalabrii korzysta z włoskiej strategii dystrybucji posiadłości należących niegdyś do mafii. Obecnie użytkuje

Śpiąc w nieznane

Nocne pociągi wracają na europejskie tory, ale czy naprawdę mają na nich przyszłość?



Mateusz Mazzini

W dniu inauguracji poziom zainteresowania i ekscytacji medialnej był tak wysoki, że atmosfera przypominała wodowanie wielkiego statku pasażerskiego w XIX w., a nie uruchomienie linii kolejowej łączącej dwa – skądinąd bardzo dobrze połączone – europejskie miasta. 25 maja o godz. 19.22 z peronu brukselskiego dworca Midi (Zuid) odjechał pierwszy skład nocny w kierunku Berlina, należący do najprężniej rozwijającego się start-upu kolejowego na kontynencie, spółkę European Sleeper. Jadąc przez Antwerpię, Amsterdam i Rotterdam, do stolicy Berlina pociąg przyjechał następnego dnia o godz. 6.48 rano. Na pierwszy rzut oka w opisie trasy nie ma niczego ekscytującego. Po bliższym przyjrzeniu się widać jednak, że historia tego połączenia ilustruje przeszłość, teraźniejszość i przyszłość europejskich nocnych podróży kolejowych oraz ich szanse na rywalizację

ze znacznie bardziej obciążającymi środowisko połączeniami lotniczymi.

Bo kocha kolej

Pociąg do Berlina to pierwszy projekt European Sleeper, który nocne podróże na tej trasie przywraca po dekadzie. Sam fakt, że zahacza jeszcze o trzy duże miasta, pozwala pokryć spore zapotrzebowanie nie tylko wśród turystów, ale i osób przemieszczających się w celach biznesowych. Może też dziwić użycie słowa start-up w kontekście operatora kolejowego, bo przyzwyczailiśmy się, że mianem tym określa się małe spółki, niegenerujące kosztów poza wynagrodzeniem i operujące bez ciężkiego sprzętu, które w większości nigdy nie zaczynają nawet na siebie zarabiać. Tymczasem European Sleeper to coraz poważniejszy gracz na europejskiej scenie kolejowej, a przede wszystkim gracz z pasją.

Na razie pociąg na trasie Bruksela-Berlin kursuje trzy razy w tygodniu.

Jak donoszą portale transportowe Aviation24 i TravelTomorrow, już sprzedano na ich kursy 10 tys. biletów. Firma nie zamierza na tym poprzestać, w przyszłym roku chce uruchomić połączenie między stolicą Belgii a Barceloną, a rok później dodać do mapy tras również Pragę. W planach jest też nocny pociąg do Sztokholmu i Göteborga.

Na razie są to tylko założenia czysto teoretyczne, bo akurat ten start-up istnieje w branży bardzo regulowanej, a działalność na kilku rynkach krajowych jednocześnie wymaga nie tylko elastyczności finansowej, ale też współpracy z lokalnymi władzami. Założyciele firmy, Holenderzy Elmer van Buuren i Chris Engelsman, używają wszystkich typowych dla branży nowomowy frazesów, jak skalowalność produktu, rundy inwestycyjne, zaufanie funduszy inwestycyjnych. Ale prawdą jest, że – jak rzadko w świecie start-upów – o sukcesie ich produktu zdecydują pasażerowie.

Van Buuren kolej autentycznie kocha, przez kilka lat był nawet dróżnikiem w holenderskich kolejach. Engelsman do tandemu wnosi doświadczenie biznesowe i inżynierskie. Absolwent prestiżowej politechniki w Delft najpierw był konsultantem w spółkach technologicznych, potem pracował dla kolei metropolitalnych w Amsterdamie, gdzie zadania miał rozmaite, od planowania rozwoju połączeń po ich programowanie i tworzenie rozkładów. Obaj podkreślają w wywiadach, że nocne podróże interesowały ich od dziecka. To akurat łatwo zrozumieć, bo każdy, kto kiedykolwiek kładł się spać w jednym mieście i budził stukotem kół w innym, przy okazji nierazko zmieniając całkowicie krajobraz za oknem, wie, że to doświadczenie na poły magiczne. Do tematu podeszli jednak pragmatycznie, chcąc wspierać się na szczyt fali przetaczającej się przez Europę.

Ambitne plany

Nocne pociągi przeżywają na Starym Kontynencie renesans nie tylko z powodu mody i romantyzmu. Pomagają w tym prywatni inwestorzy, co jest historią European Sleeper,

pomaga Komisja Europejska (o tym zaraz), ale najbardziej pomaga presja społeczna. Katastrofa klimatyczna stała się ważnym tematem w dyskusji publicznej, rozwiązania dla klimatu powodują porażki lub zwycięstwa w wyborach nawet największych partii politycznych, a przemysł lotniczy ostro obrywa w mediach, bo jemu akurat na niskoemisyjność przestawiać się najtrudniej. A jednocześnie po latach przymusowej izolacji wywołanej pandemią głośno podróżować jest w Europejczykach ogromny.

European Sleeper do końca roku planuje sprzedać bilety o łącznej wartości 6 mln euro.

European Sleeper finansowanie zbiera od dwóch lat. W 2021 r. van Buurenowi i Engelsmanowi udało się uzyskać pół miliona euro ze sprzedaży akcji inwestorom detalicznym. Rok później było to już 2 mln euro, w trzeciej rundzie 3 mln euro. To niemało pieniędzy jak na emisję akcji, ale wcale nie tak dużo jak na koszty firmy, która chce wozić miliony Europejczyków z jednego końca kontynentu na drugi. Resztę pokryły banki, udzielając kredytów, o których spłacenie Engelsman się nie boi. Nie tylko dlatego, że wierzy w sukces swojej firmy – do końca roku planuje sprzedać bilety o łącznej wartości 6 mln euro. W wywiadzie dla stacji Euronews podkreślił też jednak, że nawet gdyby projekt nie wypalił, majątek European Sleepera, czyli składy pociągów, jest łatwo zbywalny i bez trudu znalazłby kupców.

Na razie największym wyzwaniem dla holenderskich przedsiębiorców pasjonatów jest rzeczywiście skalowanie, czyli powiększenie swojej oferty. Jak wylicza serwis Politico, żeby ambitne plany połączeń do Pragi, Barcelony, Paryża czy Szwecji się zmaterializowały, spółka potrzebuje 40-60 mln euro na modernizację 30 wagonów, które może podzielić na trzy 10-wagonowe składy.

Inwestorzy na razie wierzą w projekt, również dlatego, że pomoc finansową zaoferowała Komisja Europejska. European Sleeper przedstawił

na tyle wiarygodny plan rozwoju, że urzędnicy w Brukseli wpisali firmę na listę 10 pilotażowych projektów oferujących kolejowe połączenia międzynarodowe. Na tej liście znajdują się zarówno spółki państwowe, m.in. koleje czeskie, szwedzkie, duńskie i austriackie, jak również podmioty w całości prywatne, w tym Midnight Trains, który w przyszłym roku ma połączyć Paryż z Wenecją także za pomocą nocnego pociągu.

Gdyby wszystkie wspierane przez Komisję projekty udało się wcielić w życie, stałoby się możliwe

dosłownie przejechanie całego kontynentu i europejskich wysp pociągiem. Wspomniany Midnight Trains ma bowiem w planach wprowadzenie połączenia z Edynburga do Paryża, co byłoby jedną z najdłuższych tras dla pojedynczego składu w Europie (nie licząc w tej układance Rosji). Już teraz na Wyspach relatywnie popularny, choć wciąż bardzo drogi, jest Caledonian Express, jadący z Londynu do Edynburga i Glasgow. Tu najtańszy bilet – miejsce siedzące – kosztuje od 50 do 90 funtów, bardziej luksusowe indywidualne kabiny z prysznicem to już wydatek rzędu 300-350 funtów. Mimo to w chwili powstawania tego tekstu większość biletów do końca czerwca była wyprzedana.

Na liście projektów dotowanych przez Unię znajdują się m.in. połączenia Rzym-Mediolan-Monachium, Lizbona-Madryt czy rozbudowa mapy połączeń serwisu Eurostar, korzystającego z tunelu pod kanałem La Manche.

Nowa jakość

Założyciele European Sleepera, tak samo jak inni rzutcy, młodzi biznesmeni, prowadzący spółki takie jak szwedzki Snälltåget, stanowią nową jakość na kolei. Dużo mówią o klimacie, ograniczeniu emisji, ale, co ciekawe, wcale nie zamierzają konkurować z liniami lotniczymi. Głównie dlatego, że nie za bardzo mają



szanse. Podróż samolotem zawsze będzie krótsza, nawet z uwzględnieniem czasu potrzebnego na dotarcie do lotniska i czynności na miejscu. Może stać się droższa, bo Unia zabiera się do zwiększenia obciążeń podatkowych dla najbardziej emisyjnych sektorów gospodarki, w co wlicza się właśnie lotnictwo. Nowa dyrektywa ETS II regulująca używanie paliw oraz pakiet rozwiązań klimatycznych Fit For 55 mogą doprowadzić nawet do kilkukrotnego wzrostu cen lotów, zwłaszcza na krótkich trasach, których w Europie przecież nie brakuje. Wielcy przewoźnicy na tym nie tracą, zabójcze może się to okazać jednak dla linii, które żyją właśnie z tras takich jak Paryż-Wenecja czy Bruksela-Berlin. Dzisiaj koszt biletu lotniczego oscyluje z reguły wokół kilkudziesięciu euro, co dla nocnych pociągów nie jest i nie będzie osiągalne.

Wbrew obiegowej opinii prywatni operatorzy kolejowi nie mają ambicji całkowitego zastąpienia WizzAir czy EasyJeta. Chris Engelsman szacuje, że wystarczy, by zaledwie 5% pasażerów samolotów przesiadło się do pociągów jego firmy, a działać będzie ona z pełną mocą, przy 100-procentowym obłożeniu.

Koleje publiczne nie są w stanie odpowiedzieć ani na rosnące zapotrzebowanie na podróże pociągami, ani na wyzwania związane z klimatem.

Z tych szacunków można wyciągnąć wiele wniosków. Po pierwsze, bardzo trudno będzie zredukować liczbę połączeń lotniczych i generowane przez ten sektor zanieczyszczenia. Po drugie, widać też zapotrzebowanie na podróże międzypaństwowe. Europejczycy naprawdę nie są już w stanie żyć bez siebie nawzajem i nawet popularyzacja telekonferencji i pracy zdalnej na to szczególnie nie wpłynęła. Po trzecie, podróż nocnym pociągiem jeszcze długo pozostanie ofertą luksusową, sprzedawaną bardziej jako doświadczenie niż realna alternatywa dla transportu lotniczego.

European Sleeper, Snälltåget i inne firmy próbują robić wszystko, by

zmienić ten wizerunek. Popularyzują oferowane usługi zwłaszcza wśród młodszych klientów, wpisując swoje połączenia na listę tras objętych programami takimi jak Interrail. To coś na kształt paneuropejskiego abonamentu na kolej, popularnego zwłaszcza wśród studentów. Jeśli ktoś rzeczywiście planuje przez miesiąc włóczyć się koleją po Europie, może to być dla niego doskonała oferta, bo całomiesięczny bilet Interrail kosztuje obecnie 528 euro, czyli niecałe pięć razy więcej niż bilet na nocny pociąg z Brukseli do Berlina. Innymi słowy, kupując abonament europejski, można przejechać się pociągiem, który kosztuje jedną piątą ceny całej tej przygody. Wiadomo jednak, że to tylko pudrowanie nosa, bo trudno spodziewać się, żeby tłumy studentów na piętrowych łózkach zadecydowały o sukcesie finansowym kolejowej spółki.

Podróż w nieznane

Jest zdecydowanie za wcześnie, by przesądzać o przyszłości wszystkich projektów zagęszczenia sieci międzynarodowych połączeń kolejowych. Na razie ich operatorom idzie bardzo dobrze, ale to w dużej

mierze kwestia oceny, a nie faktów. Większość z nich jeszcze w ogóle nie wyruszyła na tory, a ci, którzy już jeżdżą, robią to zbyt krótko, by jednoznacznie wytypować przyczyny ich sukcesów. Być może to zapowiedź trwałej zmiany, a być może kwestia mody i romantycznego znaczenia nocnych pociągów, nostalgicznego podejścia tych, którzy tęsknią za starymi czasami. Z historycznymi analogiami trzeba jednak postępować ostrożnie, bo w zależności od tego, jak daleko w przeszłość się sięgnie, różnie mogą one wyglądać.

Trafnie na łamach konserwatywnego brytyjskiego pisma „The Spectator” podsumował bieżące

trendy w nocnych kolejach Christian Wolmar, zauważając, że w dłuższej perspektywie czasowej standardy podróży tak naprawdę się pogorszyły. Pierwsze europejskie pociągi przemierzające kontynent po zachodzie słońca były w zdecydowanej większości luksusowymi hotelami na kółkach, dostępnymi tylko dla elit. Potem, w drugiej połowie XX w. upowszechnił się transport tani, gdzie jakość przegrała z ilością, wtedy też, zauważa Wolmar, upowszechnił się znany bardzo dobrze również w Polsce model sześciu pojedynczych łózek zamontowanych w jednym przedziale. Dzisiejsi operatorzy starają się łączyć jedno z drugim, ale nawet w tych najdroższych kabinach nie są w stanie dorównać obsłudze z dawnych lat, wówczas na poziomie zmitologizowanego już Orient Expressu.

Najciekawsza chyba w powyższej analizie jest strona biznesowa, a dokładniej wejście start-upów i funduszy inwestycyjnych na obszar, który tradycyjnie był domeną państwa. To również skłania do refleksji, bo pokazuje, że współczesne europejskie koleje publiczne oraz zarządzające nimi administracje nie są w stanie odpowiedzieć ani na rosnące zapotrzebowanie na podróże pociągami, ani na wyzwania związane z klimatem i szczątkową przynajmniej rywalizacją z liniami lotniczymi. Na liście Komisji Europejskiej dominują projekty prywatne, co może być o tyle kontrowersyjne, że otrzymają one wsparcie finansowe i logistyczne z pieniędzy publicznych. To prawdopodobnie ten element rewolucji transportowej, który zostanie z nami najdłużej.

Gdziekolwiek państwowe koleje próbują jeszcze walczyć, jak niemieckie Deutsche Bahn, oferujące (prawie) nielimitowane przejazdy kolejowe w ciągu kalendarzowego miesiąca za 49 euro, ale ta oferta bardziej wybrednych pasażerów nie zadowoli. Na razie więc podróż nocnymi pociągami to w dużej mierze podróż w nieznane, ale przynajmniej można się porządnie wyspać.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Mądrość starych Polaków

Szkoda, że IPN nie czyta
wydawanych przez siebie autorów

Paweł Siergiejczyk

Dziesięć lat po zakończeniu II wojny światowej Wacław Jędrzejewicz pisał do Michała Sokolnickiego: „Nie można zawsze przeciwstawiać się temu, co się dzieje w kraju w dziedzinach niezwiązanych z ustrojem komunistycznym i polityką moskiewską. Pozytywne osiągnięcia kraju, które niewątpliwie mają miejsce przy dzisiejszym reżymie, są naszą wspólną wartością: ich i nas, tu, na emigracji. Teatr, sztuka, nowe talenty, zdobycze polskiej nauki, istotne osiągnięcia gospodarcze, o ile nie są związane z utrwalaniem systemu komunistycznego, mogą i powinny być podkreślane na rynku międzynarodowym, gdyż

ponad trzy dekady po zmianie ustroju i odzyskaniu pełnej suwerenności, nie ma potrzeby wskazywać na „pozytywne osiągnięcia kraju” w epoce Polski Ludowej? Bo IPN-owscy historycy obraz tamtej epoki mają jasny i prosty: Polska pod sowiecką okupacją, antynarodowe rządy komunistów przywiezionych na sowieckich czołgach, zbrodnica ubecja i esbecja (plus jeszcze bardziej złowrogie, bo tajemnicze służby wojskowe), wszechobecna agentura, no i rzecz jasna walka z Kościołem i religią. Poza tym kanonem określił niewiele interesuje młodych pracowników IPN: kultura, nauka, oświata, gospodarka, przemiany społeczne, życie codzienne – to nie są tematy godne „pamięci narodowej”.

Wacław Jędrzejewicz nie był jedynym emigrantem, który potrafił się wznieść ponad swój antykomunizm i antysowietyzm (autentyczny i zupełnie zrozumiały, zwłaszcza w wypadku człowieka o takim życiorysie). Podobną postawę zajmował inny emigrant, znajdujący się na politycznych antypodach wobec piłsudczyków, Jędrzej Giertych – czołowy publicysta i ideolog endecji po śmierci Romana Dmowskiego. Swoje najważniejsze, napisane i wydane w Londynie w 1986 r., trzytomowe dzieło „Tysiąc lat historii polskiego narodu” zakończył on następującym stwierdzeniem:

„Dnia 5 lipca 1945 roku Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, a już 29 czerwca 1945 roku Francja przestały uznawać rząd polski w Londynie. Zaczęły się odtąd niekwestionowane dzieje Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. (...)

Ale Polska nie zginęła. I żyje od tego czasu już przez lat czterdzieści, w nowym kształcie, ale wciąż ta sama. Ta sama, co za Mieszka i Chrobrego. I za Kazimierza Wielkiego, Jadwigi i Jagiełły. I za Batorego, i Wazów. I za Michała Wiśniowieckiego, i Sobieskiego. I za Sasów. I za Stanisława Augusta. I za Kościuszkę, i księcia Józefa. I za Piłsudskiego, i Dmowskiego. I za Sikorskiego.

I żyć nadal będzie”.

Zauważmy: ani narodowiec Giertych, ani piłsudczyk Jędrzejewicz nie kwestionowali faktu, że Polska po wojnie istnieje i że jest państwem narodu polskiego. Odrzucali uzależnienie tego państwa od ZSRR i narzuconą stamtąd ideologię, ale wskazywali na ciągłość życia narodowego i wagę narodowych osiągnięć. Byli bowiem polskimi patriotami, którzy w młodości walczyli z bronią w ręku o niepodległą Polskę. Ale byli też historykami (choć żaden z nich nie

Ani narodowiec Giertych, ani piłsudczyk Jędrzejewicz nie kwestionowali faktu, że Polska po wojnie istnieje i że jest państwem narodu polskiego.

wykazują one siły Polski, a silna Polska ma więcej szans na zyskanie poparcia świata niż słaba”.

Ten fragment korespondencji dwóch starych piłsudczyków – bliskich współpracowników marszałka jeszcze z czasów I wojny światowej – ukazał się niedawno w zbiorze wydawnym przez Instytut Pamięci Narodowej („Dobrze jest pomyśleć w takich czasach, co zrobiłby Piłsudski». Listy Wacława Jędrzejewicza i Michała Sokolnickiego”. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Krzysztof Kłoc, IPN, Kraków-Warszawa 2022, s. 158).

Na wspólne konto

Szkoda, że dzisiejszy Instytut Pamięci Narodowej nie czyta wydawanych przez siebie autorów. A może jednak czyta, tylko uważa, że dziś,

A przecież Wacław Jędrzejewicz – przedwojenny minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, po wojnie założyciel Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku – pisząc powyższe słowa w roku 1955, nie miał żadnej pewności, w jakim kierunku potoczą się losy Polski. Jednak już po Jalcie, w momencie zakończenia wojny, dla wszystkich ludzi myślących było jasne, że naród polski znów będzie żył we własnym państwie – a nie w sowieckiej republice, jak Litwini, Łotysze czy Estończycy – choć nie pod władzą, którą sam wybrał. A to znaczyło, że życie narodowe będzie mogło się rozwijać, bo Polacy pozostaną Polakami i wszystko, co uda im się osiągnąć, pójdzie na wspólne konto narodu polskiego, a nie komunizmu czy Moskwy.

miął formalnego wykształcenia w tej dziedzinie), a ich prace stanowią ważną część intelektualnego dorobku polskiej emigracji.

Wśród młodych historyków, którzy epatują dziś radykalnym antykomunizmem (w praktyce anty-PRL-izmem), jest wielu takich, którzy deklarują przywiązanie do tradycji endeckich bądź piłsudczykowskich. A jednak nie chcą słuchać mądrych emigrantów z Londynu i Nowego Jorku, lecz uprawiają totalną negację wszystkiego, co w Polsce wydarzyło się po 1945 r., oraz totalny kult „żołnierzy wyklętych”, prezentowanych zwłaszcza dzieciom i młodzieży jako niezłomne wzorce patriotyzmu.

A czy starzy, mądrzy piłsudczycy lub endecy popierali tragiczne wybory „wyklętych”? Czy uważali ich za wzór do naśladowania? Nic na to nie wskazuje. Z ich powojennej aktywności można za to wnioskować, że bliska im była postawa przedwojennego wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, który u schyłku życia, w Krakowie epoki Gomułki, wyjaśniał pewnemu nastolatkowi: „Wiesz, kieruję się zasadą pisarza francuskiego – Bernanosa, może słyszałeś o nim? Jeżeli mój przeciwnik jest ode mnie dziesięć i sto razy silniejszy, rzucam się na niego z kłami i pazurami. Ale jeżeli jest tysiąc razy silniejszy, siedzę cicho,

pokładam ducha krakowskim stańczykiem, ukształtowanym jeszcze przed I wojną światową. Z tamtego czasu złotego europejskiego pokoju wywodził się on w całości – ze swą kulturą Zachodu, z rzetelnością i solidnością, z zamiłowaniem do ładu i piękna, z naturalną i pełną prostotą religijnością, z ideałami technokratycznymi tak silnie sprzęgniętymi z humanizmem, z umiejętnością dochowywania wierności tradycji wraz z kultem nowoczesności, z doskonałą wiedzą fachową razem

Młodzi historycy z IPN nie chcą słuchać mądrych emigrantów z Londynu i Nowego Jorku, lecz uprawiają totalną negację wszystkiego, co w Polsce wydarzyło się po 1945 r.

z wszechstronnymi zainteresowaniami, z rewolucjonizmem niepodległościowca złączonym z zamiłowaniem do działalności legalnej i gotowością do zawierania rozsądnego, honorowego kompromisu”.

Andrzej Romanowski miał szczęście poznać nie tylko Eugeniusza Kwiatkowskiego, lecz i Wacława Jędrzejewicza, z którym na początku 1990 r. przeprowadził wywiad dla „Tygodnika Powszechnego”. Ostatni żyjący minister Piłsudskiego wyrażał

profesor dendrologii i znany działacz katolicki – zasiadał w Radzie Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa Wojciechu Jaruzelskim. Wielu ortodoksyjnych antykomunistów do dziś nie może mu tego darować, choć Giertycha skierował do tej rady prymas Józef Glemp.

Historia przyznawała rację

Tak to splatały się polskie losy – przedwojenne i powojenne, emigracyjne i krajowe. Zawsze jednak

historia przyznawała rację tym, którzy nie traciли nadziei i wierzyli, że „Polska winna trwać wiecznie”. To akurat słowa przywódcy ludowców Wincentego Witosa, który zaczynał działalność polityczną w austriackiej Galicji, budował Drugą Niepodległość, bronił Polski przed najazdem bolszewickim, trzy razy kierował polskimi rządami, potem był przywódcą opozycji, więzieniem sanacji i emigrantem politycznym, a zakończył życie w momencie, gdy rodziła się Polska Ludowa – choć nie całkiem taka, o jakiej marzył. Ale gdyby żył dłużej, zapewne szedłby drogą Eugeniusza Kwiatkowskiego – obaj wszak zgodzili się zaraz po wojnie współpracować z nową władzą, choć nie mieli złudzeń, skąd ona pochodzi. Witos w ostatnich miesiącach życia dał się namówić na przyjęcie tytułu wiceprzewodniczącego Krajowej Rady Narodowej (na czele której stał Bolesław Bierut) i popierał legalizację PSL przez Stanisława Mikołajczyka, Kwiatkowski zaś objął funkcję delegata rządu do spraw odbudowy Wybrzeża, a jeszcze w latach 1947-1952 zasiadał w Sejmie Ustawodawczym.

Nie znajdziemy ich nazwisk wśród patronów „żołnierzy wyklętych”. Obaj za to trafili z czasem do podręczników historii w PRL, które z każdą dekadą były coraz mniej zideologizowane, a coraz bardziej odwoływały się do narodowej tradycji. O czym historycy z IPN także nie chcą pamiętać. ■

W drugiej połowie lat 80. Maciej Giertych zasiadał w Radzie Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa Wojciechu Jaruzelskim. Skierował go tam prymas Józef Glemp.

nie chcąc utracić wszystkiego i pragnąc przechować skarby mego ducha na inne, lepsze czasy”.

Postawa stańczyka

Tym nastolatkiem był Andrzej Romanowski, późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i publicysta, doskonale znany Czytelnikom PRZEGŁĄDU. Komentując te słowa, prof. Romanowski stwierdził, że wtedy po raz pierwszy w życiu zrozumiał „postawę stańczyka”. Jak pisał w biografii twórcy Gdyni i COP: „Był bowiem Kwiatkowski w najgłębszych

wówczas ogromną radość, że doczekał wolnej Rzeczypospolitej. Zmarł w Nowym Jorku trzy lata później, po przeżyciu całego stulecia.

Rok wcześniej – też już przecież w czasach III Rzeczypospolitej – odszedł w Londynie niemal 90-letni Jędrzej Giertych. Jego syn Maciej, absolwent Oksfordu, wrócił do kraju jeszcze w roku 1962 dzięki wstawianictwu ówczesnego ministra spraw zagranicznych Adama Rapackiego, którego Jędrzej poznał podczas wspólnego pobytu w niemieckim obozie jenieckim. W drugiej połowie lat 80. Maciej Giertych – już wtedy

PREZYDENT LEPSZEJ POLSKI

Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim o sobie, polityce i politykach

Robert Walenciak

W czasach powszechnego hejtu, krzyków, że ci inni to zdrajcy i złodzieje, budowania polityki poprzez rozpalać nienawiści i strachu, Aleksander Kwaśniewski jawi się jak gość z innego świata. Dziś mamy czas podpalaczy, jego kariera zaś to łagodzenie, szukanie porozumienia. „Moje drugie imię to Dialog i Kompromis”, mówi i trudno z tym polemizować. Tak jak i z inną opinią, którą wygłosił w książce „Prezydent” – że jego życie jest spełnione i pełne sukcesów.

Tak właśnie jest. I aż prosi się za pytać, jak to się udało, gdzie tkwi tajemnica sukcesów Kwaśniewskiego?

Od pierwszych stron książki „Prezydent” możemy się przekonać, że Aleksander Kwaśniewski był skazany na to, by być osobą otwartą, ciekawą świata, łatwo nawiązującą kontakty. Jego rodzina ze strony matki pochodzi z Wileńszczyzny, więc wniosła mu w wianie i wschodnią wrażliwość kulinarną, i ciepło w kontaktach z innymi, i znajomość rosyjskiego, i wyczucie wschodnich spraw, co bardzo przysłużyło mu się w późniejszej karierze.

I taki oto chłopak poszedł na studia w Trójmieście, w czasach Polski Ludowej miejscu najbardziej otwartym na świat. Ważne było to miejsce i ten czas. Lata 70. to czas epoki Edwarda Gierka. Czyli – otwarcia Polski na Zachód, optymizmu, inwestycji. Kwaśniewski i jego koledzy dyskutują i marzą. Patrzą na świat inaczej niż ich o 10 lat młodszy koleś, pokolenie NSZ wychowane na konspirze i antyjaruzelskich manifestacjach. Lata 70. to nie jest czas buntu bezsilnych. To jest szukanie sposobu, by było lepiej. „Jeżeli będziemy szli drogą reform, to system uda się zmienić na lepszy”, podsumowuje to marzenie. A my

wiemy, że nie było ono znikąd. To była melodia epoki.

Kwaśniewski jest jej złotym dzieckiem. Jeździ po świecie. Korzysta z wolności, którą władza dała. Jeździ prywatnie, wykorzystuje także możliwość stażu poprzez AIESEC, no i poprzez struktury Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. W Wielkiej Brytanii pracuje w pubie, jedzie do Stanów Zjednoczonych, w Niemczech pracuje jako stażysta, a właściciel firmy już po paru tygodniach chce go zatrudnić na stałe.

W latach 70. chętnych do robienia rewolucji, wprowadzania kapitalizmu i wrywania Polski z Układu Warszawskiego wielu nie było.

Odmawia, nie chce tam zostać. Widzi Zachód z bliska. Widzi też z bliska Wschód. I już wie.

Ta wiedza nie była jakimś wyjątkiem. Kwaśniewski przyznaje, że komunistów w Polsce zobaczył dopiero w III RP. W tamtym czasie PZPR była partią władzy, a ideologią organizującą działania rządzących słynne hasło: „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”.

Opisując kolegów ze studiów, środowisko SZSP, mówi: „To były niekończące się dyskusje, jak reformować Polskę, jak ją zmieniać. Oczywiście przez cały czas z uwzględnieniem ograniczeń geopolitycznych”. I za chwilę dodaje: „Moi rówieśnicy uważali, że w zastanych realiach trzeba wykorzystać szanse, które mamy. Moje wejście do partii było w dużej mierze związane z tym przekonaniem. Znałem świat, wiedziałem, że ZSRR to nie jest najwyższy poziom cywilizacji. Pytanie było takie: co można zrobić, żeby Polska była krajem zorganizowanym, zamożnym, żeby ludzie żyli normalnie, żeby mieli poczucie

wolności, satysfakcji. I tu spotkały się dwie drogi. Pierwsza: próbować reform. Druga: odrzucić wszystko, co było, i budować nowe”.

Nie miejmy złudzeń. O tych dwóch drogach Kwaśniewski mówi przez grzeczność. W latach 70. chętnych do robienia rewolucji, wprowadzania kapitalizmu i wrywania Polski z Układu Warszawskiego wielu nie było. Każdy wiedział, że Wielki Brat czuwa, więc pole manewru jest niewielkie. I że trzeba je poszerzać. Jak? Pracą, rozwojem, kompetencjami.

To był kod kulturowy środowiska Kwaśniewskiego, nie tylko jego, nie tylko działaczy SZSP, ale młodej inteligencji późnego Gierka. I to tłumaczy, dlaczego SLD w latach 90. był taki, a nie inny. Nastawiony na Unię Europejską i NATO, otwarty na zmiany gospodarcze i przywiązany do wartości demokratycznych. A później, już po zdobyciu władzy, przedkładający ludzi kompetentnych nad działaczy.

To chichot historii, że pokolenie, które Polsce tak wiele dało, dziś jest zbrukane oskarżeniami o „postkomunizm”, jednym tchem wymienia się ich obok stalinowców, jest delegitymizowane. Cel tych manipulacji jest jeden – chodzi o to, by odebrać im prawo do istnienia w życiu politycznym, by wywyższyć siebie. To się udaje, bo – czyż nie mówił tego Karol Marks? – historię piszą zwycięzcy. Ale tak naprawdę to pokolenie urodzonych w latach 50. zbudowało pozycję III RP.

Jest na ten temat znakomite opracowanie pod redakcją prof. Jacka

Raciborskiego „Elity rządowe III RP 1997-2004”, w którym porównane są elity SLD-owskie z wywodzącymi się z NZS i Solidarności. Różnice są uderzające. Pokolenie Kwaśniewskiego dojrzewało, organizując kluby sportowe, turystyczne, naukowe, oddając się pracy organicznej. Dla nich liczyły się takie cechy jak wiedza, kompetencja, stopniowe poprawianie istniejącej sytuacji. Dla pokolenia NSZ wszystko zaczynało się od patriotycznych uniesień, odkrywania zatartych wydarzeń. Jedni chcieli poznawać świat, drudzy historię najnowszą. Pozytywiści kontra romantycy. Kwaśniewski z tego pokolenia pozytywistów był i najwybitniejszy, i ostatni...

A dlaczego nie wybrał Solidarności? Odpowiedź jest brutalna – bo widział, kto tam poszedł. „Jak zobaczyłem, kto ze znanych mi osób wchodzi do Solidarności, a widziałem tam ludzi, których nie miałem powodów szczególnie szanować za pracowitość, wiedzę czy intelekt, to uznałem, że trzeba wytrzymać ten napór”, mówi.

W polskiej publicystyce nie brakuje pomników, twierdzeń nie do ruszenia. Jednym z nich jest opowieść, że Solidarność lat 1980-1981 była czymś cudownym, wspaniałym ruchem skupiającym najlepszych Polaków i jedyne drogą do wolności. Kwaśniewski w ten pomnik uderzył. Pokazał, że jest z innego świata i ten świat też ma prawo do szacunku.

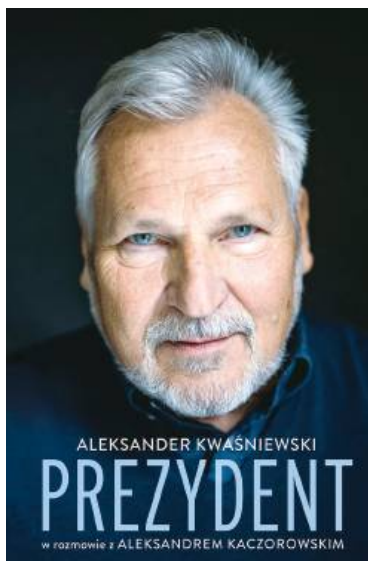
A teraz porozmawiajmy o nim samym, o tym, jak potrafił znaleźć się na różnych etapach swojego życia.

Lata 70. to czas szukania sposobu, by było lepiej. Taka była melodia epoki.

Złożyło się na to kilka elementów. Łatwość nawiązywania kontaktów, otwartość, umiejętność kompromisu. Ale nie takiego, że ja tobie to, a ty mnie tamto, tylko kompromisu polegającego na znalezieniu wspólnego rozwiązania.

Tę umiejętność opisuje, przypominając sylwetkę Billa Clintona, którego najwyżej ceni z amerykańskich prezydentów, z którymi przyszło mu współpracować. „Spotkałem mnóstwo

polityków i gdybym miał ustalać ligę najkompetentniejszych, Clinton byłby w absolutnej czołówce”, mówi. „Był zawsze świetnie przygotowany i poinformowany, z wielką umiejętnością mądrego przywództwa. To najbardziej rzucało się w oczy na szczytach NATO, jeszcze podczas wojen w byłej Jugosławii. Pierwsza runda wypowiedzi, on jest jednym z nas. Mówi słuszne rzeczy, ale nie narzuca swojej woli,



jakiegoś Pax Americana. Chirac ma odmienne zdanie, Simitis, premier Grecji, ma odmienne zdanie. Atmosfera się zagęszcza. I wtedy Clinton zabiera głos. W niezwykle kompetentny sposób przekonuje nas, co trzeba zrobić. I cała sala, w której jeszcze chwilę wcześniej niektórzy brykali, kiwa głowami, że to jest jakiś plan. I na ten plan możemy się zdecydować”.

Proszę zwrócić uwagę, jak ważne jest dla Kwaśniewskiego słowo kompetentny. Wiemy więc, że w polityce trzeba być kompetentnym, przygotowanym do rozmowy, umiejącym rozmawiać z ludźmi. Niezbędny jest do tego zmysł obserwacji, wyczuwania nastrojów. Ilustruje to opowieść o Helmutie Kohlu, byłym kanclerzu Niemiec. „Helmut Kohl powiedział mi kiedyś coś ważnego” – opowiada Kwaśniewski. „Wie pan,

najważniejszy jest *die Nase*, nos. Ja wychodzę na ulicę, idę do piwiarni i wiem, jaki jest stopień poparcia dla mnie i mojej partii”.

Czyli – polityki nie można robić online, patrząc tylko na sondaż. Więc jak ją trzeba prowadzić? I tu Kwaśniewski rzuca nową myśl i przypomina powiedzenie byłego brytyjskiego premiera Harolda Macmillana: „Co jest najważniejsze w polityce? Wydarzenia, wydarzenia...”. Polityka to życie, a życie przynosi nowe wydarzenia, nieraz zaskakujące, na które trzeba reagować. W tym sensie jest sztuką odpowiedniego zachowania się, odpowiedniego działania. Programy, szyldy, to wszystko jest ważne, ale stoi jakby dalej, bo najważniejsze są polityczne umiejętności liderów.

Bo jakże wiele wydarzeń mogłoby rozwinąć się inaczej, niż się rozwinęły. Zadecydowały szczegóły. Joe Biden przecież o włos wygrał wybory prezydenckie w USA, w trzech kluczowych stanach jego przewaga sięgała tysięcy głosów. Gdyby w 2015 r. lewica zdecydowała się na start nie jako koalicja, lecz jedna partia, to przeszłaby próg wyborczy i PiS nie mogłoby rządzić. Do dziś.

W roku 2019 z kolei opozycja miała więcej głosów niż PiS, ale zdecydowała ordynacja. I nie chodzi tylko o metodę d'Hondta, ale o brak korekty demograficznej, co kosztowało opozycję dwa mandaty. Dodajmy, że w tym roku korekty demograficznej też nie dokonano, co da PiS kilku dodatkowych posłów. I mimo że wyborcy opozycji to grupa zdecydowanie większa niż wyborcy PiS, w Sejmie może być inaczej. A co by było, gdyby w roku 2020 Trzaskowski pojechał do Końskich? Gdyby pokazał, że naprawdę chce wygrać wybory?

Oto polityka jako gra na styku, jako pojedynek liderów, ich umiejętności unikania błędów. Tego uczy nas Kwaśniewski, profesor w tej dziedzinie doskonały. I niech to będzie mottem przyszłych wydarzeń: „Wszystko może się zdarzyć, więc trzeba właściwie reagować”.

Prezydent. Aleksander Kwaśniewski
w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim,
Znak Literanova, Kraków 2023

FESTIWAL ŻENADY

Jubileuszowa 60. edycja,
pełna wpadek, dowiodła,
że Opole stało się
synonimem obciachu

Edyta Górniak jest stałą bywalczynią
festiwalu w Opolu.



Kornel Wawrzyniak

– To, co w tej chwili robią ci, którzy dorwali się do władzy, to schlebienie najniższemu gustowi, obniżanie, gdzie się da, i wycinanie tych, którzy są za trudni, bo mają ambicję zrobić coś lepiej – mówił rok temu legendarny dziennikarz muzyczny Wojciech Mann o organizacji festiwalu Opole 2022. A co z tegoroczną

Wodeckiego czy Niemena zapominali na scenie tekstów utworów, które właśnie śpiewają?

„Hej, młody junaku”

Jeszcze 10-15 lat temu takie wpadki były w Opolu nie do pomyślenia, bo Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki był imprezą prestiżową, tak dla muzyków, jak i dla publiczności. Dziś, po ośmiu latach rządów PiS, które

latach na opolskiej scenie – jakość nie odgrywa tam już większej roli. Sytuacja jest podobna jak w „Misiu” Stanisława Barei, gdzie dyżurny estradowy wokalista, śpiewający propagandowy tekst o budowie Trasy Łazienkowskiej, kwituje swoje wystąpienie w kulisach, mówiąc: „Ja wam zawsze wszystko wyśpiewam!”.

– Formuła festiwalu w Opolu, podobnie jak tego w Sopocie, od lat się nie zmieniła. Kojarzy się z poprzednim ustrojem, w którym takie wydarzenia były swojego rodzaju wentylem bezpieczeństwa. Dziś Opole pełni podobną funkcję dla reżimowej

TVPiS. Zostały też cekiny, a na scenie część wykonawców jest ta sama co dekady temu. Innymi słowy, czasy się zmieniają, a Maryla Rodowicz cały czas w Opolu. I to irytuje mnie najbardziej, bo z definicji miał to być festiwal polskiej piosenki, a ta piosenka ma różne oblicza,

Opole pełni funkcję wentyla bezpieczeństwa dla reżimowej TVPiS.

edycja? Właściwie nie wiadomo, od której wpadki zacząć. Może od tego, że organizatorzy „uśmiercili” żyjącą piosenkarkę podczas koncertu poświęconego zmarłemu w ostatnim czasie artyście? A może większe poczucie zażenowania wzbudził fakt, że wokaliści wykonujący piosenki

przejęło publiczną telewizję, czyli głównego organizatora festiwalu, tandeta stała się standardem. Jak wiadomo, w każdym reżimie najlepszy artysta to nasz artysta, czyli ten, który władzy nie uwiera. Z całym szacunkiem dla umiejętności wielu muzyków goszczących w ostatnich

niekoniecznie tylko to wypacykowane telewizyjne z pomadą i toną make-upu, ale też te mocno alternatywne, bardzo czasami zgrzebne i chropowate – komentuje puzonista Kultu Jarosław Ważny.

Ostatnia dekada to wyraźny upadek festiwalu w Opolu. Telewizja Polska rozmontowywała swoją niekompetencją tę imprezę bardzo konsekwentnie. – Obecne Opole to nie festiwal, tylko deska starych serów z zamrażarki prezesa – stwierdza ostro w mediach społecznościowych Krzysztof Skiba, muzyk zespołu Big Cyc. I choć krytyka ta jest daleka od parlamentarnego tonu, nie sposób odmówić Skibie racji. Od lat na scenie goszczą ci sami artyści, grane są te same piosenki, a każda impreza ma ten sam prząsny scenariusz. Wszystko jest miałkie, bo tylko taka twórczość lub hity z innej epoki nie godzą w pisowski reżim.

Opole bardzo źle się starzeje, bo reprezentuje estetykę z zupełnie innej epoki. Tymczasem TVP eksploatuje tę zużytą estetykę do granic możliwości, działając na patencie inżyniera Mamonina, że ludziom podobają się te melodie, które już raz słyszeli. – Raz w życiu, wiele lat temu, byłem częścią Opola, ale Kult występował na swoich zasadach w ramach właściwie osobnego koncertu. Nie było więc odgórnych wytycznych, co mamy grać i jak wyglądać. Dlatego skorzystaliśmy z tej okazji. Niestety, takie warunki to w Opolu rzadkość, a coraz większa liczba artystów omija je szerokim łukiem, bo nie mogą być tam sobą artystycznie – opowiada Jarosław Ważny.

Zgrane starocie i scenariusz są świetnym sposobem dla TVP na omijanie niewygodnych sytuacji antenowych. Reżimowa telewizja dostała nauczkę w 2016 r. Doszło wtedy do kilku incydentów. Po jednym z nich organizatorzy festiwalu zaczęli uważniej dobierać artystów. Lider Elektrycznych Gitar Jakub Sienkiewicz zaśpiewał piosenkę z filmu „Kiler”. Przerobił jednak tekst swojego hitu, aby wyrazić, co myśli o władzy: „Już tylko Kiler / Polska w ruinie / Siedzę na minie / Kiedy to minie? / Same zakręty / Kiler wykłęty / Kiler skazany / Na dobre zmiany / Czy to

dla sportu / Lepszego sortu / w tej kategorii / nowej historii / jak naród Polan / powstaje z kolan / i huk triumfalny”. Oczywiście muzyka nie zaproszono już więcej do współpracy. Sam Sienkiewicz podkreślał jednak, i to wielokrotnie, że nie ma powodów, aby jeździć do Opola.

Podziały ponad muzyką

Kolejnym incydentem było wystąpienie ówczesnego prezesa TVP Jacka Kurskiego. Kiedy pojawił się na scenie, aby wręczyć jednemu z wykonawców nagrodę, został wygwizdany. Kurski z szerokim uśmiechem na ustach odpowiedział: „W wielu krajach aplauz wyraża się poprzez gwizdy, dlatego witam również cudzoziemców”. Po zakończeniu Opola 2016 pojawiły się jeszcze informacje, że ochrona na terenie fe-

PiS poprzez polaryzację społeczeństwa doprowadziło do tego, że wielu artystów wręcz bojkotuje występy na opolskim festiwalu. Dziś występ w Opolu stał się właściwie polityczną deklaracją. Gorzej mają muzycy sesyjni, tzw. sidemani. Udział w opolskim festiwalu był kiedyś dla większości muzyków zawodowym prestiżem. Dziś jedzie się tam odbębnić chałturę, bo z czegoś trzeba żyć.

W tym roku do bojkotu festiwalu namawiał m.in. dziennikarz Maciej Orłoś, który stwierdził w mediach społecznościowych: „Zastanawiam się, czy ktokolwiek z artystów, którzy mają wystąpić na festiwalu w Opolu, ocknie się po ostatnich wydarzeniach i zrezygnuje, nie chcąc firmować swoją twarzą szczujni, propagandy, manipulacji, kłamstwa. Ja niestety wątpię. A wy?”. Orłoś nie dostrzega

Dziś występ w Opolu stał się właściwie polityczną deklaracją.

stiwalu zabierała biało-czerwone flagi oraz flagi z logo KOD. Widowisko muzyczne zamieniło się w polityczną nawałankę.

Wojciech Mann, który kilkakrotnie prowadził festiwal w Opolu, uznaje jego obecną organizację za przykład braku jakichkolwiek kompetencji. Radiowiec zaznacza, że festiwal ziścił przede wszystkim promowany w TVP podział społeczeństwa. – Wiele rzeczy powinno być ponad podziałami, ale politycy PiS tak skutecznie zdążyli poszczuć jednych Polaków na drugich, że jest to widoczne w niemal każdym aspekcie życia – komentuje dziennikarz w rozmowie z mediami. „Szansa na sukces”, którą Mann prowadził prawie 20 lat, została podczas 59. edycji festiwalu wybrana przez publiczność jako najważniejszy program rozrywkowy wszech czasów. Problem w tym, że organizatorzy postanowili nie wymienić ani jego nazwiska, ani twórczyni programu Elżbiety Skrętkowskiej. – Telewizja po raz kolejny niszczy sobie opinię. Nawet za komuny takiego chamstwa nie było – ocenił w zeszłym roku dziennikarz.

jednak, że często ci bezimienni dla publiczności instrumentalisci, którzy grają w tle za wokalistami, nie mają wyboru, bo tak zarabiają na życie – grają muzykę.

W tej chorej sytuacji cierpią też młodzi wykonawcy, dla których dawne Opole było trampoliną do kariery, a nie jedynie do gościnnych występów w programach typu „Jaka to melodia”. Brak nowych wykonawców wyniszcza zaś nasz rodzimy rynek muzyczny. – Przy całym szacunku dla takich artystów jak Mieczysław Fogg, nie ma we mnie zgody na to, aby młodzi wykonawcy wbijali się w ubrania z epoki i próbowali mierzyć się po raz nie wiadomo który z nieswoim repertuarem. Ta cała scenografia z wykalkulowanym co do sekundy scenariuszem to nie jest przestrzeń, w której mogą wyrazić się młodzi artyści. Dlatego uważam, że trzeba oddać młodym wykonawcom scenę i te ogromne pieniądze idące za Opolem, które pomogłyby w rozwoju ich karier – wskazuje Jarosław Ważny. Bołączkę początkujących zespołów dostrzega również krytyczka muzyczna Elżbieta Zapendowska, która wskazuje, ▶

► że poziom młodych debiutantów w Opolu jest daleki od ideału. Ząpendowska namawia jednak, aby podtrzymywać tradycję koncertowania. Być może w nadziei, że Opole kiedyś stanie się znowu kuźnią młodych talentów.

Jak sprzedać Opole?

– Festiwal w Opolu służy dziś przede wszystkim nabijaniu kasy z reklam dla publicznej telewizji. Część ludzi, cokolwiek będzie się działo, zawsze będzie oglądać Opole. I reklamodawcy za ten antenowy czas chętnie płacą. Jeśli będziemy w tym dalej trwać, obudzimy się z ręką w nocniku, bo strawi nas komercja. Natomiast jeżeli to ma być faktycznie festiwal polskiej piosenki, to zrobmy go w odpowiedniej proporcji, gdzie będzie stosowna ilość muzyki znanej, ale też spora doza muzycznych nowości, których obecnie jest na festiwalu opolskim tyle

co kot napłakał – stwierdza Jarosław Ważny.

Warto też przyrzeć się temu, jak TVP promuje opolski festiwal. Nie od dziś wiadomo, że TVP Zenkiem Martyniukiem i Sylwestrem Marzeń stoi. Wydarzenia muzyczne były dumą poprzedniego prezesa TVP Jacka Kurskiego. Podobnej zasady trzyma się również nowy prezes Telewizji Polskiej Mateusz Matyszkowicz. Podczas pierwszego dnia festiwalu aż dziewięć minut wydania „Wiadomości” TVP zajęła właśnie transmisja z Opola. – TVP traktuje festiwal w Opolu, można powiedzieć, personalnie. To miara upadku tej imprezy, tego, że nie przyjdą tam inni wykonawcy. Pojawiają się tylko ludzie, którzy nie mają dla TVP słowa krytyki – komentuje Andrzej Krajewski, były specjalista od wolności słowa w KRRiTV, który bacznie przygląda się działaniom TVP za rządów PiS.

Ekipa „Wiadomości” próbowała też w swoich relacjach z Opola

identyfikować się z klasą robotniczą, pokazując całą ekipę techniczną od oświetleniowców przez operatorów po ludzi zwijających kable. Wyszło to dość niezgrabnie, w charakterystycznym dla ludzi z Woronicza stylu. – Ten festiwal był kiedyś osiągnięciem kulturalnym. Można powiedzieć, że w czasach PRL była to perełka. Dziś Opole trawi komercja, która jest nie do zniesienia – stwierdza Andrzej Krajewski. Jednak cały ten obrazek z opolskiego festiwalu pokazuje, ile krzywdy wyrządzono sztuce i artystom, zanurzając każdy aspekt naszego życia w politycznej walce. Wszystko to ze szkodą dla społeczeństwa, bo jak stwierdził kiedyś niemiecki kompozytor Ryszard Wagner: tylko kultura umysłowa może przysposobić człowieka do rozkoszowania się życiem w jego najwyższej pełni.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



IBISY rozdane

Uroczystym rozdaniem nagród i wyróżnień zakończyła się pierwsza edycja Nagrody im. Andrzeja „Ibisa” Wróblewskiego dla młodych dziennikarzy, ustanowionej przez Oddział Warszawski SDRP. Patron nagrody, wybitny dziennikarz, dobrze znany z dbałości o piękno języka i sens wypowiedzi, wyznacza swoim dorobkiem ideał uprawiania dziennikarstwa odpowiedzialnego i czytelnego dla odbiorcy.

O wyróżnienia konkurowali młodzi dziennikarze do lat 28, których prace cechowała społeczna wrażliwość i troska o kształt

wypowiedzi. Laureatką nagrody głównej została **Aleksandra Dobieszewska** (Polskie Radio), m.in. za reportaż radiowy z ukraińskiej Buczy, wyróżnienia odebrali **Jan Jafowczyk** (Goniec.pl) i **Julian Mordarski** („Dziennik Trybuna”), a nagrodę specjalną **Sebastian Słowiński** (dziennikarz niezależny).

Gratulacje wyróżnionym złożyli m.in. Elżbieta Wojnowska, wdowa po Andrzeju „Ibisie” Wróblewskim, prof. Jerzy Bralczyk, członek Kapituły Konkursu, i Jerzy Domański, przewodniczący Zarządu Głównego SDRP. Prowadzący ceremonię przewodniczący Zarządu Oddziału Warszawskiego Tomasz Miłkowski zaprosił wyróżnionych i uczestników konkursu do współpracy przy kolejnej edycji.

(TM)

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Festiwal flaków

Nie dotknęło mnie jeszcze życie w niedostatku, choć od długotrwałych wygibasów, aby go uniknąć, tuż w krzyżu coraz boleśniej. Jak dotąd nie miałem zatem okazji zweryfikować się w sytuacji ekstremalnej: gdy na przykład alternatywą dla przyjęcia pieniędzy utyłanych reżimowymi łapskami będzie grzebanie po śmietnikach. Nie przymieram jeszcze głodem aż tak, by w halucynacjach wycieńczonego organizmu pojawiła się wizja publikacji w prorządowych organach literackich lub też przyjęcia zlecenia scenariuszowego z TVPiS. Dopóki zatem nie będę całkowicie przyparty do muru, nie mogę mieć pewności, że „nigdy się nie sprzedam”, ale zaprawdę trudno mi to sobie wyobrazić – to nie kwestia bohaterstwa, ale smaku.

Dlatego nie wzburzenie moralne, lecz skrajny absmak odczuwam, patrząc na galerię sław, które wystąpiły na festiwalu piosenki, dając twarz, głos i nazwisko kaczystowskiej szczujni. Co gorsza, teraz rżną głupa, że przecież Opole to legenda, która powstała za komuny, należy umieć oddzielić sztukę od polityki itd. Być może o czymś nie wiem, sam często robię dobrą minę do złej gry, bo biedą raczej nie ma co się chwalić, ale żadna z rzeczonych gwiazd nie sprawia wrażenia osoby, której zastrzyk gotówki za występ w telewizyjnym domu publicznym pozwolił wychynąć z otchłani biedy. Nie mam pretensji do wyznawców kacyzmu, którzy zgodnie ze swoim ideowym kompasem konsekwentnie występują pod szyldami beneficjentów obecnego systemu – są wszak artyści o światopoglądach radykalnych, a że ich preferencje polityczne akurat się zbiegają z tymi, którym hołduje władza, chłepcą z koryta póki czas. Ale udawanie opozycjonistów za pomocą nibyodważnych aluzjek przed występem albo bezpiecznego hasła wypisanego na plecach, to już po prostu żenada, od której wątpia mi się skręcają. Tym ludziom pieniądze po prostu nie śmierdzą, taki przekaz powinni wnieść ze sobą na scenę opolskiego amfiteatru, a nie gowinować w najgorszym stylu (pamiętamy, jak głosował z PiS, ale się nie cieszył).

Gwiazdy popkultury, firmujące własnym wizerunkiem jakiegokolwiek produkcje telewizji rządowej we współczesnej Polsce, próbują jednocześnie porozumiewawczo mrugać do widowni i siadać okrzakiem

na barykadzie; dostają hajs ze szczujni, ale chcą zarazem zostawić sobie uchyloną furtkę na okoliczność zmiany władzy. Oportunizm ma swoją cenę – dałeś ciała za pieniądze, to z nich korzystaj, póki życia i zdrowia starcza, ale nie próbuj jednocześnie poprawić sobie nastroju bałamutnymi tłumaczeniami, żeś cnotę zachował. To mi przypomina, za przeproszeniem, swoje sposoby uprawiania seksu przedmałżeńskiego bez naruszenia błony dziewiczej, żeby w noc poślubną poruty nie było. W przeddzień najbrudniejszej kampanii wyborczej w historii, do której kaczystowscy propagandyści już się sposobią, śpiewasz przed reżimowymi kamerami piosenki ludzi, którym bliźniaczy reżim próbował łącać kariery i którzy już tylko w grobie mogą się przewracać. Zarazem pragniesz zachować czyste sumienie, a także wizerunek niezależnego artysty, a nawet autorytetu.

Skrajny absmak odczuwam, patrząc na galerię sław, które wystąpiły na festiwalu piosenki, dając twarz, głos i nazwisko kaczystowskiej szczujni.

Owszem, tęsknię pokątnie do dziecięcych wzruszeń, kiedy co tydzień zasiadałem przed wystużonym radiomagnetonem i notowałem skrzętnie kolejne utwory Listy Przebojów PR III, ale nie przysztoby mi do głowy z tej przyczyny słuchać Trójki obecnej i udawać, że nic się nie zmieniło. Tak, z rozrzewnieniem wspominam czasy, w których Opole wygrywał Grechuta śpiewający Witkacego, ale zarazem mam świadomość, że *to se ne vrati*, a obecna władza chce się uwiarygodnić za wszelką cenę, żerując na naszych sentymentach i chciwości współczesnych gwiazd.

Ludzie zatracili słuch i węch. W Piaskach koło Lublina właśnie odbył się 14. Festiwal Flaków uświetniony między innymi przez Zenka Martyniuka – przyciągnął tłumy. Gwiazdy festiwalu opolskiego zapewne zdrowo z tego chichoczą, zadowolone, że tak nisko nie muszą upadać. Potężna siła wyparcia nigdy nie pozwoli im pojąć, że upadli znacznie niżej.

Rozmawia Artur Zaborski

Akcja pańskiego filmu rozgrywa się na tureckiej prowincji, która wydaje się spełnionym snem Recep Tayyipa Erdoğan: rządzi tu tradycja, silna męska ręka, ludzie definiują się poprzez płeć i role społeczne.

A nad tym, czy tak powinno być, nikt nie ma czasu się zastanawiać, bo są ważniejsze problemy, choćby brak wody.

– Kryzys jest zawsze sojusznikiem dyktatorów. Ci, którym marzą się autorytarne rządy, bardzo chętnie popychają naród ku zapaści. Wystarczy spojrzeć na Władimira Putina w Rosji, który wysyła ludzi na wojnę, czy Erdoğan, który chce umocnić swoją władzę z pomocą kryzysu ekonomicznego. Historia nauczyła nas już wielokrotnie, że kryzysy sprzyjają manipulacji. Łatwo nabrać społeczeństwo na to, że chce się im przeciwdziałać, a pod pozorem wprowadzania reform naprawczych przesuwa się coraz dalej granice własnej władzy. Takie działania zawsze muszą doprowadzić do katastrofy, a mój film jest efektem przemyśleń na ten temat.

Mieszkańcy ekranowej wsi mają na prawdę długą listę ludzi, którym są nieprzychylni: nie znoszą Romów, gejów, wyzwolonych kobiet, dziennikarzy i opozycjonistów.

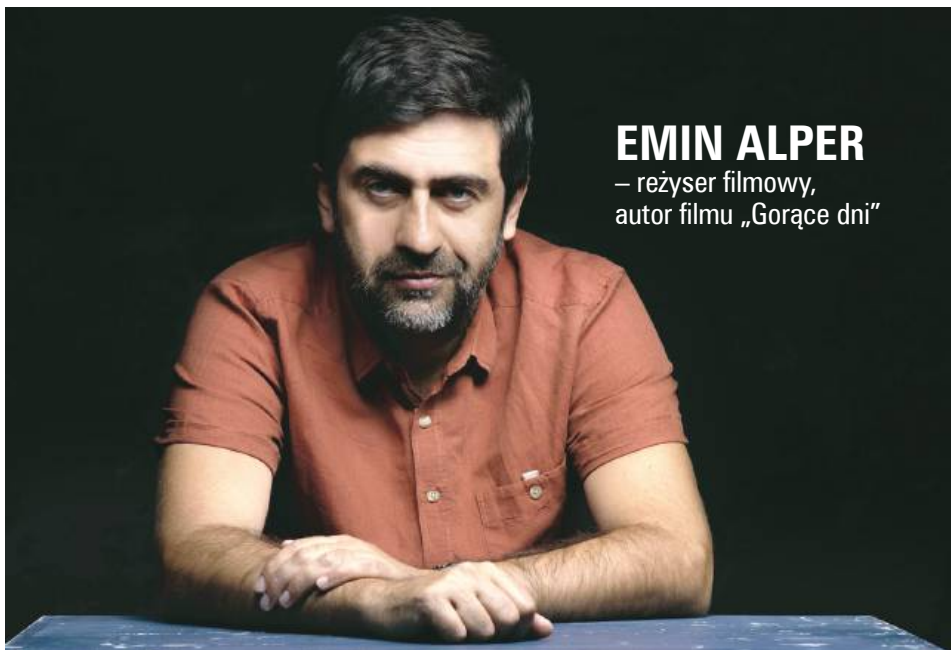
– Bardzo stara taktyka autorytarnych przywódców polega na tym, że występują przeciwko imigrantom czy LGBT+, bo w ten sposób mogą manipulować większością ludzi, którym wskazują wrogów. Jednoczą ludzi w obliczu wspólnego zagrożenia, a siebie samych kreują na zbawicieli od tego zagrożenia. Ta taktyka ma sens, bo zarówno imigranci, jak i osoby nieheteronormatywne są bardzo łatwym celem. Nie bronią się w sposób agresywny, nie stwarzają realnego zagrożenia. Tę strategię wykorzystują też rządzący w Turcji, na czym cierpią mniejszości etniczne i seksualne.

A pan o tym głośno opowiada, co pewnie rządzącym się nie podoba.

– Zawsze byłem reżyserem, który stawiał na kino polityczne. W młodości uważałem siebie za aktywistę, potem zacząłem walczyć o ważne dla

Pojedynek zła z mniejszym złem

W Turcji mieszanie się do polityki, nawet poprzez wypowiedzi artystyczne, to igranie z ogniem



EMIN ALPER

– reżyser filmowy,
autor filmu „Gorące dni”

mnie rzeczy za pomocą kamery. Miałem w głowie kilka projektów, które nie były polityczne, ale się do nich nie zabrałem, bo mój kraj nie pozwala mi na to. Dzieje się w nim tyle spraw wymagających reakcji, że nie chcę tracić czasu na filmy, które nie są zaangażowane w sytuację.

Spotykamy się na festiwalu filmowym w Antalyi, gdzie na projekcjach w salach kinowych są zawsze dwa puste fotele. To symbol uwieczonych ludzi kultury. Do więzienia trafił m.in. pański producent Çiğdem Mater. Z kinem politycznym w Turcji nie ma żartów.

– W Turcji jeszcze nie wsadza się do więzienia za robienie filmów. Ale mieszanie się do polityki, nawet poprzez wypowiedzi artystyczne, to

igranie z ogniem. Za każdym razem mam problem ze zdobyciem środków na swój kolejny obraz. I czuję, że po „Gorących dniach” nie dostanę dotacji z państwowej kasy na następny film. Władza lubi też mieszać się w kwestie dystrybucji i nie zdziwiłbym się, gdyby próbowano ograniczyć pokazywanie mojej produkcji. Ale tego wszystkiego nie da się porównać z siedzeniem w więzieniu, co raczej mi nie grozi.

Od niedawna macie w Turcji Netfliksa. Może to jest jakaś opcja dla pana?

– Netfliksa nie interesuje kino arthouse’owe. Pod tym kątem platforma jest przewidywalna, wiadomo, że to się nie zmieni. A z rządzącymi nigdy nic nie wiadomo. Reżimy takie

jak ten zbudowany przez Erdoğan, rządzą się tym, że są nieprzewidywalne. Nigdy nie wiesz, kto znajdzie się na ich celowniku.

Dlaczego nie mieliby to być artyści?

– Bo jesteśmy mało znani. Szkoda tracić na nas czas. Kto by się tam przejmował reżyserem z obszaru kina artystycznego, którego film zobaczy garstka ludzi? Władza woli się skupiać na wrogach, którzy mają większe wpływy i dotarcie. Zwłaszcza po covidzie zmienił się krajobraz kina i sposoby odbioru filmów. Produkcje artystyczne nie przyciągają widzów i trudno będzie się zbliżyć do wyników sprzed pandemii.

Filmowcy jednak Erdoğanowi nie odpuszczają. Cała grupa młodszych reżyserów piętnuje uwstecznienie prowincji, która boi się nie tylko obcych i innych, ale i artystów, jak w „Black Night” Özcan Alpera, czy wykształconych kobiet, jak w świetnym „Snow and the Bear” Selcen Ergun.

– Muszę przyznać, że jestem zaskoczony, że nasze filmy mają wspólny mianownik i łączy je podobna tematyka. To, że każde z nas umiejscawia akcję swojego filmu na wsi, nie jest związane z tym, że chcemy wyolbrzymić dysproporcje pomiędzy miastem a prowincją. Wykorzystujemy wieś jako metaforę całego kraju. Ja nie mam nic do mieszkańców prowincji, choć sam pochodzę z miasta, jednak z dala od wielkich skupisk ludzi łatwiej stworzyć mikrokosmos, który pokaże widzowi problemy, o jakich chcę opowiadać. Do takiego mikrokosmosu prościej było mi wystać mojego bohatera i zmierzyć go z tym, co aktualnie dzieje się w moim kraju. Turcja to dziś państwo pełne sprzeczności, w którym dochodzi do ciągłych tarć nie tylko pomiędzy tradycją i nowoczesnością, ale też pomiędzy wyznawcami różnych odmian religii czy pomiędzy przedstawicielami różnych grup etnicznych.

Jednak to w starciu konserwatystów i liberałów najłatwiej dostrzec dziś wpływy polityki, bo rząd Erdoğan ma największe poparcie właśnie ze strony ludzi wyznających konserwatywne wartości. Nie chcę się wypowiadać w imieniu innych reżyserów, ale moją intencją było stworzenie mikrokosmosu, który pozwoli widzowi zrozumieć, jak samotna czuje się jednostka, której bliskie są kosmopolityczne idee, w kraju, który sympatyzuje z konserwatystami i faworyzuje ich. Myślę, że to poczucie dzisiaj towarzyszy wielu tureckim intelektualistom.

Kryzysy sprzyjają manipulacji. Łatwo nabrać społeczeństwo na to, że chce się im przeciwdziałać.

I to niezależnie od wieku – mówią o nim reprezentanci różnych generacji.

– Jeszcze do niedawna wydawało mi się, że nie mam zbyt wiele wspólnego z młodą generacją filmowców. Dopiero od jakiegoś czasu przekonuję się, że łączy nas poczucie podobnej beznadziei. I nie ma znaczenia, ile mamy lat, ani skąd w Turcji pochodzimy. Opowiadamy o świecie z pomocą zupełnie innej estetyki i stylistyki, a i tak łączy nas to samo doświadczenie. Nie stworzyliśmy nowej fali filmów, które są do siebie podobne, jak stało się to w kinie rumuńskim czy irańskim, więc trudniej nas zakwalifikować do jednej grupy, a jednak i tak coś nas łączy.

Czy pańskim zdaniem to ożywienie w tureckim kinie ma związek ze wzmocnionymi próbami cenzury?

– Wydaje mi się, że to jest ze sobą połączzone. Kilka lat temu rząd wydał zakaz organizowania wydarzeń kulturalnych – w tym rozpowszechniania filmów – o tematyce LGBT+. Jaki jest tego efekt? Tureccy reżyserzy

kręcą kolejny film, w którym pojawiają się nieheteronormatywni bohaterowie. Nie mówię, że przed wprowadzeniem tego zakazu w Turcji nie było homofobii i problemu z akceptowaniem osób LGBT+, ale to właśnie on przyczynił się do tego, że o mniejszościach zaczęło się wypowiadać chętniej kino. Jest w nas jakaś przekorność, że jak się nam czegoś w Turcji zakazuje, my wtedy zaczynamy to robić. I ten przykład kina gejowskiego jest tu dobry. Naprawdę wątpię, że ono byłoby obecne w naszym kraju, gdyby Erdoğan nie zaczął majstrować przy prawie do wyrażania swojej seksualności. Ale zaczął, więc filmowcy zaczęli chcieć walczyć o mniejszości.

Pan podobno wątek gejowski dodał w swoim filmie dopiero w kolejnej warstwie scenariusza?

– Tak, zainspirowała mnie do tego polityka rządu.

W filmie nie dzieli pan ekranowych postaci na ludzi dobrych i złych. Zarówno prokurator, jak i dziennikarz, których próbuje zniszczyć konserwatywna społeczność, mają swoje za uszami.

– Ja nie wierzę w taki prosty podział świata. Pokazanie, że oni są ludźmi kryształowymi, byłoby oszukiwaniem widza. Publiczność nie może mieć pewności, że intencje tych postaci są słuszne, bo wtedy z filmu zniknęłoby całe napięcie. W moich filmach nie ma walki dobra ze złem – jest pojedynkę zła z mniejszością.

Sąd reprezentuje u pana kobieta, co wydaje się symboliczne. Ale nawet jej nie pozwala się pan pokazać jako ostoji sprawiedliwości.

– Ona symbolizuje sprawiedliwość, która jest ograniczana poprzez biurokrację. Znam bardzo wiele takich ludzi na całym świecie, którzy twierdzą, że chcieliby pomóc, ale są ograniczani przepisami. Nie wiem, czy są sprawliwymi, czy biurokratami.

We współczesnej Turcji nie da się żyć bez zbrudzenia sobie rąk?

– Nie ma takiej możliwości. „Gorące dni” o tym przypominają.

Kiedy oglądałem pański film, miałem w głowie klasyczne westerny.

Emin Alper – ur. w 1974 r., reżyser i scenarzysta. Studiował ekonomię i historię, a jego dyplom dotyczył współczesnej historii Turcji. Jego pierwszy pełnometrażowy film „Za wzgórzem” (2012) otrzymał wiele nagród na całym świecie, w tym na Berlinie. „Gorące dni” (2022) pokazywane były m.in. w Cannes i w Antalyi.

Gorące dni



► W nich też żar lał się z nieba, a samotny szeryf próbował zapanować nad atakującymi go z każdej strony złem i przemocą, zupełnie jak prokurator u pana.

– Kiedy przystępowałem do pracy nad tym projektem, nie myślałem o tym w taki sposób. Dopiero kiedy zacząłem kręcić, w głowie zaczęły mi się pojawiać amerykańskie westerny nakręcone na południu kraju, gdzie mieszkają tradycyjne społeczności, pełne uprzedzeń wobec inności. Tam też panuje kultura macho i niechęć choćby do czarnych. Jeśli przyjrzeć się temu bliżej, to okaże się, że szeryfowie w tych filmach też mieli władzę autorytarną. Podobieństw jest aż nadto, więc chyba mogę mówić, że nakręciłem amerykański film.

W „Gorących dniach” pojawia się bardzo ważna scena upijania się

bohaterów rakiją. To już właściwie lejtmotyw w pańskiej twórczości.

– Bardzo lubię pisać takie sceny, bo one pozwalają mi podkreślić przeciwności, jakimi kierują się moi bohaterowie. Upicie się rakiją zazwyczaj zajmuje pijącym od trzech do czterech godzin. W tym czasie może dojść między nimi do bardzo wielu spięć, które trudno przewidzieć. Mogą rzucić się sobie na szyję albo skoczyć do gardeł, mogą wyznać sobie skrywane prawdy albo zmyślać niestworzone opowieści, mogą się śmiać albo płakać. Takie sceny pozwalają mi wyciągać z ludzi drzemiące w nich sprzeczności.

W pańskich filmach jest dużo fatalizmu. Jak pan patrzy na przyszłość swoją i swojego kraju?

– „Gorące dni” to mój najbardziej optymistyczny film, w którym, owszem, jest dużo mroku i zwątpienia, ale

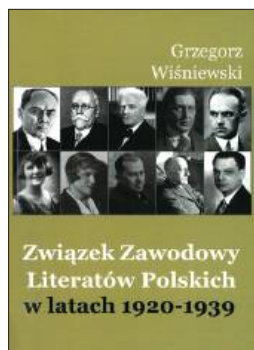
na końcu bohaterowie decydują się walczyć o to, co dla nich ważne, nie poddają się. I tak też widzę przyszłość, w której nie składamy broni, tylko stawiamy opór do końca. Erdoğan nie będzie rządził wiecznie, a postępujący kryzys ekonomiczny może różnie nastawić ludzi do niego.

A jak wpływa na tureckie społeczeństwo wojna w Ukrainie? Nas, Polaków, naród ogromnie podzielony politycznie, była w stanie zbliżyć do siebie.

– W Turcji to jest bardziej skomplikowane, bo u nas jest bardzo silna tradycja antyamerykanizmu. W wielu ludziach tkwi przekonanie, że jeśli USA coś wspierają, to trzeba być przeciwko temu. Niestety, niektórzy Turkowie wyrażają poparcie dla działań Putina, ignorując przy tym zupełnie poszanowanie praw człowieka tylko dlatego, że chcą pokazać, jak bardzo są przeciw Amerykanom. Ale to się zmienia. Na początku wojny propaganda mówiąca, że Rosja broni Europy przed kolonizacją przez Stany Zjednoczone, które chciały podbić także Ukrainę, była silniejsza. Teraz osłabła i coraz większa część społeczeństwa zaczyna rozumieć, co naprawdę się dzieje. Ale mówimy tu raczej o skali pół na pół – myślę, że połowa mieszkańców mojego kraju wciąż Ukrainy nie wspiera.

Artur Zaborski

KSIĄŻKI

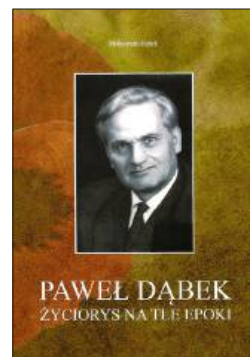


Grzegorz Wiśniewski
Związek Zawodowy Literatów Polskich w latach 1920-1939
Związek Literatów Polskich,
Warszawa 2023

Życie literackie w międzywojennej Polsce, pod wieloma względami bujne, rozwijało się w trudnych warunkach. Rzeczpospolita była państwem etnicznie niejednorodnym. Podczas spisu ludności w 1921 r. 69% mieszkańców podało narodowość polską, 14% ukraińską, 8% żydowską, po 4% białoruską i niemiecką, a 1% inną. Polska literatura wkraczała w międzywojnie w silnej drużynie, bo działali wówczas m.in. Aleksander Świętochowski, Stefan Żeromski, Andrzej Strug czy Zofia Nałkowska. Deklaracja pisarzy lewicowych głosiła, że „Wyzwolenie Polski nie jest dotychczas całkowite (...). Walka o lepszą przyszłość dopiero się zaczyna”.

Małgorzata Dąbek
Paweł Dąbek. Życiorys na tle epoki
Wydawnictwo Muzeum Pawła Dąbka, Lublin 2023

Paweł Dąbek (1908-1987) był politykiem, wojskowym, generałem brygady Wojska Polskiego, wojewodą lubelskim, wieloletnim przewodniczącym prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej województwa lubelskiego, a także posłem do Krajowej Rady Narodowej i na Sejm Ustawodawczy oraz Sejm PRL II, III, IV, V, VI, VII i VIII kadencji. Poświęcona tej postaci książka ma charakter wspomnieniowy, zawiera ogrom faktów z okresu II RP i PRL oraz rodzinnych doświadczeń.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Upokorzenie jest kluczem

Zbieram gratulacje od znajomych, że byłem w stanie przez 10 minut oglądać „Wiadomości” w telewizji rządowej po manifestacji 4 czerwca, co opisałem w poprzednim felietonie. Ale ostrzegam, to było doświadczenie ekstremalne, do teraz nie mogę się po tym domyć i czuję obrzydzenie. Odradzam innym. Nie wiem, czy odważę się po raz drugi na coś takiego.

W Polsce dużo się buduje i o wiele ładniej niż przed laty, w budownictwie mieszkaniowym już chyba nie ustępujemy krajom o wyższej niż nasza tradycji estetycznej. Mam czułe oko na architekturę, pisałem o niej przez lata w miesięczniku „Architektura”, więc cieszy mnie, że jest lepiej. Buduje się jednak za mało. I za drogo. A programy mieszkaniowe PiS, którymi tak się chwalili, szlag trafił. Okrutna bywa czysta statystyka: statystyczny Polak żyje na 29 m kw. W większym ścisku żyją w Europie tylko Rumuni. Mieszkanie określa samopoczucie ludzi, dramat mieszkaniowy sprzyja emigracji, młodzi duszą się w Polsce z powodów mieszkaniowych, a też z politycznych. Jest inny dramat, który ujawni się w pełni po latach – w Polsce rodzi się coraz mniej dzieci. PiS nie znalazło pomysłu, jak zapobiec trwającemu wymieraniu Polaków, 500+ nic nie pomogło. Staniemy się krajem bez dzieci, starym społeczeństwem. Co mówią kobiety? „Obawiam się o bezpieczeństwo ekonomiczne, że zostanę sama z obowiązkami związanymi z wychowaniem dziecka, dziecko nie pozwoli mi realizować swoich pasji”. Tak, macierzyństwo jest teraz w sporze z pragnieniem wolności i realizowania siebie w wielu dziedzinach. Przepisy antyaborcyjne, stosunek PiS do kobiet też grają tu swoją rolę. Prognozy demograficzne nie mają litości, Polska się wyludnia, Ukraińcy nie załatwią całej dziury.

Powrót Donalda Tuska do polskiej polityki jest zbawienny, jest nadzieją. To silna osobowość, typ wodza, ma to wielkie zalety, ale też wady. On, jak każdy drapieżnik, ma odruch, by zagryzać, również ludzi ze swojego otoczenia, którzy mogą mu zagrozić. A dla dobra sprawy powinien promować innych polityków swojej partii, aby byli bardziej widoczni. I należy uwodząć, a nie dyskredytować inne partie opozycyjne, które po ogromnym sukcesie marszu 4 czerwca schudły i wyglądają na zabiedzone. Kosiniak-Kamysz ma wielki ból głowy, dalszy sojusz z Polską 2050 może grozić anihilacją tej partii o ponad stuletniej tradycji. Czy w tej biedzie będzie jednak próbował zwrócić się ku Tuskowi? Hołowni z kolei grozi, że zostanie

sam, ma muchy w nosie i jest narcyzem, może więc przegrać Polskę, dla siebie i dla nas. Jedna lista opozycyjna jest oczywistą potrzebą. I nadal jest możliwa.

Roman Giertych miał pewne cechy posta Grzegorza Brauna w złagodzonej formie, ale to było dawno i jest już nowy, światły Giertych. Umieścił na Facebooku krótki tekst polityczny, który mi się spodobał i go upowszechniłem. Odezwali się od razu w komentarzach liczni wściekli i w wielkiej złości zaczęli Giertychowi wypominać przeszłość. Sam o nim kiedyś pisałem okropne rzeczy. Czy nie mógł jednak się zmienić? Ludzie mają skłonność, by nie wybaczają, ja znając swoje słabości, mam łatwość wybaczenia w sprawach osobistych i publicznych. Napisałem książkę „Dom pisarzy w czasach zarazy” o pisarzach i stalinizmie. Akces do niego stał się udziałem niemal wszystkich polskich artystów, pisali, mówili, tworzyli okropne rzeczy, nawet pisowskie podłości

Upokorzenie ludzi racjonalnie myślących i wrażliwych moralnie przyczyni się do upadku PiS.

przy tym trochę błędną. A jednak wybaczymy im, wielu z nich przecież związało się potem z ruchem opozycyjnym. Dlaczego więc nie wybaczyć Giertychowi? Pisz: „Dominującym uczuciem, którego doświadcza człowiek wykształcony we współczesnej Polsce, jest głębokie poczucie upokorzenia związanego z faktem, że pozwoliliśmy na to, aby rządziła nami banda nieokrzesanych, chamskich prymitywów, przepleciona z cynicznymi karierowiczami, podległa woli jednej osoby, bardzo inteligentnej, ale pozbawionej jakichkolwiek skrupułów i nadto mocno postrzelonej. Poczucie to przeplatane jest żalem za państwem, które wszyscy utraciliśmy. Demokratycznym państwem prawa, gdzie nad wolą najpotężniejszych stało jednak prawo, którego broniły niezależne sądy (często zbyt wolne i omylne, ale jednak niezależne). (...) Musimy przebudować Polskę tak, aby zabezpieczyć przyszłe pokolenia przed tym upokorzeniem, ośmieszeniem i okradzeniem, które nas spotkało”.

Tak, upokorzenie jest kluczem do większej liczby ludzkich zachowań, niż nam się zdaje. Upokorzenie całych grup społecznych przez wielką zmianę dało PiS władzę, upokorzenie ludzi racjonalnie myślących i wrażliwych moralnie przyczyni się teraz do upadku PiS. ■



Tajemnicze empuzy

To one, przyczajone wiedźmy czyhają na młodych mężczyzn, a potem rozszarpują ich ciała na strzępy. W cieniu nadciągającej ucty rozgrywa się akcja horroru przyrodoleczniczego Olgi Tokarczuk. Rzecz toczy się w Görbersdorf, czyli dzisiejszym Sokołowsku na Dolnym Śląsku, gdzie slabujący na płuca szukają nadziei na ozdrowienie, a nierzadko znajdują śmierć. Oprócz zabiegów czas wypełniają im dysputy – sanatoryjne rytuały przypominają atmosferę „Czarodziejskiej góry” Thomasa Manna. Z tym że mężczyzn z „Empuzjonu” nie zajmują debaty o podstawowych

KURTYNA W GÓRĘ

wartościach humanistycznych, wojnie i pokoju, istocie dobra i zła, ale łączą antyfeministyczne przekonania i lęk przed kobietami.

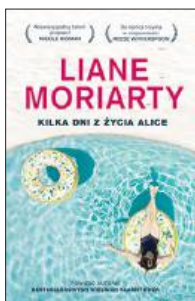
A jednak Robert Talarczyk, reżyser, autor scenariusza spektaklu zrealizowanego wspólnymi siłami Teatru Śląskiego, Teatru Studio i Instytutu Grotowskiego, zakończył widowisko sceną zaczerpniętą właśnie z „Czarodziejskiej góry”. Oto Hans Castorp w wojskowym uniformie przybywa z pola walki. Tym epilogiem Talarczyk wydaje się mówić: oto do czego prowadzą patriarchalne rządy i urazy.

„Empuzjon” na scenie nie jest aż tak mroczny, jak w powieści – cóż, zawsze większe wrażenie czyni niedopowiedzenie, choć trzeba przyznać, że zarówno dekoracja, jak i oprawa muzyczna oraz aktorsko wyczelowane postacie budzą uznanie. Kto wie, może to nawet najlepsza adaptacja teatralna prozy Tokarczuk, a na pewno jedna z lepszych prób przełożenia jej prozy na teatr. Trzyma uwagę widzów w napięciu, przykuwa ją tajemniczą aurą i pytaniem, czy przesłanie tej powieści – miejsce dla wszystkich, niezależnie od płci i odstępstw od tzw. cielesnej normy, kiedykolwiek się ziści.

Tomasz Miłkowski

Olga Tokarczuk, „Empuzjon”, reżyseria Robert Talarczyk, prapremiera w Teatrze Studio 19 maja 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI



Liane Moriarty
Kilka dni z życia Alice

tłum. Anna Maria Nowak

Znak, Kraków 2023

W „Wielkich kłamstewkach” jedna z bohaterek podśmiewa się z grupki matek: „Blond paze rządzą szkołą. Chcesz być w radzie rodziców, musisz mieć blond pazia”. To mamusio fundamentalistki, które z zaangażowania w wychowanie dzieci zrobiły wręcz religię. „Kilka dni z życia Alice” Moriarty napisała wcześniej – i już tutaj ten rodzaj fryzury jest symbolem przemiany szczęśliwej w małżeństwie luzaczki w sfrustrowaną perfekcjonistkę na progu rozvodu. Tyle że po wywrotce na treningu skutkującej sporym guzem cała ta fatalna metamorfoza, która dokonała się w ciągu 10 lat, wyparowała z pamięci Alice. Razem z resztą wydarzeń tej dekady. Niespodzianki fundowane Alice przez amnezję przeplatają się z terapeutycznym dziennikiem Elizabeth, która toczy niszczącą psychicznie walkę ze swoim ciałem o urodzenie dziecka, i wyimkami z bloga przyszywanej babci siostr. Trzy perspektywy, trzy kobiety, które chciałoby się widzieć szczęśliwymi. Elizabeth mierzy się z rosnącym w niej gniewem, Frannie z obsesją śmierci, Alice odkrywa wysoką cenę zrealizowanych marzeń, ale jest tu miejsce na komizm, mnóstwo ciepła i nadzieję.

Aleksandra Pańko

NA POWAŻNIE



Mozart śmiesz i poucza

Im większy cebulowaty turban na głowie, tym śmieszniejszy. W operze śmieszna staje się też groza, jaką serwuje porywczy Turek Osmin wobec porwanych „niewiernych”, czemu towarzyszą też działania z pogranicza erotyki. Wszystko to błędnie jednak wobec piękna muzyki Mozarta. I tylko nieliczni się dowiedzą, że nowa premiera jest odpowiedzią na inscenizację pewnego Rosjanina sprzed pięciu lat.

Bronisław Tumitowicz

W.A. Mozart, „Urowadzenie z Seraju”, reżyser Michał Znaniecki, dyrygent Marcin Sompoliński, Warszawska Opera Kameralna, premiera 1 czerwca 2023

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

POMOŻE ROZBAWIA DO ŁEZ

Jubileuszowy finał Turnieju Łgarzy w Bogatyni



Tytuł Króla Łgarzy 2023 zdobył kabaret Pomoże.



Laureaci 40. Turnieju Małych Form Satyrycznych.

Właśnie minęło 40 lat od pierwszego Turnieju Łgarzy w Bogatyni. 20 maja odbył się jubileuszowy finał Turnieju Małych Form Satyrycznych. To jeden z najstarszych konkursów satyrycznych w Polsce. Bogatyńska publiczność i goście z całej Polski mogli po raz kolejny dobrze się bawić za sprawą finalistów – kabaretów A jak i Trzecia Strona Medalu z Krakowa oraz Pomoże z Gdańska, które rywalizowały o tytuł Króla Łgarzy 2023.

Dzięki ogromnemu zaangażowaniu organizatorów ze Stowarzyszenia Turnieju Małych Form Satyrycznych oraz pracowników Bogatyńskiego Ośrodka Kultury wieczór kabaretowego łgarstwa był bardzo udany. Nie tylko za sprawą kabaretów, które trafiły do finału, ale też Tomasza Jachimka, który publiczność rozbawił do łez. Oprawę muzyczną przygotował zespół Mono Kolektyw, którego członkowie, kochający jazz, funk i fusion, pochodzą m.in. z Bogatyni, Szklarskiej Poręby i Bolesławca. Koncert wyreżyserował i poprowadził Artur Andrus, który na życzenie publiczności został wyróżniony przez jury konkursu tytułem „dożywotniego konferansjera kolejnych finałów Turnieju Łgarzy”.

W konkursie na tekst satyryczny jury w składzie: Natalia Grzeszczyk, Artur Andrus, Tomasz Jachimek, Krzysztof Piasecki i Stanisław Zygmunt zakwalifikowało do finału następujące teksty: „Motywacje” Jakuba Bolca, „Eksperyment” Haliny Bohuty-Stapel, „Kolejna wywiadówka” Łukasza Błąda, „Z życia matki” Klaudii Kurzawskiej, „Ostatnie dni Zemeni” Michała Waligóry, „Pokój Nieomylnego” Mirosława Fydrycha, „Dzień ustawowo dobry” Wojciecha Gawrona, „Zmiany, zmiany” Witolda Pelki i „Rzeźnik” Marka Nowaka. I miejsce i tytuł Księcia Łgarzy

2023 oraz statuetkę Złotego Kosy otrzymał Michał Waligóra z Gęzyna za tekst „Ostatnie dni Zemeni”. II miejsce zdobył tekst „Dzień ustawowo dobry” Wojciecha Gawrona z Kołobrzegu, a Mirosław Fydrych z Dąbrowy Górniczej został wyróżniony za tekst „Pokój Nieomylnego”.

W konkursie na prezentację sceniczną jury w składzie: Natalia Grzeszczyk – RMF Classic, Marlena Justyńska – Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, Jan Tomków – Telewizja Regionalna ze Zgorzelca, Henryk Izdorczyk – STMFS oraz Artur Skrzęta – STMFS po burzliwych obradach przyznało Tytuł Króla Łgarzy 2023 i statuetkę Kozła autorstwa prof. Tomasza Krzpieta z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie kabaretowi Pomoże. Jest to młody kabaret, powstał w 2022 r., tworzą go Marta Mucha, Jakub Suchecki i Radek Ulm. Grupa ma już na swoim koncie nagrody jury i publiczności na ogólnopolskich przeglądach kabaretowych. Dwoma równorzędnymi miejscami nagrodzono Kabarety A jak i Trzecia Strona Medalu.

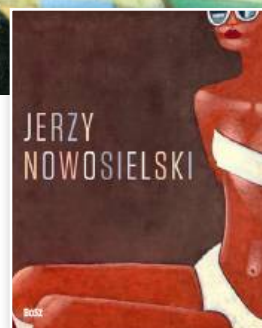
Jednak najważniejszą nagrodą dla wykonawców jest nagroda publiczności. W tajnym głosowaniu bogatyńska publiczność postanowiła przyznać swoją nagrodę kabaretowi Trzecia Strona Medalu. Laureaci otrzymali statuetkę Szczupłego Andrzeja, upamiętniającą red. Andrzeja Zakrzewskiego, szefa Działu Rozrywki Programu III Polskiego Radia – wielkiego przyjaciela Turnieju Łgarzy, który przez wiele lat współtworzył tę imprezę. Trzymamy za słowo burmistrza Bogatyni i starostę powiatu zgorzeleckiego – niech Bogatynia, która jest stolicą humoru, będzie nią w kolejnych latach.

Henryk Izdorczyk

JERZY NOWOSIELSKI



Wydawnictwo BoSz prezentuje prace jednego z najwybitniejszych i najwszechstronniejszych polskich artystów współczesnych, Jerzego Nowosielskiego. Malarz i rysownik, ale też scenograf, ikonopisarz, filozof i teolog, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, jest postacią niepowtarzalną w historii polskiej sztuki, a jego twórczość wciąż budzi głęboką refleksję i otwiera nowe ścieżki interpretacyjne. W albumie znajdziemy dzieła artysty zgromadzone w kolekcjach polskich muzeów, Galerii Starmach w Krakowie oraz w zbiorach prywatnych. Bogaty wybór prac Nowosielskiego wzbogacony został o tekst o jego twórczości autorstwa Julity Delugi, kuratorki i krytyczki sztuki.



**Jerzy Nowosielski,
Wydawnictwo BoSz,
Lesko 2023.**

Pejzaż miejski, 1959



W pracowni przy ul. Narzymskiego 19 w Krakowie, 1993



Pływaczki, 1953



Tajemnica narzeczonych, 1962

Akt przed lustrem, 1971



Kobieta na leżaku, 1965



Konrad Malec

Gdy opowiadam o mojej pracy, zwykle spotykam się z pewną zażdrością. Ludzie widzą gościa, który łązi po łąkach, lasach i bagnach, prowadzi obserwacje zwierząt i miewa przygody. Tak właśnie jest, ale jest i druga, mniej ekscytująca strona pracy przyrodnika, np. przenoszenie obserwacji do elektronicznych formularzy. W terenie często stoję przed dylematem, czy dokładniej obserwować, czy szybciej się przemieszczać, ponieważ czas odgrywa kluczową rolę. Czasem teren jest trudny, co kończy się wodą w woderach, wywrotką w nieprzyjemnym miejscu lub pokaleczeniem o cierniste rośliny, ale najgorsze są spotkania z kąsającymi muchami, komarami i kleszczami. Niezbyt to pocieszające, ale problemy z nimi miewają m.in. jaszczurki zwinki, na spotkanie z którymi zapraszam.

Pasożyty

Na niechęć do kleszczy zapewne wpływa strach przed chorobami przez nie roznoszonymi. Dwóch kolegów po fachu ciężko przechorowało boreliozę. Okazuje się, że u jaszczurek zwinek też wykryto krętki odpowiedzialne za boreliozę, choć nie wiadomo, czy gady chorują, czy tylko goszczą te patogeny. Co więcej, zwykle jaszczurki mają więcej kleszczy niż my! Wiele jaszczurek ma po kilka-kilkanaście tych pasożytniczych pajęczaków, a wcale nierzadkie są przypadki, gdy na jednym zwierzątku, maksymalnie dorastającym do około 23 cm, są ich dziesiątki, a nawet setki. Rekordzistką jest jaszczurka z Zielonej Góry, na której naliczono 230 kleszczy! Czymże przy takim wyniku jest tuzin, który dwukrotnie wyciągnąłem z siebie? Przy czym dorosłe kleszcze (trzecie stadium rozwojowe) rzadko spotykane są na jaszczurkach, znacznie częściej widuje się na nich larwy (pierwsze stadium po wykluciu) i nimfy (drugie stadium rozwojowe). Zwykle zaatakowanych przez kleszcze jest 30-40% jaszczurek, ale w jednym z niemieckich landów odsetek ten wynosił 83-94%!



Sceny z życia jaszczurów

Jaszczurki zwinki są wybitnie ciepłolubne, uaktywniają się dopiero, gdy ich ciało rozgrzeje się do 31 st. C

Tu słowo wyjaśnienia. Często spotykam się z pytaniem: po co kleszcz, czy inny nielubiany przez nas organizm, istnieje? W domyśle pojawia się jego rola w środowisku i czy czegoś nam nie daje, jak to jest z komarami – ich larwy biorą udział w oczyszczaniu wody, czym oddają nam niemałe usługi, ale ich rola na tym się nie kończy. Tymczasem organizmy w środowisku istnieją, bo mogą. Ich przodkowie znaleźli niszę, w której mogą żyć, żerować i rozmnażać się, a dziś istniejące organizmy starają się dopasować do otaczającego je świata. Jeśli im się powiedzie, mają szansę wydać potomstwo, które będzie jeszcze lepiej przystosowane. Jeśli nie, wówczas najpewniej zginie bezpotomnie. To, że dziś wszystko wygląda jak dobrane do siebie części

mechanizmu, to efekt milionów lat ewolucji. I tak też jest z kleszczami, miały okazję zaistnieć, więc istnieją. I będą istnieć tak długo, jak długo będą odnajdywały się w środowisku. A że przy okazji bywają nośnikami patogenów czy są pokarmem dla wroble, to już bez znaczenia.

Pasożyty osłabiają zaatakowany organizm. Łatwo sobie wyobrazić, ile krwi traci jaszczurka zainfekowana przez kilkanaście kleszczy, nie mówiąc o setkach. I jak to wpływa na jej zdolności chwytania pożywienia lub ucieczki przed drapieżnikami. I tu ciekawostka, niedawne badania z Doliny Baryczy wykazały, że zaatakowane pasożytami jaszczurki uciekają tak szybko, jak te wolne od kleszczy. Wynik badania zaskoczył naukowców i na razie nie wiemy, dlaczego tak jest (choć jedną z hipotez jest to,

że jaszczurki niezupełnie serio traktowały zagrożenie ze strony goniących je badaczy).

Sprawa ogona

W tym samym badaniu uzyskano jeszcze jedno zaskakujące wyniki. Okazało się, że jaszczurki, które utraciły ogon, biegną znacznie szybciej niż te, które ogona nie straciły. Pierwszą hipotezą próbującą wyjaśnić to zjawisko było to, że osobnik bez ogona jest lżejszy i że mniej ciała styka się z powierzchnią, co ogranicza tarcie w trakcie biegu. Jednak osobniki, którym ogony już odrosły, biegały równie szybko jak te, które dopiero co je straciły, i zarazem szybciej od osobników, które nigdy ich nie utraciły. Ta zagadka czeka na rozwikłanie, ale podejrzewa się, że gdy jaszczurka straci ogon, musi znacznie szybciej uciekać. Drugiego chwilowo nie ma, więc nie ma czym szukać napastnika. Jeśli przeżyje, nabiera wprawy, a to procentuje w przyszłości. Podobne badania na innych gatunkach niekoniecznie dają podobne efekty. Niektóre gatunki bez ogona biegną gorzej, podczas gdy dla innych wydaje się to nie mieć znaczenia. Znane są nieliczne przypadki, gdy w miejsce odrzuconego ogona wyrastają dwa, a niekiedy nawet więcej (rekordzistka miała ich sześć). Zwykle ten dodatkowy nie jest w pełni rozwinięty.

Autotomię, czyli zdolności odrzucania ogona, ma więcej jaszczurek. To strategia ratująca życie, gdy zwierzę jest ścigane przez drapieżnika. W takiej sytuacji lepiej poświęcić ogon, który po odrzuceniu jeszcze się wiję, czym odwraca uwagę napastnika od reszty uciekiniera. A nasza bohaterka ma przed kim uciekać, jest w karcie dań wielu ssaków, np. lisów, borsuków czy kretów. Do tego przynajmniej 38 gatunków ptaków poluje na te gady, w tym myszołowy, krukowate, czaple, a nawet bażanty. Moim ulubionym łowcą zwinek są srokosze, które nadziewają swoje ofiary na ciernie krzewów, tworząc dość makabryczne spiżarnie. Drugi człon łacińskiej nazwy tego ptaka *excubitor* oznacza rzeźnika, właśnie od owego sposobu

przetrawiania żywności. Często w ich spiżarniach pośród myszarek znajdują kruszące zwinki.

Na liście smakoszy naszych jaszczurek są też gniewosze plamiste – węże wyspecjalizowane w polowaniach na gady, które owijają podwójnym splotem, trochę jak boa dusiciele. Niestety, akurat to zagrożenie jest w naszym kraju coraz radsze, ponieważ gniewosze giną w szybkim tempie (znajdują się w polskiej Czerwonej Księdze Zwierząt – dokumencie opisującym zagrożone gatunki). Szybko znikają również płazy, których więksi przedstawiciele pałaszują jaszczurki (bajecznie wyglądają prześwietlenia dużych żab, na których szkielety nakładają się szkielety połkniętej w całości zdobyczy).

Nierzadko na jednej jaszczurce, dorastającej do około 23 cm, są dziesiątki, a nawet setki kleszczy.

Pamiętajcie, by nigdy nie łąpać jaszczurek, jeśli tego nie potraficie. A najlepiej w ogóle tego nie robić, zwinka jest pod ochroną częściową. Dawniej była pod ochroną ścisłą, ale ekonom Maciej Grabowski, sprawujący urząd ministra środowiska za poprzedniej koalicji rządzącej, obniżył jej rangę ochronną, a poprawiający go Jan Szyszko raczej nie podnosił reżimów ochronnych. Wprawdzie ogon odrasta, ale jest m.in. magazynem tłuszczu. Jeśli odwróćmy go późnym latem czy jesienią, zwierzę może mieć problem z przeżyciem zimy. Jeśli zrobimy to wiosną, będzie miało mniejsze szanse na zdobycie partnerki lub złożyć mniej jaj. I przede wszystkim straci ochronę przed realnym zagrożeniem.

Choć zwinka jest smacznym kąskem dla większych zwierząt, sama też jest drapieżnikiem. Na jej ofiar są przede wszystkim owady, głównie prostoskrzydłe (czyli krowy i znajomi Filipa z „Pszczołki Mai”), chrząszcze, motyle czy dżdżownice. Co ciekawe, w skład jej pokarmu wchodzi owady trujące, zwinka zdaje się odporna na ich jady. Zasadniczo zjada wszystko, co zdoła

pochwycić, w tym mniejsze osobniki własnego gatunku, choć robi to rzadko. Wydaje się, że unika tylko mrówek, w każdym razie nie znalaziono ich w żołądkach zwinek. Mniejsze ofiary połyka w całości, większe miażdży potężnymi zębami. Nimi także kąsa, gdy zostanie schwytana, ale spokojnie, zęby są potężne w jej skali, mojej skóry nigdy nie zdołały naruszyć.

Romans w słonecznym cieple

Jaszczurki zwinki są wybitnie ciepłolubne, uaktywniają się dopiero, gdy ich ciało osiągnie 31 st. C. Ponieważ temperatura ich ciała jest zależna od temperatury otoczenia, możemy ją obserwować dopiero od drugiej połowy kwietnia. Wówczas zwierzę wychodzi z norki i wygrzewa się w słońcu, choć nie z niego czerpie temperaturę niezbędną do aktywności. W każdym razie nie bezpośrednio, nagrzewa się od rozgrzanej

ziemi, co nazywamy tigmotermią. Z tego powodu czasem możemy je spotkać w miejscach, które znacznie odbiegają od wyobrażenia sielskiej natury, np. na porzuconych oponach.

Takie wczesne obserwacje dotyczą samców, dziewczyny aż tak się nie śpieszą. Wiąże się to z tym, że u wygrzewających się samców przyspiesza proces spermatogenezy, czyli wytwarzania plemników. U większości zwierząt intensywna produkcja plemników ogranicza się do czasu godów. W najcieplejszych momentach samce żerują, ale zwykle temperatura nie jest tak hojna, więc przyspieszenie dojrzewania odbija się na masie samców. Przypomnę, że właśnie wybudziły się z hibernacji, więc ich zasoby tłuszczowe są na wyczerpaniu. Jeśli mimo to chłopaki są w stanie ubiegać się o uznanie w oczach samic, muszą to być prawdziwi twardziele!

W maju, gdy robi się naprawdę ciepło, jaszczurki przystępują do godów. Samce nabierają pięknej zielonej barwy, a ich terytoria znacząco się zwiększają. Znane są przypadki poszukiwania partnerki nawet 4 km od norki, choć zwykle nie oddalają ▶

► się aż tak bardzo. Odległości zwiększają się wówczas, gdy trudno znaleźć wybrankę blisko domu. Tak często się dzieje za sprawą człowieka, który dzieli obszary zajmowane przez te zwierzęta (fragmentacja siedlisk to jedna z poważniejszych przyczyn spadku różnorodności przyrodniczej). Zwykle tak się dzieje na terenach podmiejskich, z rozwijającą się zabudową, ale coraz bardziej uprzemysłowione rolnictwo także do tego się dokłada. Im dłuższe

w przyrodzie powoduje istną hekatombę. Zwykle w tym kontekście mówi się o ptakach, ale nie mniejsze spustoszenie robią koty wśród zwinek i innych zwierząt. Dlatego nie puszczajcie swoich pupili, by wyhasały się na dworze.

Wracając do godów, pięknie zielone samce starają się imponować samicom, a jednocześnie przeganiać konkurentów. Spotkanie dwóch chłopaków zaczyna się od prezentacji – prostują przednie

Nie wińcie jednak samic, to chłopakom testosteron uderza do głowy. Jeśli dama jest gotowa do konsumpcji związku, podryguje przednimi łapkami. Wówczas on wykonuje kilka nerwowych ruchów wokół niej, po czym chwyta paszczą wybrankę za bok. Nie jest przy tym zbyt delikatny, czasem ślad po miłosnym uchwycie pozostaje dłużej widoczny. Połączona para kopuluje kilkakrotnie przez kilka-kilkanaście minut.

Po czterech tygodniach od romantycznej schadzki samica składa jaja, najczęściej w lekką, wilgotną ziemię, uprzednio wygrzebując niewielki dołek. W czasie suszy nawet dobrze rozwinięte zarodki wysychają. Jaj zwykle jest pięć-sześć, ale niekiedy może być ich 15, a nawet nieco więcej. Przy większej liczbie samice często składają je w kilku miejscach. Wówczas, jeśli jedno z gniazd zostanie zniszczone, jest szansa, że jajom z innego powiedzie się lepiej. Na tym opieka rodzicielska się kończy. Inkubacja trwa ok. ośmiu tygodni, ale może to być zaledwie pięć lub aż dziewięć, w zależności od temperatury i wilgotności gleby.

Młode pojawiają się od początku czerwca po koniec września. Mierzą wówczas ok. 6 cm z ogonem. By dorosnąć i zgromadzić tłuszcz na zimę, zaczynają szybko żerować. Z tego powodu tegolatki, jak nazywamy młode z danego roku, możemy obserwować nawet w październiku, jeśli temperatura nie jest zbyt niska. Dorosłe na zimowy spoczynek zwykle udają się z końcem września, choć w ostatnich latach, przy wyjątkowo ciepłych jesieniach, widywałem dorosłe jaszczurki również w październiku. Jeśli nikt ich nie zje, za trzy lata same przystąpią do pierwszych godów. Przynajmniej samice, chłopcy musieliby nie napotkać większej konkurencji. To daje im niewiele czasu, na pozostawienie własnych genów, maksymalna długość ich życia wynosi sześć lat, choć przeciętna to zaledwie trzy-cztery lata. Często więc bywa, że pierwszy sezon rozrodczy, jest zarazem ostatnim.

Dziękuję dr. Stanisławowi Buremu za kilka ciekawych tropów, a córce za inspirację.

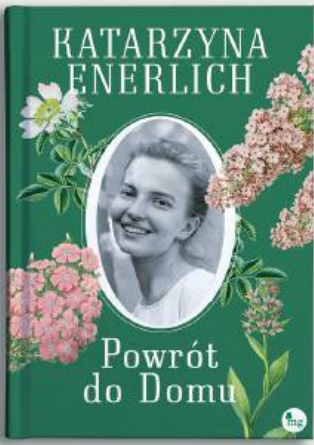
Konrad Malec

Ogon odrasta, ale jest m.in. magazynem tłuszczu. Jeśli oderwiemy go późnym latem czy jesienią, zwierzę może mieć problem z przeżyciem zimy.

wędrowki, tym większe szanse na złapanie kleszczy, dlatego to samce są rekordzistami w tej dziedzinie. Przynajmniej w sezonie godowym, poza nim to samice mają nieco większe terytoria i więcej kleszczy.

Sąsiedztwo człowieka niesie jeszcze jedno zagrożenie – koty. Zdecydowana większość miłośników kotów, a tym bardziej gospodarzy, u których koty pełnią funkcje towarzyszy, ma zwyczaj puszczania mruczków samopas. Kot nie jest naturalnym gatunkiem, jest naszym tworem, a przy wsparciu, jakie otrzymuje od ludzi,

łapy, starając się być wyższymi, nadymają szyję i otwierają paszczę. Zwykle to wystarczy, by ślubszy osobnik skapitulował. Jeśli jednak spotkają się godni siebie rywale, dochodzi do bójki, w czasie której widzimy tarzających się po ziemi i kłapiących rywali. Zwykle po jakimś czasie jeden z walczących poddaje się i ucieka, ale niekiedy walki są tak zacięte, że kończą się zgonem. Do tak tragicznych sytuacji dochodzi najczęściej, gdy na trybunie jest dama, dla której warto rzucić wszystko na szalę.

KATARZYNA ENERLICH

Powrót do Domu

www.wydawnictwomg.pl

Łukasz Skop

Królewskie piwonie

Polityka jest ostatnią rzeczą, jakiej życzylbym sobie w moim ogrodzie. To miejsce, w którym znajduję bezpieczną przystań i wytchnienie. Jednak nawet tam wszystko ma swój z góry ustalony porządek, a jedyny bałagan, na który przymykam oko, to „ułożone” przy szklarni puste doniczki. Na przełomie wiosny i lata ogrodo-wa hierarchia przechodzi wyraźną restrukturyzację. Wiosenne kwiaty tracą monopol na zachwycanie i często nie mogą się już równać tym, które na posterunkach obsadza lato. Tym samym w czerwcu ładu w ogrodzie pilnują kwiatowy król, królowa, premier i liczna królewska świta. A skoro tak się sprawy mają, to czy mogą się już nazwać królewskim ogrodnikiem?

Tradycyjnie to różę uważa się za królową wszystkich kwiatów, ale to, komu przypada tytuł króla, może być niemałym zaskoczeniem. Chodzi o piwonie drzewiastą (*Paeonia × suffruticosa*). Co prawda tytuł królewski jest najbardziej popularny w Japonii, ale biorąc pod uwagę urodę piwonio-wych kwiatów, nie mam nic przeciwko temu, aby rozszerzyć go na resztę świata. Z tradycji japońskiej wywo-dzi się także tytuł premiera kwiatów, przysługujący piwonii chińskiej (*Paeonia lactiflora*).

Piwoniowy nepotyzm jest jedynym, do którego nie mam zastrzeżeń. Wokół rozkwitających piwonii nietrudno dostrzec też królewskich żołnierzy. Już na etapie kulistych pąków piwonie są patrolowane przez zastępy mrówek dowodzonych przez królową. Pojawienie się mrówek na kwiatach często jest zwiastunem kłopotów i obecności mszyc, których mrówki doglądają jak wesółego stadka produkującego dla nich słodką spadź. W przypadku piwonii mrówkom chodzi jednak tylko o nektar wytwarzany przez znajdujące się na kwiatach nektarniki. Składa się on z cukrów (sacharozy, glukozy i fruktozy), aminokwasów, lipidów i innych związków organicznych, które są dla owadów źródłem pożywienia.

Relację łączącą mrówki i piwonie możemy nazwać mutualizmem



Są jednymi z tych szczęśliwców,
którzy z nostalgicznych kwiatów
z babcinych ogródków zmienili się
w ulubieńców Instagrama

– to rodzaj współpracy pomiędzy organizmami, z której każda strona czerpie korzyść. Piwonie zapewniają mrówkom pożywienie, za co owady odwiedzają się ochroną kwiatów przed podgryzającymi je innymi insektami. Kiedy mrówczy zwiadowca odnajdzie nektar, natychmiast wraca po wsparcie i przekazuje sygnał całej armii. Mrówki przybywają jeszcze przed rozwojem kwiatów piwonii i regularnie korzystają z nektarników znajdujących się na okrywających pąki zielonych działkach kielicha. W pełni rozkwitnięte piwonie mają nektarniki przykryte przez liczne fałbany płatków, ale wystarczy pod nie

zajrzeć, żeby odnaleźć wciąż spragnione nektaru mrówki.

Obecność mrówek na piwonii jest tylko tymczasowa, a w dodatku działają one na korzyść kwiatów, a przez to także po naszej myśli, zatem nie tylko nie trzeba, ale nawet nie wolno im przeszkadzać. Jeśli nie chcesz zabrać mrówek do domu w bukietcie, po ścięciu piwonii chwyć kwiat za łodygę i trzymając go do góry nogami, po prostu strząśnij lub delikatnie splucz mrówki wodą. Królowa mrówek nie będzie tym zachwycona, ale królewscy ogrodnicy mają w końcu pewne prawa – nawet jeśli nie potrafią ▶

► zaprowadzić porządku wśród pustych doniczek.

Piwonie są jednymi z tych szczęśliwców, którzy z nostalgicznych kwiatów rodem z babcinych ogródków zmienili się w ulubieńców Instagrama. To pierwsze tak obfite i romantyczne kwiaty sezonu, mniej banalne od róż, ale wciąż niesamowicie eleganckie i widowiskowe. Są ucieleśnieniem świeżości i radości, lekkości i przyjemności.

Relację łączącą mrówki i piwonie możemy nazwać mutualizmem – to rodzaj współpracy między organizmami, z której każda strona czerpie korzyść.

Staromodne odmiany dostały nowe życie, ale coraz większym uznaniem cieszą się także nowoczesne piwonie – jeszcze większe, bardziej efektowne i wytrzymałe.

Są to piwonie mieszańcowe, będące owocem romansu rodem z kwiatowego raju. Odziedziczyły najlepsze cechy swoich rodziców: piwonii bylinowych i piwonii drzewiastych. Nazywane są piwoniami Itoh, od nazwiska ich twórcy, japońskiego botanika, Toichiego Itoha, który w 1948 r. skrzyżował dwa gatunki piwonii. Przełamał naturalną barierę genetyczną pomiędzy dwoma gatunkami i osiągnął to,

co wcześniej uważano za niewykonalne – otrzymał wspaniałe mieszańce o intensywnie żółtych kwiatach, które są łatwe w uprawie. Te nowe piwonie po swoich rodzicach odziedziczyły zestaw najlepszych cech: mocno powcinane liście oraz wyjątkowo sztywne łodygi, które nie wymagają podparcia i są w stanie udźwignąć olbrzymie kwiaty o średnicy talerza obiadowego. Są one przepiękne, a w dodatku pachnące.

Częściowo zasychające na zimę pędy ułatwiają zimowanie nowych piwonii. Każdego roku piwonie Itoh odrastają ponownie, przynosząc natychmiastową radość wszędzie, gdzie się pojawią. Ich kwiaty otwierają się całkowicie. Odmiany o pojedynczych kwiatach produkują mnóstwo pyłku, po który zlatują się zapylacze z całej okolicy, a na jednej roślinie każdego roku rozwija się nawet kilkadziesiąt kwiatów.

Stare czy nowe, piwonie pasują do zdjęcia z pierwszymi w sezonie lodami, do pierwszego spaceru w letniej sukience albo krótkich spodenkach,

do odkurzonego po zimie roweru, do ogłoszenia zaręczyn, do pikniku w ogrodzie, na bukiet ślubny i do sesji zdjęciowej na pierwszy roczek. Od piwonii wszystko się zaczyna, ale wraz z ich kwitnieniem coś jednocześnie się kończy. Znikają ostatnie przebliski wiosny, nikt nie pamięta już o przymrozkach, które jeszcze do niedawna nie dawały spać po nocach, a wraz z nimi odchodzą wszystkie ograniczenia, które pogoda narzucała na ogrodniczą aktywność. Przychodzi bez troskie i pełne nowych możliwości lato, ciepłolubne kwiaty i warzywa można wysadzić bez obaw do gruntu, a kosiarki znów dostaną pracę na pełny etat. Czerwcowym królem na niejednej działce będzie też jeszcze inna piwonია, która zaczyna i kończy się na „piwo”, bo sezon grillowy jest wtedy w pełni.

Zejdź na ziemię

Piwonie są długowiecznymi roślinami, które w jednym miejscu potrafią rosnąć dziesiątki lat, jednak świeżo po posadzeniu potrzebują czasu, aby się zadomowić. Będą wspaniałe rośliny na różnych stanowiskach, chociaż preferują żyzną ziemię bogatą w składniki odżywcze. W piaszczystej mogą wydać sporo liści, ale mało kwiatów. Sadzenie piwonii najlepiej zaplanować na wrzesień lub październik. O tej porze roku liście tych roślin przybierają brudnoczerwony lub pomarańczową barwę i można je bez obawy odciąć.

Pod ziemią piwonie wytwarzają zgrubiałe, mięsiste i bardzo okazałe korzenie. Wykopuj rośliny niezwykle starannie i ostrożnie, aby te korzenie uległy jak najmniejszemu uszkodzeniu – bo zawsze w jakimś stopniu zostaną uszkodzone: obcięte lub złamane. Dółek pod rośliną powinien być na tyle duży, aby wszystkie korzenie dały się w nim rozprostować. Na dno warto wysypać solidną ilość dobrze rozłożonego kompostu lub obornika i wymieszać go z ziemią. Korzenie piwonii powinny jak najkrócej znajdować się na powietrzu, aby nie uległy wysuszeniu. Miejsca złamania wyrównaj czystym i ostrym nożem, aby powierzchnia rany była jak najmniejsza. Zасыpując dółek,



przytrzymaj jedną ręką korzenie, aby pąki pojawiające się już u ich nasady były skierowane ku górze. Miejsce ich wyrastania powinno się znaleźć na równi z poziomem gruntu.

Częstą przyczyną niepowodzenia w uprawie piwonii jest ich zbyt głębokie lub zbyt płytkie posadzenie – w takim przypadku rośliny zawsze będą się długo męczyć, zanim (o ile w ogóle) przyjmą się w nowym miejscu i wydadzą kwiaty. Podczas jesiennej sadzenia pąki na przyszły rok są już dobrze wykształcone i widoczne. Z każdego z nich w następnym roku rozwinię się liść lub pęd kwiatostanowy.

Młode kępy piwonii często wydają pojedyncze kwiaty, lecz z czasem się rozrastają, tworząc spektakularne okazy. U silnych roślin na jednym pędzie kwiatostanowym wykształca się czasem więcej niż jeden pąk szczytowy. Pąki boczne, chociaż przedłużają kwitnienie, zabierają część energii pąkom szczytowym, a przez to kwiatów jest co prawda więcej, lecz ich rozmiar jest mniejszy. Takie pąki boczne możesz obciąć sekatorem, kiedy tylko je zauważysz. Kwiatów na roślinie będzie wtedy mniej, ale każdy będzie okazał się.

Są długowiecznymi roślinami, które w jednym miejscu potrafią rosnąć dziesiątki lat.

W podobny sposób traktuje się wiele innych kwiatów, z którymi mamy styczność, a zabieg ten nazywa się plauzowaniem. U chryzantem wielkokwiatowych usuwa się wszystkie bardzo liczne pąki boczne i pozostawia tylko jeden na szczycie każdego pędu. W taki sposób powstają wielkokwiatowe chryzantemy, wciąż popularne głównie jako kwiaty będące ozdobą na Wszystkich Świętych. Gdyby nie ten brutalny zabieg, ich kwiaty nie tylko nie uzyskałyby swoich okazałych rozmiarów, ale też mogłyby nie zakwitnąć na czas – plauzowanie przyspiesza kwitnienie, ponieważ każda roślina ma do wykarmienia tylko jeden kwiat, będący od tej pory jej oczkiem w głowie.

Do bukietów ścinaj piwonie zawsze w fazie pękającego pąka

– płatki powinny już być widoczne, ale jeszcze nie w pełni rozwinięte. Takie kwiaty najdłużej będą świeże i długo wytrzymają w bukiecie.

Razem różnie

Olbrzymie, okazałe kwiaty piwonii robią duże wrażenie i są niezwykle wyraziste, dlatego może być trudno znaleźć dla nich towarzystwo. W czasie kwitnienia zawsze będą i powinny być na pierwszym planie. Jednak ze

U silnych roślin na jednym pędzie kwiatostanowym wykształca się czasem więcej niż jeden pąk szczytowy.

względu na ciężar kwiatów szczególnie starsze odmiany mają tendencję do przytulania się do ziemi. Jeden mocny deszcz potrafi położyć kwiatostany, które nie będą już w stanie same się wyprostować, a nasączone wodą i ubrudzone ziemią kwiaty szybko ulegną zniszczeniu. Na szczęście łatwo możesz temu zapobiec.

Towarzystwem dla piwonii mogą być niższe lub o podobnej wysokości rośliny, które będą im służyć wsparciem. Dobrze sprawdzą się niewielkie odmiany funkii, regularnie przycinana tawuła japońska (*Spiraea japonica*) lub lilak Meyera (*Syringa meyeri*) 'Palibin', który tworzy niskie krzaczki. Lilaki te kwitną w tym samym okresie co piwonie, ale kwiaty mają drobne, rozproszone, więc zrównoważą ciężkie w odbiorze kwiaty piwonii. Kolorystycznie stworzą też z nimi romantyczną, pastelową kompozycję, szczególnie jeśli posadzisz je w towarzystwie różowych piwonii.

Kolejnym sposobem podkreślenia urody piwonii będzie połączenie ich z roślinami o innym kształcie kwiatostanów, np. ze strzelistymi łubinami czy irysami. Taki duet warto jednak uzupełnić o rośliny kwitnące także w pełni lata, ponieważ po czerwcowym kwitnieniu piwonii, irysów

i łubinów na rabacie do końca roku niewiele będzie się już działo. Zostanie tylko statyczna zieleń.

Kwiaty ogrodowe o wysokich, ale ciężkich kwiatostanach, takie jak piwonie, ale też łubiny, ostróżki czy dalie, przed kwitnieniem można łatwo zabezpieczyć. Kiedy pędy mają kilka-naście centymetrów wysokości, a pąki kwiatowe nie są jeszcze widoczne, zbuduj nad rośliną rodzaj kratki utworzonej przez wciśnięte w ziemię proste i giętkie gałązki. Każda gałązka

powinna utworzyć łuk, a wszystkie razem – kratownicę, przez którą przerosną młode pędy. Później, gdy liście się rozwiną, a pąki rozkwitną, kratka będzie wsparciem dla łodyg, a sama zniknie w gęstwinie liści.

Mów łaciną

Piwonie, nazywane też zamiennie peoniami (obie nazwy są poprawne – ta druga jest spolszczeniem łacińskiej), były prawdopodobnie roślinami, którymi Apollo uleczył Hadesa. Od niego uzyskały swoją nazwę rodzajową: *Paión* to przydomek mitologicznego Apollina Uzdrowiciela. Gatunkiem, z którego wykorzystuje się korzeń, kwiaty i nasiona w celach leczniczych, jest piwonie lekarska (*Paeonia officinalis*). Pochodząca z Chin i Syberii piwonie chińska, której liczne odmiany wciąż są tymi najczęściej sadzonymi w ogrodach, ma także odmiany kwitnące na białą, na co wskazuje nazwa gatunkowa *lactiflora* – „o białych kwiatach”.

Łaciński epitet gatunkowy piwonii krzewiastej pochodzi od łacińskiego słowa *suffruticosus*, co w tłumaczeniu oznacza „będący prawie krzewem”.



Fragmenty książki Łukasza Skopa *Kwiaty bez ogródek. Jak dbać o rośliny przez cały rok*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023

Syndrom hawański

Nikt nigdy nie dowiódł, że istnieje broń dźwiękowa, zdolna posłużyć do przeprowadzenia ataku

Suzanne O'Sullivan

CBS News nadała ten materiał 9 sierpnia 2017 r., wyprzedzając inne stacje: grupa pracowników amerykańskiego Departamentu Stanu oddelegowanych na Kubę zapadła na poważną niewyjaśnioną chorobę. Informacje były dość ogólne, ale brzmiały niepokojąco – w całej sprawie coś śmierdziało, lecz dziennikarze nie potrafili powiedzieć, co. Następnego dnia stacja CNN, bez owijania w bawetnę, ogłosiła, że istnieje podejrzenie ataku na personel dyplomatyczny Stanów Zjednoczonych w Hawanie, natomiast NBC donosiła: „Stany Zjednoczone wycofują pracowników ambasady z Kuby w wyniku tajemniczego »ataku«”.

Wszystko zaczęło się w grudniu 2016 r., gdy u grupy amerykańskich dyplomatów na Kubie wystąpiły podobne objawy: bóle głowy i uszu, zaburzenia słuchu, zawroty głowy, szumy uszne, zaburzenia równowagi, zaburzenia wzroku, problemy z pamięcią, trudności z koncentracją i zmęczenie. W ciągu sześciu miesięcy problemy te dotknęły łącznie 16 osób. Personel medyczny ambasady nie umiał znaleźć przyczyny i część chorych ewakuowano do USA, gdzie dwa zespoły lekarzy pracujące dla dwóch różnych instytucji przeprowadziły szereg testów. Na czele pierwszego zespołu stał Michael Hoffer, laryngolog i specjalista od urazów odniesionych na skutek eksplozji; drugiej grupie przewodził Douglas H. Smith, neurochirurg, ekspert w zakresie wstrząsu mózgu. Ostatecznie wszyscy lekarze doszli do podobnych wniosków: niespotykany dotąd zestaw objawów świadczył o wystąpieniu zupełnie nowego syndromu. Określono go mianem „złożonego uszkodzenia sieci mózgowych”; był podobny do „urazowego uszkodzenia

mózgu”, tyle że u pacjentów do żadnego takiego urazu nie doszło.

Co było przyczyną? Musiało istnieć coś, co łączyło wszystkie przypadki. Pierwsza cecha wspólna była oczywista: osoby dotknięte dziwnym syndromem pracowały w kubańskich placówkach amerykańskiego Departamentu Stanu i kanadyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Oprócz tego miały jeszcze jedną wspólną cechę: niemal wszyscy słyszeli tajemnicze hałasy na krótko przed wystąpieniem objawów. Hałasy te bardzo się od siebie różniły, wspomniano o zgrzytach, o głośnym dzwonieniu i wysokim cykotaniu, przywodzącym na myśl świerszcze. Jedna z osób twierdziła, że odgłosy te wydawały się ukierunkowane –

badawcze, by zweryfikować hipotezę o ataku sonicznym. Tymczasem zgłaszały się nowe ofiary, najpierw na Kubie, potem w Chinach, problem stał się więc jeszcze bardziej palący.

Kiedy podano do publicznej wiadomości informacje o podejrzeniu ataku, media z całego świata szybko się nimi zainteresowały. We wrześniu 2017 r. BBC umieściła na swojej stronie internetowej materiał „Stany Zjednoczone ujawniają szczegóły niedawnego ataku dźwiękowego na dyplomatów na Kubie”. Cztery miesiące później ABC News donosiło: „Amerykańskie władze nadal nie potrafią wyjaśnić tajemniczej choroby. Nie wyklucza się wirusa ani ultradźwięków”. Aż wreszcie zjawisko zyskało nazwę: syndrom hawański.

Wszystko zaczęło się w grudniu 2016 r., gdy u grupy amerykańskich dyplomatów na Kubie wystąpiły podobne objawy: bóle głowy i uszu, zaburzenia słuchu, zawroty głowy.

chodząc po domu, ciągle słyszała je z takim samym natężeniem. Zdaniem innych czasem napotykało się ścianę dźwięku, można było jednak przed nim uciec. Ktoś opowiadał, że obudził się w środku nocy z głośnym dzwonieniem w uszach.

Barwne relacje ofiar stanowiły jedyną poszlakę w sprawie; spekulowano, że dyplomaci ucierpieli na skutek jakiegoś rodzaju fal dźwiękowych lub ataku sonicznego. Agencje wywiadu i autorytety medyczne uczestniczące w śledztwie zgodnie twierdziły, że atak taki byłby rzeczą bezprecedensową, ale możliwą. Ruszyło polowanie. Według doniesień prasowych FBI i CIA wzięły się do przeczesywania domów i pokoi hotelowych dyplomatów, lecz nie znaleziono żadnych śladów użycia broni dźwiękowej. Lekarze próbowali wykorzystywać bardziej wyrafinowane metody

Amerykańscy politycy nie omieszkali publicznie zareagować na te niepokojące wydarzenia. Marco Rubio zorganizował przesłuchanie w Senacie i oznajmił, że „z całą pewnością” doszło do ataku – Kubańczycy albo sami mieli za niego odpowiadać, albo przynajmniej dobrze wiedzieli, kto jest sprawcą. Odpowiadając na pytania dziennikarzy, Donald Trump dołączył oliwy do ognia, rzucając nieprzemysłane słowa: „Na Kubie dzieją się bardzo złe rzeczy”. Kubańskie władze twierdziły natomiast, że nie mają żadnej szczególnej wiedzy na temat choroby dyplomatów.

Eksperci – lekarze, fizycy, specjaliści od broni i inżynierowie – zaczęli się wypowiadać dla prasy i formułować różne analizy sytuacji. Nie osiągnęli konsensusu, lecz pewne wątki przewijały się wyjątkowo często. Po pierwsze, nikt nigdy nie dowiódł,

Pracownicy ambasady usłyszeli od przełożonych, że muszą być czujni, że muszą chować się za betonowymi ścianami.



że istnieje broń dźwiękowa, zdolna posłużyć do przeprowadzenia tego rodzaju ataku. Po drugie, co bodaj bardziej kłopotliwe dla zwolenników tej hipotezy, nic nie wskazuje, by dźwięk mógł spowodować uszkodzenie mózgu, trudno było zatem powiązać dziwne hałasy słyszane przez dyplomatów z urazami, o których mówili ich lekarze. Dość wcześnie padło za to hasło „zbiorowa histeria”. Mark Hallett, kierownik wydziału kontroli motorycznej amerykańskiego Narodowego

u pacjentów wystąpiło złożone uszkodzenie sieci mózgowych, którego nie poprzedzał jednak uraz głowy”. Autorzy odnieśli się bezpośrednio do kwestii zbiorowej hysterii. „Badania neurologiczne i testy kognitywne zdecydowanie wykluczyły, by doszło do symulowania choroby. [...] Pacjenci nie próbowali migać się od pracy, przeciwnie, zależało im na powrocie do obowiązków, nawet kiedy lekarze namawiali ich do urlopu zdrowotnego”.

W ciągu sześciu miesięcy problemy dotknęły łącznie 16 osób.

Instytutu Zaburzeń Neurologicznych i Udarów (NINDS), oznajmił w wypowiedzi dla „Guardiana”: „Obiektywnie rzecz biorąc, zbiorowa histeria jest najbardziej prawdopodobna”.

Pełny opis klinicznych objawów syndromu hawańskiego, a także wyniki badań oraz charakterystykę pacjentów upubliczniono w lutym 2018 r., kiedy „Journal of the American Medical Association” opublikował studium 21 przypadków. Wcześniej eksperci nieuczestniczący bezpośrednio w badaniach mogli się opierać wyłącznie na doniesieniach prasowych. Artykuł w „JAMA” kończył się wnioskiem: „Wydaje się, że

Mimo że według artykułu u dyplomatów wystąpiło uszkodzenie mózgu, żadne z przywołanych badań nie zdołało tego dowieść. Wyniki tomografii komputerowych okazały się najzupełniej normalne, nie potwierdzono również jakiegokolwiek choroby mózgu, choć to akurat nie powinno nas dziwić – w neurologii diagnozy często mają charakter spekulatywny i opierają się głównie na ustaleniach klinicznych. Odrzucając tezę o psychosomatycznym podłożu symptomów, doktor Smith, jeden z głównych autorów artykułu, stwierdził, że zanim osobiście zetknął się z pacjentami, sceptycznie odnosił się

do całej historii, lecz porozmawiawszy z nimi, nabrał przekonania, że „wszyscy co do jednego w pełni wierzyli w realność swoich objawów”. (...)

Debata toczyła się w najlepsze, sprawa miała również poważne konsekwencje polityczne. Stany Zjednoczone odwołały połowę pracowników ambasady na Kubie, pozostawiono tylko podstawowy personel. Szczególnie ucierpiała na tym obsługa wiz, co przełożyło się na ruch turystyczny. (...) Ponadto USA wydalili kubańskich dyplomatów z Waszyngtonu. Kubańscy specjaliści twardo zaprzeczali, jakoby władze w Hawanie mogły mieć cokolwiek wspólnego z atakami, stosunki między obydwojema krajami zaczęły się psuć. Aby sytuacja mogła się poprawić, ktoś musiałby albo odkryć tajemniczą broń użytą do ataku dźwiękowego, albo też wykazać trafność którejkolwiek z innych diagnoz.

Podczas gdy politycy prowadzili dyskusje, a prasa oddawała się spekulacjom, zespół doktora Smitha próbował znaleźć obiektywne przyczyny problemu. Niemal 18 miesięcy później w „JAMA” ukazał się długi artykuł zawierający opis bardziej zaawansowanych badań z użyciem neuroobrazowania, w których uczestniczyła część dyplomatów. Wyniki mogły świadczyć, że w porównaniu ▶

z grupą kontrolną zanotowano u nich mniejszą objętość mózgów. Czyżby wreszcie pojawił się upragniony dowód? Autorzy nie chcieli tego jednoznacznie przyznać; w podsumowaniu oznajmili, że konieczne są dalsze badania.

Pojawiła się więc kolejna dziwaczna tajemnica i znów zaroilo się od nagłówków prasowych. Gazety wybiórczo przytaczały wnioski z artykułu w „JAMA”, zależnie od linii redakcyjnej. Jedne przywiązywały dużą wagę do rzekomych patologicznych zmian w mózgach dyplomatów, inne zaś zalecały ostrożność w formułowaniu konkluzji.

Nie potrafię ze stuprocentową pewnością wskazać przyczyny syndromu hawańskiego, ale nie będzie zaskoczeniem, że zdecydowanie opowiadał się po stronie specjalistów, według których za wszystkim kryje się czynnościowe zaburzenie neurologiczne lub zbiorowa choroba psychogeniczna. Ponadto, choć żadnej z rozważanych diagnoz nie udało się jednoznacznie potwierdzić, przesłedzenie tego, co wydarzyło się

dowiedziałby się, że „zgodnie z obecnym stanem wiedzy dźwięki w słyszalnym dla człowieka zakresie nie powodują trwałych uszkodzeń ośrodkowego układu nerwowego”.

Skoro wszyscy, łącznie z lekarzami, zgadzali się, że teoria broni dźwiękowej jest mało wiarygodna, dlaczego przez tak długo brano ją pod uwagę? Cóż, moim zdaniem przyjęła się, bo była wygodna politycznie, prosta i przekonująca dla laików. Niejedna fałszywa informacja zawdzięcza tym trzem cechom swoją długowieczność. Teoria broni dźwiękowej świetnie wpasowywała się w istniejącą od wielu lat atmosferę wzajemnej nieufności między dwoma krajami, ponadto była ekscytująca i kontrowersyjna. (...)

Czynnościowe zaburzenia neurologiczne są zazwyczaj niewytłumaczalne z anatomicznego i biologicznego punktu widzenia; często właśnie owa niewytłumaczalność stanowi klucz do postawienia diagnozy. Objawy pochodzą z nieświadomości, wynikają z pewnych przekonań pacjenta co do tego, jak funkcjonuje jego ciało. Przeważnie owe przekonania

niszczyielski dźwięk w jakiś dziwny sposób mógłby upodobać sobie wyłącznie mózg, należy zatem uznać za rodzaj mądrości ludowej opartej na błędnych przekonaniach dotyczących anatomii i fizjologii. (...)

Na szczególną uwagę zasługują okoliczności „ataków”. Miało do nich dochodzić w najróżniejszych miejscach: w zatłoczonych hotelach, w prywatnych willach, na 20. piętrze bloku. Pewien lekarz, którego na Kubę wysłał Departament Stanu, usłyszał dziwny hałas, gdy tylko zameldował się w swoim pokoju w hotelu Capri. Nikt nie wiedział o jego przyjeździe do Hawany, ale – jeśli wierzyć tej historii – sprawcy ataku już na niego czekali. Agent CIA został zaatakowany krótko po zameldowaniu się w hotelu Nacional, w którym mieszkało wówczas wielu innych gości. Dźwięk na tyle głośny, by uszkodzić czyjś słuch, z pewnością zostałby usłyszany również przez osoby w pobliżu, lecz tak się nie stało: słyszały go wyłącznie ofiary syndromu hawańskiego. Broń niezbędna do przeprowadzenia ataku musiałaby mieć niewielkie rozmiary lub działać z dużej odległości, by pozostała niezauważona. (...)

Fascynujące, że choć wiele osób barwnie opisało napastliwy hałas, nikt go nie nagrał. Agencje wywiadowcze próbowały, ale bez powodzenia. Przez krótki czas wydawało się, że Associated Press zdolała zarejestrować ten dziwny dźwięk, choć nie udało się to ani FBI, ani CIA. Nagranie odtworzono w telewizji, część ofiar potwierdziła ponoć, że właśnie taki dźwięk usłyszały. Był wysoki i piskliwy, najwyraźniej jednak na nagraniu tracił swoją straszliwą moc, mógł więc zostać bezpiecznie puszczony telewizjom. Jak później wykazali specjaliści, były to po prostu odgłosy cykad.

Mimo wszystkich tych przeszkód teoria broni dźwiękowej okazała się zaskakująco żywotna. Jej zwolennicy tyle razy przekonywali o istnieniu broni na konferencjach prasowych, że chyba w końcu wycofanie się z tego stało się niemożliwe. Jak to zwykle bywa z szaleniem popularnymi koncepcjami, teoria nie była zupełnie

Incydent sprawił, że pewna grupa specjalistów wpadła w pułapkę polityki, komercyjnych interesów i, co bodaj najważniejsze, własnej dumy.

w Hawanie, może być bardzo pouczające. Incyident sprawił, że pewna grupa specjalistów wpadła w pułapkę polityki, komercyjnych interesów i, co bodaj najważniejsze, własnej dumy. Część z nich nadal nie zdolała się uwolnić.

Zacznijmy od broni dźwiękowej, która tak bardzo przyczyniła się do nadania rozgłosu całej historii. Od samego początku specjaliści stanowczo podkreślali, że nic im nie wiadomo o istnieniu jakichkolwiek urządzeń zdolnych posłużyć do „ataku sonicznego”. Eksperci z zakresu medycyny mówili równie zdecydowanie, że dźwięk nie może wywołać uszkodzenia mózgu. Zespół dr. Smitha przyznawał to w pierwszym artykule opublikowanym w „JAMA” – opisano tam trudności z powiązaniem dźwięku z hipotetycznym zaburzeniem sieci mózgowych. Każdy, kto zadałby sobie trud uważnego przeczytania artykułu,

są nietrafne. Nietrudno wyjaśnić, dlaczego ludzie uwierzyli, że dźwięki mogą spowodować uszkodzenie neuronów. Dźwięk wpada przecież do naszych uszu, a stamtąd na pozór już niedaleko do mózgu. Teoria broni sonicznej prezentowała bardzo prosty mechanizm: dźwięk przez ucho dociera bezpośrednio do mózgu i powoduje jego uszkodzenia. Ale to anatomiczny nonsens. Ucho wcale nie jest bezpośrednim kanałem dostępu do mózgu – jest po prostu jednym z narządów zmysłów, podobnie jak skóra. (...)

Nerwy służą przekazywaniu wszelkich bodźców zmysłowych. Bodźce dźwiękowe nie stanowią tu wyjątku. Fala energii dźwiękowej nie ma bezpośredniego dostępu do mózgu ani do żadnego innego narządu. Ponadto każda fala, która byłaby zdolna siać spustoszenia w mózgu, uszkodziłaby też inne narządy. Też, że

oderwana od rzeczywistości i prawdopodobnie właśnie dlatego tak skutecznie się szerzyła. (...)

Różnice opinii wśród lekarzy to rzecz najzupełniej normalna. Czasami przywiązujemy się do jakiegoś wyjaśnienia i niełatwo się z nim rozstać. Sama wielokrotnie byłam winna takiego postępowania. Warto się choćby zastanowić, czy dla zespołów

czynienia z porządną diagnozą medyczną. Czynnościowe zaburzenie neurologiczne może wystąpić na skutek zmian w połączeniach między poszczególnymi regionami mózgu, więc również da się je umieścić w szufladce z napisem „złożone uszkodzenie sieci mózgowych”. To samo dotyczy urazów głowy i wielu innych problemów zdrowotnych.

Zbiorowa histeria udzieliła się nie tylko pacjentom, ale i lekarzom.

amerykańskich lekarzy uczestniczących w śledztwie tropienie broni sonicznej nie było ekscytującą przygodą, pozwalającą na chwilę oderwać się od codziennej rutyny. W kręgach medycznych często powtarza się maksymę: „Kiedy słyszysz tętent kopyt, powinienes zakładać, że to konie, a nie zebry”. Zaburzenia psychosomatyczne spotyka się bardzo często, ataki z użyciem broni dźwiękowej to rzadkość. Dlaczego zatem zwyczajna diagnoza została zepchnięta na dalszy plan przez inną, która zdaniem wielu specjalistów była zupełnie bezsensowna?

Stawianie diagnozy polega z reguły na zgromadzeniu listy objawów, wskazując one bowiem, który narząd nie funkcjonuje prawidłowo. Kiedy problem zostanie zlokalizowany, należy zastanowić się nad przyczynami. Jednak autorzy artykułu z „Journal of the American Medical Association” przyjęli odwrotną strategię. Jak deklarowali, tekst miał prezentować „wstępne ustalenia dotyczące 21 pacjentów po ekspozycji na ten sam czynnik o nienaturalnym charakterze”. Innymi słowy, założono, że doszło do ataku. Diagnoza została z góry ustalona, pozostało jedynie znaleźć objawy pasujące do teorii o broni dźwiękowej. Na zakończenie artykułu konkludowano, że u dyplomatów doszło do „złożonego uszkodzenia sieci mózgowych”.

Ale co to konkretnie znaczy? Po prawdzie, nic szczególnego. To po prostu przyznanie się do braku pewności, tyle że w technicznym żargonie, opis zestawu objawów potwierdzający, że z pacjentami coś jest nie tak. Na pewno nie mamy tu do

Zawroty i bóle głowy, szumy uszne, problemy z pamięcią oraz zaburzenia równowagi należą do objawów, z którymi lekarze spotykają się szczególnie często. Niemal każdy lekarz rodzinny, neurolog czy laryngolog ma z nimi do czynienia co najmniej kilka razy w tygodniu. Dlaczego zatem, kiedy zewnątrzni specjaliści proponowali uznanie syndromu hawańskiego za czynnościowe zaburzenie neurologiczne lub zbiorową chorobę psychogeniczną, lekarze opiekujący się dyplomatami zupełnie zlekceważyli te głosy? (...)

Syndrom hawański był jak potężna fala, która porwała wiele osób, m.in. pracowników amerykańskiej ambasady, polityków i lekarzy. Chwilami zdawało się, że dr Hoffer nie potrafi ukryć podniecenia związanego z tym, że stał się jednym z najważniejszych tropicieli międzynarodowego spisku. Rozmawiając z dziennikarzami, barwnie odmalowywał moment, kiedy wezwano go na konsultację. Dzwonił telefon, lekarz podnosi słuchawkę, po drugiej stronie odzywa się głos: „Doktorze Hoffer, tu Departament Stanu, mamy problem”. Musiał się poczuć jak bohater filmu z serii „Mission: Impossible”. Moim zdaniem wpłynęło to na dalszy przebieg wydarzeń. Można powiedzieć, że zbiorowa histeria udzieliła się nie tylko pacjentom, ale i lekarzom. Personel amerykańskiej ambasady złapał się w sieć utkaną przez różne potężne siły. Doświadczeni lekarze oznajmili ofiarom, że doszło u nich do uszkodzenia mózgu, i w ten sposób de facto rozkazali im, by zaczęły szukać u siebie objawów.

Niepokój narastał, dyplomatom polecono zgłaszać się do lekarzy, nawet jeśli dotąd czuli się zupełnie dobrze. Na skutek tego rodzaju komunikatów zdrowi ludzie zaczęli analizować szum doznań generowany przez ich ciała i wyławiać z niego rozmaite dziwne sygnały. Byli coraz bardziej przestraszeni. Pracownicy ambasady usłyszeli od przełożonych, że muszą być czujni, że muszą chować się za betonowymi ścianami i bacznie obserwować swoje ciała. (...)

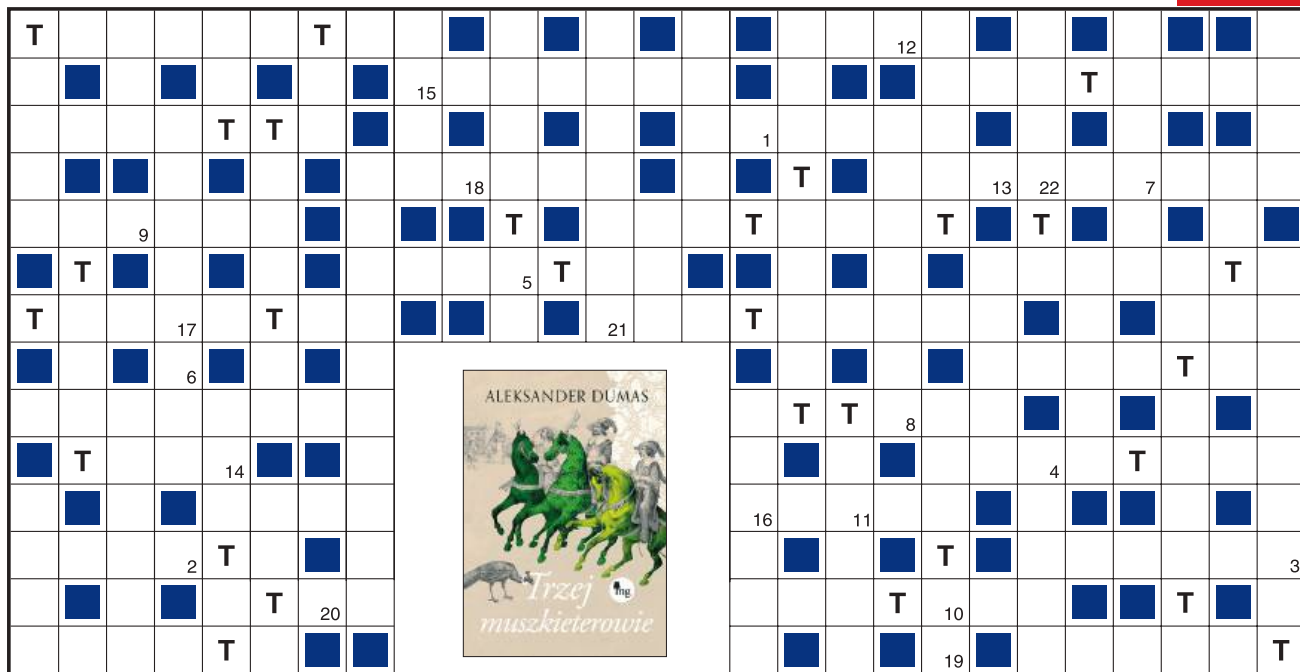
Politycy wysokiego szczebla oraz lekarze przeczulenii na punkcie swojej reputacji wygłaszali kategoryczne i jednoznaczne oświadczenia dla prasy.

Nie umiem sobie wyobrazić, jak trudno byłoby w takiej sytuacji stawiać opór i nie wykształcić symptomów, a także jak trudno byłoby przyjąć diagnozę zbiorowej choroby psychogenicznej, skoro wszyscy „eksperti” tak lekceważąco wypowiadali się na jej temat. Człowiek to istota, która wciela narracje. Jedne są zakorzenione w kulturze, drugie mają charakter osobisty. Niektóre poznajemy dzięki wpływowym ludziom: lekarzom, politykom, aktywistom, osobom publicznym, celebrytom. Cóż mogli zrobić pracownicy ambasady, kiedy przedstawiciele władzy z całą stanowczością powtarzali im, że są atakowani?

Jeśli człowiek ma istotne podstawy, by podejrzewać u siebie chorobę, a szablon objawów jest dostatecznie szczegółowy, jednostce łatwo ją zinternalizować, a następnie przekazać innym. Dzieje się tak dlatego, że choroba wydaje się wiarygodna. A poza tym tak właśnie działa ludzka fizjologia. Sprawy czasem wymykają się spod kontroli i nie ma w tym niczego dziwnego.



Suzanne O'Sullivan,
Śpiące królowny.
Tajemnicze przypadki ze świata neurologii,
tłum. Jan Dzierżowski,
Znak Literanova,
Kraków 2023



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- opłacone prawo korzystania z usługi
- poświęca się dla innych
- ojciec Walerego i Marianny w „Skąpcu”
- gorącokrwisty wierzchowiec
- i zbrojenie, i osprzęt
- szukaj jej w Grecji i na budynku
- sportowa walka na pięści
- Andrzej Duda dla prof. Zimmermanna
- strój treningowy
- wyraz określający rzeczownik
- piąta litera grecka
- nasza – kenozoiczna

- spec od norm moralnych
- stolicą jego ojczyzny Tbilisi
- pobieranie pieniędzy z tytułu weksli, czeków
- kraj ajatollahów
- ...ciernisty, jego pąki marynowane
- jego klasztorem macierzystym Grande Chartreuse
- stereotypy, szablony w myśleniu
- pierwiastek i odcień niebieskiego
- pokój lub sala w zamku, pałacu
- naczynie do karmienia zwierząt
- opiekun nieletniego przestępcy, skazanego

- kurs języka obcego na studiach
- „Nie-boska komedia” dla ucznia
- chytry w niejednej bajce
- wysoka piłka w tenisie
- ...berberyjski – mała z Gibraltaru
- nierówność na stoku narciarskim
- środek przeciw molom
- do wyciągania gwoździ
- substancja do usuwania środków trujących
- partie przeciwne rządzącym
- trasa planety
- biegnie wzdłuż tkaniny
- jak błędna chodzi zdeorientowany
- ...i Pataszon
- Trybunałski lub Kujawski
- ...doświadczalne do badań upraw
- górski, ludzi, słów
- kempingowa na wczasy

- szczeniak lub niejadalny grzyb
- na... – stopniowo, z przerwami
- manuskrypt
- włoska potrawa z ryżu
- w niej cumberland na stole
- z rury wydechowej
- ma dyscypliny
- nowe... – stop zwany alpaka
- odgłos kół pociągu
- krótkie spodnie
- tytoń wciągany do nosa
- rybnie gody
- przesyłanie myśli
- dalszy plan obrazu
- ciągnik
- pomost na statek
- wycieczkowiczka, zwiedzająca
- śrubokręt
- rosyjski, pruski lub austriacki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1122”. Do rozlosowania książki „Trzej muskietierowie” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 czerwca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1119” z nr. 22: Poezja to poszukiwanie blasku.
Nagrody otrzymują: Zuzanna Hałas z Białobrzegów, Zenon Lewiński z Dębina, Radosław Woźny z Kozienic.

Witaj, Cenckiewicz

Który departament w MSZ jest najważniejszy? Różnie to w różnych latach bywało. Z założenia najważniejszy powinien być departament od planowania i strategii, ale w polskich warunkach znaczenia on nie ma. Chyba że za znaczenie uważa ktoś pisanie przemówień ministrowi... Gdy aspirowaliśmy do NATO, ważne były departamenty bezpieczeństwa i Ameryki. Plus ambasada w Waszyngtonie z Jerzym Kozłowskiem. Wiadomo. Z kolei w sprawach europejskich przewodził Urząd Komitetu Integracji Europejskiej, a liderem był negocjator, więc rola MSZ była inna. A jak jest dziś? Dziś najważniejszym departamentem jest archiwum.

Tak, to archiwum, urzędujące poza gmachem MSZ, daleko od centrum. Przez całe lata była to MSZ-owska Syberia, wysyłano tam na zsyłkę niewygodnych dyplomatów, grono wybitnych ambasadorów dożywało tam emerytury, zamiast służyć wiedzą i radą. Porządkowało różne zapiski.

I teraz to miejsce zajaśniało! Otóż w archiwum urzęduje już od paru miesięcy Sławomir Cenckiewicz, pisowska gwiazda w grzebaniu i oskarżaniu. Wnuczek swojego dziadka. Firmuje to sam minister Rau.

Co Cenckiewicza sprowadziło do archiwum MSZ? Otóż, jak mówią ludzie patrzący mu na ręce, a niekoniecznie mu sprzyjający, bardzo interesuje się on materiałami na temat stosunków Polska-Rosja oraz tymi napływającymi z ambasady w Moskwie. Tu kwerenda jest dokładna. Dotyczy ona zwłaszcza Tomasza Turowskiego z czasów jego pracy w Moskwie. Co przysyłał? Z kim w Rosji się kontaktował? Zdaniem tych, co się znają, akurat jeśli chodzi o Turowskiego, szanse na jakieś wystrzałowe materiały są niewielkie. Nie to archiwum... Ale, proszę bardzo, niech Cenckiewicz szuka.

Drugą osobą, na którą zbierane są kwity, jest Radosław Sikorski. Był ministrem, kształtował politykę, więc sprawdza się, czy był pod rosyjskimi wpływami. Jak reagował na informacje, jakie posyłał instrukcje...

Co na to wszystko doświadczeni MSZ-owcy? To bardzo ciekawe, bo są w tej sprawie podzieleni.

Otóż najprostsza interpretacja jest taka, że Cenckiewicz szuka paliwa dla sejmowej komisji mającej badać rosyjskie wpływy. Ma ona ruszyć niebawem i oto Cenckiewicz przyjdzie z dokumentami, więc Turowski z Sikorskim będą musieli się tłumaczyć. Turowski ma być rzucony na początek, jako zło absolutne, ma to ustawić w odpowiednim świetle wszystkich kolejnych, którzy przed komisją będą wzywani.

Ta interpretacja ma też wątek poboczny – że Cenckiewiczowi chodzi o katastrofę smoleńską, jak działała ambasada w Moskwie i jak działało MSZ. I to jest jego priorytet.

Ale jest i inny punkt widzenia. Jego zwolennicy tłumaczą to w ten sposób: otóż kwerenda materiałów MSZ na temat Rosji ma inny cel. Analizując je, można w łatwy sposób zidentyfikować, kto jest kim w polskiej polityce wschodniej. Kto ma jakie źródła informacji, kto co może, kto co wie.

Tak jak raporty komisji Macierewicza rozwalili polski wywiad wojskowy, tak komisja do spraw wpływów może rozwalić polską politykę wschodnią (czy raczej jej resztki). Zatem wyciągnięcie tych dokumentów na zewnątrz miałoby inny cel niż tylko ściganie wrogów PiS.

Jak jest naprawdę? My kompromisowo obstawiamy, że chodzi zarówno o jedno, jak i o drugie.

Attaché



Czerpanie wody ze studni w Telamwadi niedaleko Bombaju.



PENETRACJE

odra

PROF. ADAM CHMIELEWSKI,
FILOZOF

Trwająca 11 lat amerykańska wojna w Wietnamie rozlała się na sąsiednie Kambodżę i Laos, pochłaniając życie ok. 3,8 mln wietnamskich żołnierzy i cywilów, ponad 310 tys. Kambodżan i ok. 62 tys. Laotańczyków. Z Wietnamu wyemigrowało 10 mln ludzi. Wojna pozostawiła milion wdów, 880 tys. sierot, ponad 360 tys. kalek, 3 mln bezrobotnych i 5 mln hektarów lasów wypalonych napalmem i pomarańczowym defoliantem (Agent Orange). Zginęło w niej także ponad 58 tys. żołnierzy amerykańskich. Agresja Rosji na Ukrainę uświadamia, że gdyby tamten konflikt toczył się bliżej naszych granic i jego ofiary były mniej egzotyczne, ogrom zniszczeń, ludzkiej śmierci i cierpienia rodziłyby w nas silniejsze potępienie.

PANI

MARIUSZ TRELIŃSKI,
DYREKTOR ARTYSTYCZNY TEATRU WIELKIEGO-
-OPERY NARODOWEJ

„Madame Butterfly” zrobiłem jako człowiek kina, którego pociągała wizja połączenia muzyki i obrazów. Nie zastanawiałem się, co z tego wyniknie. Plácido Domingo zobaczył w samolocie gazetę ze zdjęciami z naszej inscenizacji, zadzwonił i powiedział, że chciałby, żebym przyjechał do Waszyngtonu. 30-minutowa owacja na stojąco w Operze Waszyngtońskiej to był chyba najbardziej wzruszający dzień w moim życiu. To jest coś, czego nigdy się nie zapomina. Po tym wydarzeniu na 10 lat ułożyła się moja rzeczywistość. Nie potrafię powiedzieć, czy ona ułożyła się dobrze, czy źle, bo ceną jest nierobienie filmów.

TYGODNIK
ANGORA
PRZEGLĄD
KULTURY
I SPOŁECZNOŚCI

LESZEK CICHY,
PIERWSZY ZIMOWY ZDOBYWCĄ
MOUNT EVERESTU

Znam przypadki w Himalajach, gdzie po wielu latach znaleziono szczątki wspinaczy, którzy spadli z dużej wysokości. Tam żyją pumy i sam widziałem pod K2 świetnie zachowane buty z wystającymi z nich tylko szczątkami nóg. Nie zapomnę zejścia po zdobyciu z Krzysiem Wielickim Mount Everestu. Natknęliśmy się na zamrożnięte ciało Hannelore Schmatz. Niemka w 1979 r. zdobyła szczyt, ale zmarła podczas zejścia. Gdy zobaczyłem jej ciało, wydawało mi się, że przysiadła na stoku. Miała na sobie puchową kurtkę, twarz maksymalnie skrywała kapturem. Była związana liną, ale na jej końcu nie było nikogo.

VIVA!

ARKADIUSZ JAKUBIK,
AKTOR

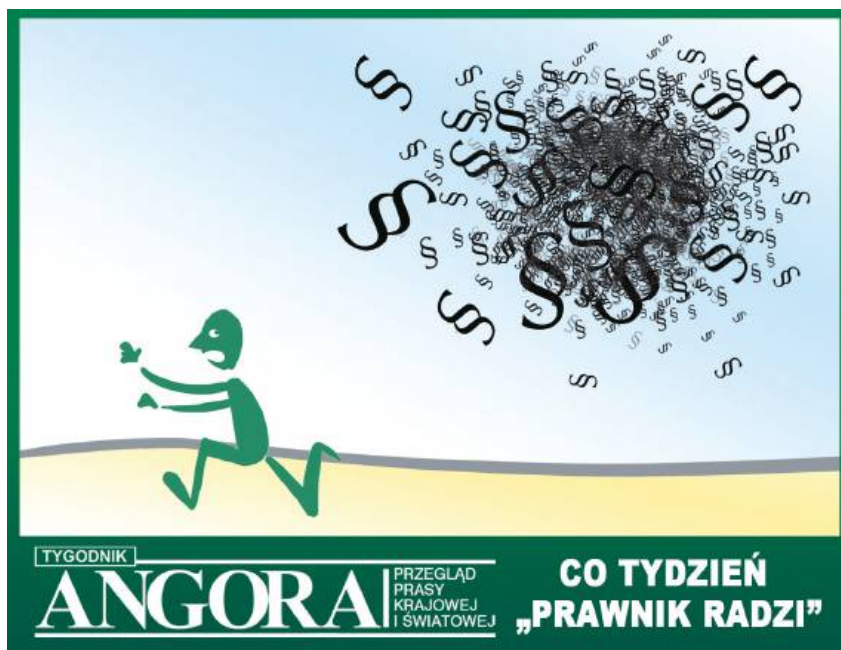
Dr Misio jest moją psychoterapią, moim wewnętrznym psychologiem. Wszystkie te rzeczy, które mnie boją, które przez lata pracy czy po prostu życia gdzieś mi się tam odkładają w środku i boją, mogę wyrzucić z siebie. Wykrzyczeć. Wyrzygać. Pozbyć się. Z weekendowej trasy wracam wyczyszczony. Jestem innym człowiekiem.

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter	Wyrazy z siedmiu liter	Wyrazy z ośmiu liter
WON 1 + KÓŁ = 	PŁAZ 3 + KIR = 	SAKE 5 + MIÓD =
SET 2 + FUL = 	KRAG 4 + ZAD = 	TRAF 6 + STAL =

ROZWIĄZANIA: WŁÓKNO, SUFLET, PIŁKARZ, GRZĄDKA, SIÓDEMKA, FALSTART



Aby język giętki...

WOJCIECH SZACKI O LEWICY

Na niekorzyść tej formacji grają kwestie personalne. Włodzimierz Czarzasty niekoniecznie kojarzy się z lewicowym idealistą.

DOROTA MASŁOWSKA O SZANSACH KOBIET

Nikt mi nie wmówi, że kobiety startują z tej samej pozycji co mężczyźni i mają równe szanse.

AGATA PASSENT O PRZEMOCY

W Polsce jest przyzwolenie na przemoc. Piętnuje się tych, którzy ją obnażają, a nie jej sprawców.

JAN TOMASZ GROSS O PREZESIE IPN

Karol Nawrocki ma taki sam stosunek do prawdy historycznej, jak jego poprzednik Jarosław Szarek, który oświadczył w Sejmie, że Żydów w Jedwabnem wymordowali Niemcy.

DOMINIKA WIELOWIEYSKA O CEZARYM GMYZIE

Nieformalny rzecznik sił specjalnych Prawa i Sprawiedliwości.

JERZY RADZIWIŁOWICZ O POWINNOŚCI TEATRU

Najważniejsze to irytować, prowokować do myślenia, nie dawać spokoju.

OLAF LUBASZENKO O MATCE ASJI ŁAMTIUGINIE

Szła zawsze swoją drogą. Nie przystawała do schematów tak dalece, że jako aktorka nigdy nie osiągnęła spełnienia.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
 Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
 fax +48 22 635 84 10 wew. 119
 przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
 07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





PATRONAT „Przeglądu”

Festiwal recOVERy

Zaburzenia odżywiania dotyczą ogromną liczbę osób w każdym wieku, niezależnie od płci i miejsca zamieszkania. Już małe dziewczynki eksperymentują z dietami, wiele z nich nienawidzi swojego ciała.

Właśnie o ciało chodzi, wpaja się nam, że idealne ciało nie ma fałdek, jest określone i wpasowuje się w kanony. Kluczem do samoakceptacji i pokochania siebie jest zrozumienie, że to nie ciało się liczy. Najważniejsze jest dobre serce, bycie spełnionym zawodowo czy życiowo. Ważne jest to, co masz w środku.



19 czerwca rozpoczyna się w Warszawie Festiwal recOVERy poświęcony zaburzeniom odżywiania. Jego program rozpoczyna wernisaż wystawy fotografii osób z ED w nurcie *body positive* w Stacji Praga (19 czerwca o godz. 19). Od 20 do 25 czerwca trwać będzie wystawa na Uniwersytecie SWPS. Z kolei w La Pose 23 czerwca LIVE ze specjalistką od zaburzeń odżywiania oraz ciałopozytywna impreza. Festiwal ma na celu zwiększenie świadomości o chorobie, nauczanie tego, jak wspierać i jak zauważać pierwsze objawy zaburzeń odżywiania.

Przyjdź. Wesprzyj. Docień.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Penelope WILTON



W KINACH OD 16 CZERWCA





FESTIVAL DE CANNES
HORS COMPÉTITION
SÉLECTION OFFICIELLE 2022



KŁAMSTWA, MIŁOŚĆ I RODZINNA KWIACIARNIA



LOUIS GARREL

ROSCHDY ZEM

NOÉMIE MERLANT

ANOUK GRINBERG

WINNY CZY NIEWINNY

REŻYSERIA LOUIS GARREL

W KINACH OD 23 CZERWCA

